



ROZMOWA „DO RZECZY”

**Teraz weto Polski ma sens
– Saryusz-Wolski o sporze z UE**

**Jan Krzysztof Ardanowski
– były minister rolnictwa
kontra „piątka dla zwierząt”**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 41/394 5–11 PAŹDZIERNIKA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**NAJBARDZIEJ
ZNIENAWIDZONY
PRZEZ LEWICĘ
DODATEK
O IDEOLOGII LGBT
– KOLEJNE WYDANIE**



**LECH WAŁĘSA
– ODLOT NA FACEBOOKU**



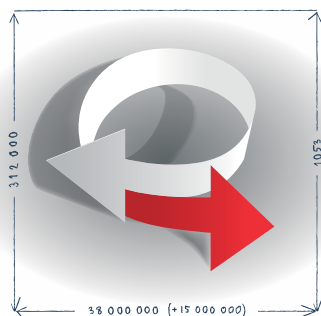
KRYZYS, JAKIEGO NIE BYŁO



**Biskup Athanasius Schneider:
W przyszłości papieże będą musieli
odpokutować za obecne błędy**



POLSKA WIELKI PROJEKT



NOWE POKOLENIE

X KONGRES
POLSKA
WIELKI PROJEKT

9-11
października
2020

W tym roku tylko transmisja online.

Zapraszamy do oglądania na stronę www.polskawielkiprojekt.pl

Paneliści:

Zbigniew Stawrowski • Andrzej Zybertowicz • Antoni Łepkowski • Antoni Libera • Andrzej Nowak • Andrzej Rychard • Bronisław Wildstein • Krzysztof Szczerski • Przemysław Żurawski vel Grajewski • Michał Łuczewski • Justyna Orłowska • Michał Łukasz Kamiński • Paweł Lisicki • Maciej Urbanowski • David Engels • Mateusz Werner • Krzysztof Noworyta • Sławomir Mazurek • Grzegorz Górny • Bolesław Stelmach • Krzysztof Ingarden • Kazimierz Łatak • Hubert Trammer • Andrzej Szczerski • Włodzimierz Bolecki • Dariusz Wieronijczyk • Patryk Kencki • Piotr Bernatowicz • Maciej Mazurek

Partnerzy



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



Fundacja



fundacja arp



Patronat medialny





W RZECZY SAMEJ

Dialog i głodzenie

PAWEŁ LISICKI

Kiedy wydawało się, że swoisty szczyt beczelności osiągnęła ambasador USA, Georgette Mosbacher, twierdząc, że „Polacy znaleźli się po złej stronie historii”, bo rzekomo prześladowają mniejszości seksualne, dwa dni później postanowiła ją przebić wiceszefowa Parlamentu Europejskiego, była minister sprawiedliwości Niemiec Katarina Barley. Miała powiedzieć, że „Polskę i Węgry trzeba finansowo zagłodzić”, ponieważ w Polsce i na Węgrzech drastycznie łamie się praworządność. Taki zapis jej wypowiedzi pojawił się na stronie niemieckiego radia Deutschlandfunk. Ciekawe, że ledwo kilka godzin później na odsiecz niemieckiej polityk ruszyła nieoceniona gazeta.pl. Portal Agory ogłosił, że słowa o finansowym zagłodzeniu odnosiły się nie do Polski, lecz tylko do Węgier. Chociaż sprawa nie jest tak jednoznaczna, jak chce gazeta.pl.

Niemiecka polityk powiedziała: „Polska i Węgry chcą dostać pieniądze, żyją z pieniędzy europejskich. Jeśli nie uda nam się teraz poruszyć kwestii rządów prawa, kiedy to zrobimy?”. Następnie odnosząc się do Orbána, stwierdziła: „Musimy go zagłodzić finansowo. On też potrzebuje pieniędzy. A jeśli

powiemy »nie dostaniesz żadnych pieniędzy«, to myślę, że w końcu będzie musiał ustąpić w takim czy innym momencie”. I znowu: Orbán i Kaczyński „zamieniają swoje kraje w demokracje, które nie mają już nic wspólnego z wartościami UE”. Łatwo zatem dojść do wniosku, że skoro zdaniem pani Barley Polska i Węgry „żyją z pieniędzy europejskich” i „Orbán i Kaczyński zamieniają swoje kraje w demokracje, które nie mają już nic wspólnego z wartościami UE”, to zagłodzenie Orbána odnosi się też do Kaczyńskiego, zagłodzenie finansowe Węgier będzie też zagłodzeniem finansowym Polski i na odwrót. Tak to zrozumieli najwyraźniej redaktorzy Deutschlandfunk i dlatego umieścili w tytule informację o zagłodzeniu Polski i Węgier.

Pociętna jest ta gazeta.pl. Przecież portal Agory w swej gorliwości o dobre imię niemieckiej polityk... najwyraźniej dopuszcza i akceptuje określenie „zagłodzić” w stosunku do Węgier. I, co nie mniej szokujące, przyjmuje za dobrą monetę opinię niemieckiej polityk, według której w Polsce i na Węgrzech łamie się demokrację. Doprawdy, trudno o bardziej groteskową sytuację, kiedy to medium Agory broni niemieckiej polityk przed zarzu-

tem, że grozi ona zagłodzeniem Węgrów i Polaków, dowodząc, że niemieckiej polityk chodziło o głodzenie tylko Węgrów i Orbána! Po prostu piękne.

Pomijając już kwestie leksykalne, w całej tej sprawie najbardziej wstrząsającą rzeczą jest to, że osoby, które chcą uczyć Polaków praworządności, nie zauważają swoich własnych błędów. Pani Barley nie widzi, że to, co robi, jest szantażem. Nie widzi, że traktuje Polaków i Węgrów jak klientów, że zwraca się do nich z pozycji pana i tyra. Podobnie nie widzi, że wypowiedzi kolejnych europejskich polityków – tak się dziwnie składa, że często, ale nie tylko, Niemców – właśnie jaskrawo łamią praworządność rozumianą jako szacunek dla prawa. Pokazała to najdobitniej Ursula von der Leyen, która w swoim orędziu, pierwszym, wygłoszonym w roli szefowej Komisji Europejskiej, stwierdziła, że będzie domagać się, by wszystkie państwa Unii zaakceptowały tzw. małżeństwa jednopłciowe i przyznały im prawo do adopcji dzieci. Słowa te były jak do tej pory najbardziej chyba jednoznacznym przykładem łamania reguł praworządności: pani komisarz publicznie przecież ogłosiła, że będzie walczyć z polskim (nie tylko na szczęście) porządkiem konstytucyjnym i że będzie próbować obalić nasz ustrój! Taki byłby przecież efekt spełnienia jej postulatów. Co ciekawe, w tej sprawie nie doczekałem się krytyk, potępień ani oskarżeń o łamanie praworządności. W tej sprawie, kiedy to szefowa Unii narusza podstawowe wartości Unii – wzajemny szacunek państw i narodów – jest cisza.

Coraz wyraźniej widać, że w dyskusji z politykami z Brukseli Warszawa dociera do ścian. Jest dokładnie tak, jak pisałem kilka tygodni temu: radykalizacja elit europejskich sprawia, że pytanie o sens pozostania w Unii staje się coraz bardziej dojmujące. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



Ojaka piękna tęcza
nad naszą Sodomą i Gomorą





TEMAT TYGODNIA

20 ROZMOWA
Z BP. ATHANASIESEM SCHNEIDEREM
**ŻYJEMY W BARDZO OKRUTNYM
SPOŁECZEŃSTWIE**
Fragment nowej książki – wywiadu rzeki

KRAJ

28 ROZMOWA
Z JACKIEM SARYUSZEM-WOLSKIM
MOŻEMY POWIEDZIEĆ UNII: WETO
Timmermans
to przy Jourovej baranek

30 PIOTR SEMKA
HEJ RAZ, JESZCZE RAZ

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA NIEMOŻNOŚĆ

34 ROZMOWA Z PROF. JANEM ŻARYNEM
ODZYSKUJEMY TOŻSAMOŚĆ



36 TOMASZ
ROWIŃSKI
**STREFY
ANTY-LGBT,
KTÓRYCH NIE MA**

38 MARCIN
MAKOWSKI
**UFO, SZLAFROK
I NOBLISTA**

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
DUSZA MARIONETKI
„Debiutant” Siergieja Lebiediewa

48 GRZEGORZ
KONDRASIUŁ
**CIEMNE
ZWIERCIADŁO
TEATRU**



NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49
**KONWENCJA
STAMBULSKA.
OBRONA PRZED
PRZEMOCĄ
CZY OBCA IDEOLOGIA?**



OPINIE

66 ŁUKASZ WARZECHA
W SIDŁACH EKSPERTOZY
Dlaczego chcą zmienić nasz świat?

68 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ISTOTNIEJSZE JEST ZBAWIENIE

HISTORIA

70 ROZMOWA Z IWONĄ RUSEK
WOJNA W ETERZE
Teatr Telewizji o Polskim Radiu w 1939 r.



ŚWIAT

74 WITOLD REPETOWICZ
WOJNA O ARCACH
Czyj był i czyj być może Górski Karabach

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
DEBIUT WSZECH CZASÓW
Wielkie zmiany na rynku e-commerce

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
ROLNIK NA FRONCIE

STYL

86 RADOŚLAŃ WÓJTAS
WSCHÓD ŻUBRA
Nowe stada króla puszczy

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
**KANDYDAT
Z REFERENCJAMI**
Polski lek na
koronawirusa?



90 ROZMOWA
Z PROF. KRZYSZTOFEM J. FILIPIAKIEM
NOWA ERA WALKI Z MIAŻDŻYCĄ

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZYCHOWICZ, KOPER (72), PRZYBYLSKI (76), GABRYEL, WARZECHA (82), KOMUDA (92), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

Nagroda Nobla za immunoterapię w onkologii potwierdzeniem przełomu w leczeniu nowotworów

James P. Allison i Tasuku Honjo

zostali docenieni za

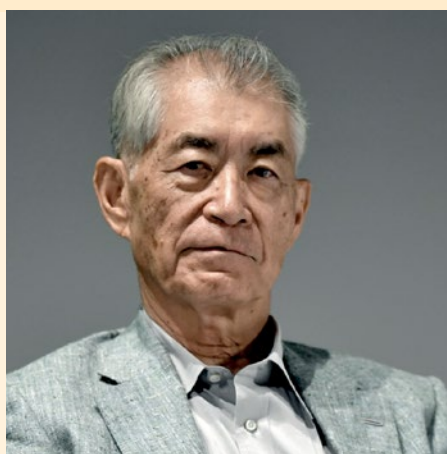
ODKRYCIE TERAPII PRZECIWNOWOTWOROWEJ

poprzez hamowanie negatywnej regulacji immunologicznej



James P. Allison
dyrektor oddziału
immunoterapii w MD Anderson
Cancer Center.

Opracował przeciwciało
anty-CTLA-4.



Tasuku Honjo
immunolog
z Uniwersytetu
w Kioto.

Odkrył funkcję
receptora PD-1.

Droży Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Fikcja uniwersytecka”,
Marcin Makowski, „DRz” 40/2020

Szanowna Redakcjo, pan redaktor Marcin Makowski w „Do Rzeczy” (nr 40/393) zwrócił uwagę na bardzo ważną kwestię absurdu sytuacji na uniwersytetach, które pozostają chyba jedyną tak dużą enklawą gospodarki wyłączonej z jakiegos powodu z normalnego funkcjonowania. Problem ten jest mi szczególnie bliski, studiuję stomatologię na trzecim roku. Do końca roku kalendarzowego mamy przewidzianych zaledwie dziesięć zajęć prowadzonych stacjonarnie. Od stycznia pojawia się więcej takich zajęć. Pytanie brzmi: Czy władze uczelni liczą na to, że do końca roku wirus w magiczny sposób zniknie? Dlaczego zajęć stacjonarnych nie można przeprowadzić normalnie



już od początku, tak jak to jest w szkołach? Tym bardziej w przypadku studiów, na których zajęcia praktyczne są ich sednem i głównym celem. Nie da się uczyć ortodoncji przez komputer, a cały kurs tego przedmiotu rozpisany jest właśnie jako zajęcia on-line. Wygląda to tak, jakby presja ze strony rodziców spowodowała decyzję o przywróceniu zajęć w szkołach, bo nie ma jak zajmować się dziećmi. W przypadku uczelni wyższych nie ma kto wywierać presji.

Pozostają ogromne obawy o stan naszej wiedzy i umiejętności po takich studiach. W przypadku zawodów medycznych odpowiednie wykształcenie jest absolutnie kluczowe, gdyż pacjenci w przyszłości będą temu wykształceniu powierzać swoje zdrowie. A przecież o zdrowie podobno chodzi w całym tym zamieszaniu?

Łączę wyrazy szacunku i uznania dla całej Redakcji

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Uciszenie wierzących w Chrystusa?

W ostatnich dniach mamy do czynienia z atakiem na rzecznika praw dziecka, Mikołaja Pawlaka. Przedmiotem ataku jest nie tyle jego działalność, ile... jego poglądy. Posłanka Katarzyna Lubnauer stwierdziła wręcz, że rzecznik, pełniąc swą funkcję, powinien „wnieść się ponad swoje poglądy”. Jeśli ktoś coś proponuje, to niech sam da temu wyraz. Ciekaw jestem, w jaki sposób autorka tej wypowiedzi wznosi się ponad swoje poglądy.

A może chodzi o coś zupełnie innego? Może część naszego społeczeństwa chciałaby zamknąć usta wierzącym w Chrystusa? Były już moherowe berety, przed laty prof. Andrzej Zoll był atakowany za swoją przynależność religijną, a teraz chce się wmówić chrześcijanom, że wiara jest ich sprawą prywatną. I tu pozwolę sobie zadać proste pytanie: Czy nie mamy do czynienia z próbą ograniczania praw obywatelskich? W XXI w., w czasie powszechnego nawoływania do tolerancji i poszanowania praw, istnieje w społeczeństwie, może nieduża, ale bardzo hałaśliwa, grupa stosująca wobec ludzi wierzących mowę nienawiści, szkalującą i wyszydzającą symbole religijne, odsądzającą tych ludzi od czci i wiary, próbująca zepchnąć ich poza margines życia publicznego.

W imię czego? Postępu?

Kardynał Joseph Ratzinger, zanim został papieżem, tak diagnozował obecną sytuację: „Specyficzną cechą nauki o państwie, tak w czasach starożytnych, jak i w średniowieczu, w przeciwieństwie do epoki nowożytnej, było odwoływanie się do prawa naturalnego, które może być rozpoznane przez recta ratio. Dzisiaj jednak recta ratio jakby nie daje już odpowiedzi, a prawo naturalne nie jest już uznawane za coś oczywistego dla wszystkich, lecz raczej widzi się w nim partykularną naukę katolicką. Jest to znamień kryzysu rozumienia politycznego, a tym samym kryzysu polityki w ogóle. Wydaje się, że dzisiaj istnieje tylko rozum praktyczny, a nie rozum wspólny wszystkim ludziom, przynajmniej w odniesieniu do systemu podstawowych wartości. Podjęcie trudu mierzącego do przewyciężenia tej sytuacji jest pilną powinnością wszystkich, na których spoczywa w świecie odpowiedzialność za stan nas wszystkich”.

Szanowni przeciwnicy chrześcijaństwa, przygotujcie się do racjonalnej debaty. Chcemy ją z Wami prowadzić.

Konrad Kożuszek, oblat OSB, Wrocław



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
i zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojaś**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyr, Piotr Godek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarska, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminski, Dominika Cioś (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**, **Jacek Nadratowski**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoreporterzy: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Alessandra Benedetti/Corbis/Getty Images**, **SIPA/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęda (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Born to fly

Blue Angels to specjalna amerykańska edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych. Zasilane światłem (Eco-Drive), synchronizowane radiowo (Radio Controlled), wyposażone w suwak logarytmiczny i inne funkcje nie tylko dla pilotów.

 **PROMASTER**



Eco-Drive

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Taktyka strusia nic nie daje

Lewicowo-liberalne media wykreowały legendę. Opowieść o ataku polskiej prawicy na pokojowe środowisko LGBT w latach 2019–2020. W tej opowieści są i aresztowanie „Margot”, który rzekomo niczym nie zawinił, i ataki policji na demonstrantów LGBT broniących swego męczennika. Wszystko to na zasadzie wywabienia z obrazu tamtych wydarzeń atakowania przez „Margot” kierowcy furgonetki przeciwników homoideologii i pomijania profanacji pomnika Jezusa na Krakowskim Przedmieściu, nie wspominając już o agresywnym zachowaniu wobec policji w czasie demonstracji zwolenników kolektywu Stop Bzdurom. Wątek tęczyowych ideologii był też obecny w kampanii prezydenckiej, ale nie dziwi to, gdy stawką było zdobycie prezydentury przez Trzaskowskiego, warszawskiego promotora karty LGBT.

„Jaką cenę zapłaci Polska za kampanię nienawiści?” – pisze „Rzeczpospolita”, uznając za oczywistość wersję „kupioną” w Brukseli. W TVN24 Katarzyna Kolenda-Zaleska dramatycznie oskarża Rafała Trzaskowskiego, gościa w studiu: „Doskonale pamiętam pana kampanię, bo przez

ostatnie trzy tygodnie relacjonowałam ją w każdym mieście i słowa o LGBT nie padły, mimo że to była najbardziej wtedy doświadczana mniejszość [...] I ta pana odmowa... pana odmowa wzięcia w obronę ludzi LGBT wyglądała na bardzo koniunkturalną, żeby nie mieszać do tego kampanii, bo to może się panu nie opłacać”.

Ale teza o agresji prawicy w jakimś stopniu bywa kupowana po prawej stronie. Wzywa się radnych gmin, które ogłosiły się „strefami wolnymi od LGBT”, że powinni dziś uznać, iż pracowali na zły wizerunek Polski na Zachodzie. Padają słowa o braku wyobraźni i piekle, które wybrukowane jest dobrymi intencjami.

Czytam to wszystko i przecieram oczy. Przecież impulsem do inicjatywy w wielu polskich gminach było przyjęcie przez władze Warszawy karty LGBT. Było to zobowiązanie władz stolicy do wprowadzenia „edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej w każdej szkole, uwzględniającej kwestie tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej, zgodnej ze standardami i wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia (WHO)”.

To obawa przed narzucaniem podobnych rozwiązań w skali lokalnej stała się impulsem do akcji radnych. Owszem, wiele zaszkodził brak precyzji, że chodzi o ideologię, a nie mniejszości seksualne.

Wykorzystali to lobbysci tęczyowych grup stawiający tezę, że celem ma być prześladowanie ludzi. Mechanizm manipulacji szybko ruszył i stał się skuteczny.

Dzisiaj lewica idzie dalej, ogłasza, że kto spoza jej grona w ogóle mówi o ideologii LGBT (której rzekomo nie ma), ten jest homofobem i ukrytą forpcztą Putina. Na podobnej zasadzie wmawiano w latach 30., że kto mówi o groźbie idei komunizmu, ten jest faszystą.

Ofensywę wchodzenia ideologii do szkół wstrzymano, pomysły, by w szkole był „latarnik” – rzecznik obyczajowego postępu – na chwilę schowano pod sukno. To jednak lewica chce mieć monopol na decydowanie, kiedy wolno poruszyć ten temat na nowo. Prawica ma się bać ruszać tej kwestii pod obuchem oskarżeń o wszczynanie „wojny kulturowej” lub obaw o zmarszczenie brwi pani Mosbacher. Akceptowanie takich roszczeń po naszej stronie to taktyka strusia. © ©



FOT. CARLOS BARRIA/REUTERS/FORUM

TRUMP I JEGO ŻONA ZAKAŻENI COVID-19

74-letni prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump i jego 50-letnia żona Melania mają koronawirusa. Jak poinformował Biały Dom, oboje czują się dobrze i przechodzą kwarantannę. Sean Conley, osobisty lekarz prezydenta, wyraził nadzieję, że prezydent będzie mógł „nadal wykonywać swoje obowiązki bez żadnych zakłóceń”. Prezydent mógł zarazić się od swojej doradczyny Hope Hicks, która podróżowała z nim na pokładzie Air Force One na debatę z Joe Bidenem. Wybory prezydenckie w USA odbędą się 3 listopada. (jap) © ©



POLSKI
HOLDING
HOTELOWY

ZAGROŃ SZCZYRK



GOLDEN TULIP MIĘDZYDROJE RESIDENCE



PODRÓŻ DAJE RADOŚĆ!

WYKORZYSTAJ SWÓJ BON TURYSTYCZNY
W JEDNYM Z 28 OBIEKTÓW GRUPY KAPITAŁOWEJ
POLSKIEGO HOLDINGU HOTELOWEGO

SZCZEGÓŁY: WWW.PHH.PL/BON

BON
TURYSTYCZNY



Ministerstwo
Rozwoju



POLSKA
ORGANIZACJA
TURYSTYCZNA



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Koniec epoki

W TVN24 nowy skład rządu skomentowano tak: Jarosław Kaczyński celowo „wsadził do rządu” kontrowersyjnego ministra edukacji, żebyśmy mówili o nim, a nie o najważniejszych sprawach. Po czym przez wiele godzin, ilekroć przełączyłem, nie mówiono tam o niczym innym, lecz tylko o tym, jak strasliwym nacjonalistą i homofobem jest minister Czarnek, bo coś tam gdzieś powiedział (czego oczywiście konkretnie nie zacytowano, by widz nie uznał, że powiedział zupełnie rozsądnie) i w ogóle jaki to skandal. Aż się wzruszyłem, tak bardzo przypominało mi to wzmoczenie czasy, gdy ministrem edukacji został Roman Giertych, dziś dla wspomnianej telewizji dyżurny autorytet.

Tymczasem, oczywiście, nie nowy minister edukacji jest najważniejszy dla oceny nowego rządu. Nawet nie nowy minister rolnictwa, którego wyborem prezes PiS przypieczętował akt wypowiedzenia absurdu wojny rolnikom. Najważniejszy jest on sam na stanowisku wicepremiera, będącego zarazem nieformalnym przełożonym premiera.

Opozycja nie ma jak tego skomentować, bo sama od dawna jęczała, żeby Kaczyński „wziął konstytucyjną odpowiedzialność”, w błogim przekonaniu, że nigdy to nie nastąpi. Zwolennicy PiS też nabrali wody w usta. Bo jak tu przedstawić jako sukces ewidentną obsuwę? Można oczywiście tworzyć wymyślne konstrukcje, na przykład o Piłsudskim, który też był w pomajowych rządach zwykłym – teo-

retycznie – ministrem. Odpowiem na to: owszem, był, ale przecież nie po to, by tam któregośkolwiek ze swych podwładnych nadzorować.

To nie jest jeszcze koniec ani nawet początek końca, ale to jest koniec początku – powiedział kiedyś Churchill. Wejście Kaczyńskiego do rządu w roli premiera byłoby znakiem kulminacyjnego wysiłku, rzuceniem na szalę ostatniej rezerwy. Wejście na pozycję wicepremiera, nadzorującego, by uszanowano wolę Kaczyńskiego co do sukcesji, jest wyraźnym tąpnięciem neosanacyjnego systemu. Jak już jednak pisałem, należy się Kaczyńskiemu uznanie, że inaczej niż ongiś Piłsudski myśli, co będzie po jego odejściu, i stara się jak może zabezpieczyć zbudowany przez siebie obóz przed wojną sukcesyjną i dekompozycją. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zanim przyszło LGBTitd.

Homoseksualizm istniał zawsze, tak jak zdrady małżeńskie czy inne występki seksualne. Grzeszna ludzkość łamała wszystkie przykazania, nie tylko szóste. Społeczeństwo umiało z tym jednak żyć, szczególnie społeczeństwo chrześcijańskie. Homoseksualizm budził niesmak (już u Długosza), ale był traktowany jako jeden z ludzkich grzechów.

Szymanowski, Iwaszkiewicz, Andrzejewski nie ukrywali szczególnie tej skłonności i nie była ona tajemnicą dla społeczeństwa. Jedni patrzyli na to z niechęcią (np. Cat-Mackiewicz czy Witkacy), inni ze współczuciem, jeszcze inni z mieszaniną jednego i drugiego. Mało kto jednak redukował

ich dzieło do homoseksualizmu (nawet jeżeli niekiedy zawierało takie wątki), a i oni nie uznawali tego za najważniejszą część swego orędzia i swej osobowości. Nawet jeśli wyrażali to pośrednio, to nie składali deklaracji zmuszających społeczeństwo do aprobaty (lub sprzeciwu). W tym wyrażała się ich tolerancja wobec społecznego otoczenia. Hipokryzja nie jest tu dobrą kwalifikacją, bo obłuda zaprzecza temu, co jest, a tu były po prostu umiar i dyskrekcja.

To podejście zasadniczo różne od politycznego ruchu homoseksualnego, agresywnej kontrkultury, traktującej nawet Biblię jako manifest „homofobii”. Nie będę szerzej omawiał jednej z najbardziej obrzydliwych kampanii

propagandowych obozu lewicowo-liberalnego, który ze sprzeciwu wobec swej polityki zrobił „nagonkę na osoby”. Ta dialektyka pokazuje bolszewicką naturę tej taktyki: działajmy tak, żeby nie stawiali oporu, a w razie czego opór przedstawimy jako agresję.

Jedno jest bowiem oczywistym faktem niedawnej historii: początek rozniecenia emocji wokół „LGBTitd.” to warszawska karta prezydenta Trzaskowskiego i plan „etapowania” wiceprezidenta Rabejka. Plan bardzo prosty: kawałek po kawałku (demonstracja, „partnerstwa”, „małżeństwa”, adopcje, surrogacje), a gdy zaczną stawiać opór, zmieszamy ich z błotem tak, że nawet dyskusji się im odechce. ©

Ochrona natychmiastowa.

Ustawa antyprzemocowa wobec przestępstw seksualnych w rodzinie

Przyjęta w tym roku „ustawa antyprzemocowa” znacząco ułatwia walkę ze zjawiskiem przemocy domowej, w tym również przemocy seksualnej w rodzinie. Dzięki niej ofiara jest chroniona od samego początku, a sprawca odizolowany. To sprawia, że pokrzywdzeni nie muszą uciekać w obawie o zdrowie i życie własne lub bliskich, głównie dzieci

Przemoc domowa to jeden z największych problemów współczesnych społeczeństw. W Polsce – jak wykazują policyjne statystyki – każdego roku doświadcza jej aż ćwierć miliona osób, w większości kobiet, dzieci czy osób starszych. Zdarzają się przypadki, gdy ofiarą jest mężczyzna. Albo starzy rodzice, nad którymi znęcają się ich dorosłe dzieci.

Poza przemocą psychiczną (polegającą na ciągłym wyszydzaniu, krytykowaniu, poniżaniu czy ograniczaniu kontaktów z bliskimi) oraz fizyczną (bicie, kopanie, ciągnięcie za włosy etc.) wciąż zdarza się też wiele przypadków przemocy seksualnej. To nie tylko gwałt czy molestowanie, lecz także wymuszanie zachowań seksualnych, na które druga strona nie wyraża zgody, wymuszanie seksu z osobami trzecimi, sadystyczne formy współżycia seksualnego czy krytyka zachowań seksualnych. W 2019 r. w policyjnych statystykach odnotowano 1238 przypadków przemocy seksualnej.

W rzeczywistości ofiar może być jeszcze więcej, ponieważ często tak bardzo boją się one sprawców przemocy, że unikają zgłaszania takich przypadków organom ścigania.

Swoich oprawców szczególnie boją się te osoby, które mieszkają z nimi pod jednym dachem. Obawiają się, że po interwencji policji ich oprawca będzie się mścił lub będzie im groził, przez co będą musiały uciekać z domu i nie będą się miały gdzie podziać.

PRZECIW DOMOWYM GWAŁCICIELOM

Organizacje zajmujące się walką z przemocą domową i opieką nad ofia-

rami takiej przemocy od lat apelowały więc do władz o zmianę stosownych przepisów. 30 kwietnia 2020 r. Sejm niemal jednogłośnie uchwalił przygotowaną w Ministerstwie Sprawiedliwości „ustawę antyprzemocową”, czyli Ustawę o zmianie ustawy Kodeks postępowania cywilnego oraz niektórych innych ustaw.

Została ona opracowana w taki sposób, aby ofiary przemocy mogły liczyć na szybszą i skuteczniejszą pomoc ze strony państwa.

Według nowych przepisów policja musi udzielić pomocy poszkodowanej ofierze, a jeśli to konieczne, wezwać pogotowie oraz zapewnić jej doraźne bezpieczeństwo. Policja ma również prawo zatrzymać sprawcę przemocy, zwłaszcza że czyny takie jak gwałt czy zmuszanie do innych czynności seksualnych są ścigane z urzędu. Organy ścigania muszą więc podjąć odpowiednie czynności, gdy tylko dowiedzą się o prawdopodobnym popełnieniu przestępstwa tego typu.

Jednak tym, co diametralnie zmienia położenie ofiar przemocy, jest wprowadzona nowym prawem możliwość natychmiastowego izolowania sprawców przemocy domowej od ofiar. To fundamentalna zmiana, ponieważ wcześniej tego typu sprawy ciągnęły się miesiącami. Sprawca pozostawał w kontakcie z ofiarą i mógł ją w dalszym ciągu krzywdzić lub zastraszać. Ta mogła jedynie szukać schronienia poza domem.

W OBRONIE SŁABSZYCH

Dzięki nowelizacji przepisów ofiara nie musi już nagle opuszczać swojego miejsca zamieszkania, ale to sprawca zostaje z niego usunięty. I to natychmiast, już podczas interwencji policji.



Policjant może też wydać zakaz zbliżania się sprawcy przemocy do mieszkania, w którym pozostaje ofiara, i jego bezpośredniego otoczenia. Musi on też pozostawić klucze do wspólnie zajmowanego mieszkania.

Decyzja policji obowiązuje przez 14 dni, a o jej przedłużeniu decyduje sąd. Sąd może też wskazać obszar lub odległość od wspólnie zajmowanego mieszkania, którą osoba stosująca przemoc w rodzinie jest obowiązana zachować.

SPRAWDZONE WZORCE

Nowe przepisy zapewniają ofiarom nie tylko poczucie bezpieczeństwa, lecz także poczucie sprawiedliwości. Zmieniona ustawa wzorowana jest na rozwiązaniach stosowanych z powodzeniem w innych krajach Europy (m.in. w Austrii, Czechach czy w Hiszpanii).

Nie jest to jednak jedyna zmiana, którą przeprowadzono w ostatnich latach w celu zwiększenia ochrony najsłabszych. Wcześniej, w 2016 r., rząd wprowadził – wzorem m.in. Stanów Zjednoczonych – Rejestr Sprawców Przestępstw na tle seksualnym. Został on podzielony na dwie części: jawną (powszechnie dostępną w Internecie) oraz z dostępem ograniczonym m.in. do policji oraz sądów.

W pierwszej z nich znajdują się nazwiska oraz zdjęcia kilkuset osób skazanych za zgwałcenie osoby małoletniej, gwałt ze szczególnym okrucieństwem oraz w przypadku przestępstw seksualnych popełnionych w warunkach recydywy. Aby lepiej chronić swoje dzieci, każdy może sprawdzić, czy w okolicach jego domu czy szkoły mieszkają osoby skazane za tego typu przestępstwa. Na stronach policji znajduje się też mapa miejsc szczególnego zagrożenia przestępczością na tle seksualnym.

W 2017 r. w ustawach nowelizujących Kodeks karny i Kodeks postępowania karnego zaostrzono także niektóre kary dla sprawców przestępstw pedofilskich. Podniesiono zwłaszcza kary za przestępstwa dokonywane na dzieciach.



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O chorobie francuskiej

Éric Zemmour jest we Francji bardzo znany pisarzem, eseistą i dziennikarzem. Pisuje w „Le Figaro”. Zespół poglądów, które wyznaje, przynajmniej w oczach postępców, lokuje go na prawo od Iwana Groźnego. Nie podobają mu się: multi-kulti, imigracja, feminizm, globalizacja, neo-liberalizm, Unia Europejska, igraszki z tożsamością płciową i wiele innych zjawisk.



We wrześniu ubiegłego roku wziął udział w spotkaniu promowanym przez katolicki tygodnik „Valeurs Actuelles”. Mówił tam wiele rzeczy, a między innymi: „We Francji, jak i w całej Europie, wszystkie nasze problemy pogłębiła – uwaga, nie twierdzę, że stworzyła – imigracja”. Wymienił edukację, mieszkalnictwo, dług publiczny, porządek publiczny, więziennictwo, służbę zdrowia, życie społeczne, fachowość i narkomanię. Na trop tych

słów wpadła francuska żandarmeria poprawności politycznej i oskarżyła Zemmoura o rasizm. Sąd skazał go na grzywnę w wysokości 10 tys. euro.

Wyrok, jak na ironię, doręczono mu 25 września, gdy niejaki Zaher Assan Mehmood z Pakistanu zaatakował i ciężko poranił tasakiem w Paryżu dwóch Francuzów pod była siedzibą satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”. Był to akt zemsty za powtórnie opublikowane w piśmie karykatury Mahometa w rocznicę krwawej łaźni sprzed pięciu lat. Sprawca nie wiedział, że redakcję przeniesiono w tajne i pilnie strzeżone miejsce. Ali H. przybył do Francji trzy lata temu jako nieletni migrant.

Nie chcę przez to powiedzieć, że kolejny akt islamskiego terroryzmu potwierdza słuszność teorii Zemmoura. Byłby jednak, demagogicznym lub nie, argumentem w dyskusji nad imigracją. Tyle że najwyraźniej we Francji czas na dyskusję o problemach społecznych minął. Rządzi dyktatura politpopu, która podporządkowała sobie parlament i wymiar sprawiedliwości. Sędzia, który skazał Zemmoura, mógł to zrobić wyłącznie na podstawie ustanowionego prawa.

Wiele się we Francji zmieniło. Ponoć Wolter powiedział: „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam życie, abyś mógł to powiedzieć”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Niech tańczą

List 50 dyplomatów – w tym z tak humanitarnych państw jak Wenezuela czy Indie – nauczających Polskę o prawach człowieka okazał się mieć również jednego, nieoczywistego adresata. „Ponieważ Tomasz Lis zabraniał osobom LGBT i je wspierającym tańczyć w Boże Ciało, to powiedzcie mu, że list ambasadorów jest też trochę do niego” – stwierdziła Katarzyna Markusz z Jewish Telegraphic Agency.

Szybko została jednak upomniana za odejście od liberalno-opozycyjnej mądrości etapu. „Katarzyno, impreza pod Pałacem miała na celu tylko wywołać zamęt. Niczego sensownego nie wniosła. Myślę się? Przypomnij sobie, jak mało osób wzięło w tym udział – dziennikarzy było więcej” – zauważył Mikołaj Wróblek. „Co roku organizuję uroczystość upamiętniającą zagładę getta w moim mieście. Przychodzi może z 5 osób, a jednak dalej to robię (więcej jest dziennikarzy). Ktoś powie, że wywołuję zamęt, bo władze mojego miasta nie lubią tematu. Tak to widzę. Niech tańczą!” – odparła dziennikarka, zestawiając upamiętnienie ofiar Holocaustu z „tęczowym disco”.

Zerknijmy teraz, co słychać po wreszcie dokonanej rekonstrukcji rządu. „Uważam, że pan Czarnek powinien zostać ministrem nauki. Może się wreszcie czegoś nauczyć. A pretensje marud, że jest troglodytą, chamem i prymitywem, uznaję za stronnicze. Niby od kiedy tego typu przymioty przeszkadzają w obejmowaniu wysokich stanowisk w tej ekipie?” – zapytał Marek Migalski. Wtajemniczeni twierdzą, że być może wiedzę czerpie z autopsji.

Na koniec kącik historyczny. „21 sierpnia 1811 – Barbara Zdunek została uznana za czarownicę i spalona na stosie. Była to ostatnia tego typu egzekucja w Europie. Odbyła się na ziemiach polskich. Nie, nie w Kraśniku. W Reszlu” – zauważył Rafał Wojna z TVN24. Zapomniał jednak o szczególe, o którym przypomnieli Marek Łada. „Barbara Zdunek została skazana przez pruski sąd za podpalenie, w wyniku którego zginęli ludzie. Wyrok śmierci zatwierdził król Prus. Związek z Polską może być tylko taki, że Prusacy spalili na stosie Polkę, oskarżając ją o czary”. Więc albo ktoś tutaj nie doczytał, albo igra z relacjami polsko-niemieckimi. Co gorsze? ©©



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





JAK UŚPIĆ ŚWIADOMOŚĆ?

Edzia Górniak znów miała wizję. Nie, nie muzyczną, bo tych już od lat jakoś nie doświadcza. Edzia dopatrzyła się ostatnio na zachmurzonym niebie kształtu anioła. Zrobiła zdjęcie i natychmiast umieściła je na Instagramie. Z własnym przesłaniem. „Rozpuść w sobie strach. Po prostu rozpuść go. Nie jest twój. Jest iluzoryczny, bo oparty na kłamstwie. Przywołaj miłość i zaufaj... Liczy się każda kropla naszej przebudzonej świadomości” – napisała. Czasem jednak wolelibyśmy, by strumienie świadomości Edzi pozostały w uśpieniu. Najlepiej na stałe.

CO KOMU MOŻNA ODEBRAĆ

Podróżniczkocelebrytka Martyna Wojciechowska uważa, że w Polsce łamane są prawa kobiet i trzeba przeciwko temu głośno protestować. – Nie jestem obojętna. Zależy mi, jaka będzie Polska i jaki kraj zostawię dla mojej córki. Ten kraj ma być krajem otwartości, tolerancji i wzajemnej życzliwości – deklaruje. – Jestem bardzo zaniepokojona. Próbuje zmienić prawa, które zostały wynegocjowane. Zapewniając minimum praw kobiet, mamy wiele do zrobienia. My w Polsce pozwalamy odebrać sobie prawa, które już mamy. Może odbierzemy kobietom prawo do głosowania lub wyboru zawodu, noszenia spodni? Kiedyś te wszystkie rzeczy nie były dostępne dla kobiet – twierdzi Martyna. Marzy nam się odebranie celebrytom prawa do opowiadania bzdur. Wszystkim, nie tylko kobietom, żeby pani Martyna nie mogła się przyczepić.

HEJT STOP

Celebrytka Julia Wieniawa źle znosi krytykę swojego nowego kosmetycznego biznesu. W Internecie pojawiły się pierwsze recenzje jej produktów kosmetycznych. Blogerki narzekają, że tusze są kiepskiej jakości, pomadki mają dziwną konsystencję i generalnie produkty nie są warte swoich wysokich cen. „Mam wrażenie, że niektórym przydałoby się obejrzeć film »Hejter«.

USTA PEŁNE KRYTYKI

Łatwego czasu nie ma też inna celebrytka Blanka Lipińska, której obrywa się mocno za wygląd. Lipińska otwarcie mówi o tym, że

korzysta z wielu zabiegów medycyny estetycznej i wcale się tego nie wstydzi. Co więcej, przyznaje nawet, że bez nich nie wyglądałaby tak dobrze jak teraz. Sęk w tym, że coraz częściej pojawiają się komentarze, że celebrytka wcale dobrze nie wygląda. „Bez obrazy, ale jak na swój wiek to jesteś strasznie brzydko zrobiona. Za dużo... Mimo wszystko pozdrawiam” – napisała jej jedna z fanek na Instagramie. Blanka postanowiła odpowiedzieć z klasą, jak na pisarkę powieści erotycznych przystało. „Spoko, ja tam się nie obrażam. Ale trochę hipokryzja z twojej strony... patrzyłaś ostatnio w lustro?” – napisała. Później dodała, że martwi się o swoje usta. Że optycznie się zmniejszą, gdy zdejmie aparat ortodontyczny. – Ja osobiście bardzo się martwię, co będzie, jak zdejmę aparat, te usta wrócą do swojego normalnego wyglądu i do swojej normalnej wielkości. Myślę, że będzie mi ich brakować. I jeśli tak będzie, to nie pytając nikogo o zdanie, ponieważ to jest moje życie, zrobię sobie je cztery razy większe, jeżeli będę miała takie życzenie – zapowiedziała. I ponieważ to jest moje życie, to natychmiast poinformuję o tym świat na Instagramie!



FOT. RAOŚLAW NAWROCKI/FOTUM

AKTOR ANALITYK

Aktor Adam Ferency w wywiadzie dla tygodnika „Newsweek” postanowił popolitykować. A raczej rytualnie ponarzekać, jaki PiS jest zły oraz jak nas uwstecznia i w ogóle jak wszystko się sypie. „Chyba wszystko, co dało się przejąć, przejęła, kogo mogła obezwładnić, obezwładniła. Żyjemy w kraju, w którym udało się skrzywdzić nawet język. Używa się wzniosłych słów, żeby zaszpachlować najbardziej pospolite kłamstwa” – ubolewa, by za chwilę stwierdzić, że koniec tej władzy jest już blisko. „Każda władza powinna zdawać sobie sprawę, że obojętność ludzi nie trwa wiecznie. Ta władza może jeszcze tego nie czuje, ale napięcie rośnie. W ludziach jest rozdrażnienie, które pandemia jeszcze wzmacnia. Obawiam się, że czeka nas wybuch” – wieszczy. Nie chcemy mu psuć samopoczucia, ale warto przypomnieć, że ta władza niedawno wygrała wybory. Parlamentarne i prezydenckie. Tak, wybuch jest blisko. Wybuch śmiechu, gdy czyta się tak celne analizy polityczne. ©©

FOT. JANEK GONIAŁA

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

To nie jest koniec świata. To jest koniec koalicji...

Marek Suski

*... jeżeli będziemy szli dalej tą logiką,
to wyścigi konne i ZOO mogą być zakazane.*

Marek Jurek o projekcie ustawy „piątka dla zwierząt”

*... bycie wiceministrem za pensję kierownika supermarketu
nie jest czymś co odpowiada Pawłowi Kukizowi czy mnie.*

Jarosław Sachajko, poseł Kukiz'15



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

2 615 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 201 000
słuchaczy
Gość Radia Zet



421 000
słuchaczy
Salon Polityczny
Trójki



281 000
słuchaczy
Gość Poranka
(Tok FM 7:45)



Źródło:
Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tymczasem w Ameryce odbyła się debata prezydencka i patrząc po komentarzach znacznej części dziennikarzy, trendsetterów i publicystów, podstawowym kryterium, jakim się powinni kierować obywatele USA podczas wyborów, jest to, czy kandydat podoba się Polakom.

z nim amerykańska demokracja będzie się miała w porządku.

A Trump, cóż, naszym zdaniem Amerykanie powinni zmienić prezydenta. Chyba w tym celu odpalimy nawet jakieś hashtagi na Twitterze, prześlemy trochę lajków, no coś trzeba w każdym razie zrobić. W końcu my też jesteśmy trendsetterami.

Polaka. Jakby mało było wszystkich nie-szczęść, czeka nas jeszcze rozbudzenie demonów polskiego patriotyzmu.

Iż jesteście jeszcze młodszy niż my, pewnie nie pamiętacie małyszomanii. Boimy się, że teraz będzie podobnie: tłumy januszów na ulicach pijanych nacjonalizmem, iż oto Polak jest najlepszy, to Polakowi cześć i chwała.

Gdzie w tym wszystkim pamięć o przegranych i szacunek dla nich? Poza tym, kaman, Lewandowski wygrał z widocznie gorszymi (zdaniem głosujących, nie naszym – my nie dzielimy) od siebie, czym tu się cieszyć?

50 ambasadorów szczerka na Polaków
w centrum Warszawy...



Of kors nie tym Polakom, którym podoba się Trump. Nie bądźmy śmieszni xD

Już pewnie się domyślacie, a jeśli nie, to powiemy to wprost, iżby was nie przemęczać – Amerykanie powinni wybrać Joe Bidena z Partii Demokratycznej, której nazwa nam się dobrze kojarzy i wywołuje poczucie, iż

Pisząc te słowa, nie wiemy tego na 100 proc., opieramy się na medialnych przeciekach (czyli w zasadzie wszystko jedno, bo kogo obchodzą fakty i źródła xD), ale podobno Robert Lewandowski zostanie ogłoszony najlepszym piłkarzem 2020 r.

Jest coś symbolicznego w tym, iż w tak trudnym roku triumf wędruje do

Znów się szykuje przypał w relacjach polsko-niemieckich. Czytaliśmy, iż gdzieś tam w Polsce B mieszkańcy organizują protesty przeciwko wwożeniu do Polski odpadów z Niemiec.

No przepraszamy bardzo, ale gdzie Niemcy mają składować swoje śmieci? W Niemczech? Trochę szacunku może, co?

To naprawdę taki problem im pomóc i wziąć trochę tych śmieci do siebie? W imię lepszych stosunków, może ktoś o nas lepiej pomyśli, cieplej, uśmiechnie się nawet. Bądźmy dla innych trochę miłsi w tej polityce międzynarodowej, to potem oni będą miłsi dla nas, to przecież takie proste. ☺☺



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:**

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Film o kurach

Cześć, Grzegorz.

Sylwia? O matko, wchodź szybko i drzwi zamknij! Widział cię ktoś?

No... Strażnik chyba. Machnęłam mu tam legitymacją europosłanki i mnie wpuścił.

Ktoś jeszcze?

Nie wydaje mi się. Ale czemu się mamy ukrywać?

Na razie to, co jest między nami, musi pozostać w tajemnicy.

Ale przecież ty i tak mówisz właściwie to samo co ja. Tylko trochę mniej.

Tak, ale wiesz, jak to jest... Póki cię tu nikt nie widzi, nie ma jeszcze gigantycznej awantury. Jest tylko wielka. Przyniosłaś to, o co cię prosilem?

Jasne. Tu masz na pendrajwie ten film o mordowanych kurach, a tu masz całą agendę na trzy lata rozpisaną. Jak dobrze pójdziesz, to

nawet ze świnkami zdążysz się uporać przed wyborami.

Świetnie, dzięki. Co ja bym zrobił bez ciebie?

Ale czekaj, czekaj! Co ty tam masz?!

Gdzie?

Tam, na stoliku przy oknie?

Tam? A, to nic, kanapkę tylko...

„Kanapkę tylko”?! Z kiełbasą! Z KIEŁBASĄ!!! Ja kiełbasę z kilometra wyczuję. Ty morderco zwierząt! ☺☺ **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Moja mama czasem płacze, że tu jest gorzej niż za komuny”

ALEKSANDRA DULKIEWICZ, prezydent Gdańska, o Polsce na antenie niemieckiego radia Deutschlandfunk

Nowość rynku nieruchomości – Apartamenty wakacyjne

Dziś, w momencie, gdy tak wiele się zmieniło, nie wyjeżdżamy już tak chętnie za granicę, wybieramy raczej urlop w Polsce. Obserwując wykresy z branży turystycznej, łatwo zauważyć, że pomimo pandemii sezon wakacyjny nie skończył się dla niej tak źle. Dzięki licznym turystom kierunki takie jak Wybrzeże, Mazury czy góry cieszyły się naprawdę dużą popularnością, porównywalną praktycznie z ubiegłorocznym



Osiedle Słoneczne Dębki, Grupa Inwest.
www.slonecznedebki.pl

sezonem, co w obliczu pandemii jest naprawdę dobrym wynikiem. I tu rodzi się pytanie: Czy warto inwestować w nieruchomości wakacyjne?

JAK REAGUJE RYNEK?

Od kilku lat obserwujemy przybywającą na rynku obiekty oferujące najem apartamentów na pobyty krótkoterminowe. Jednak czy one na pewno w całości zaspokajają potrzeby rynku? Otóż nie i właśnie dlatego pojawił się na nim nowy produkt – apartamenty inwestycyjne o charakterze wakacyjnym. Zmieniająca się rzeczywistość nie tylko sprawia, że decydujemy się na spędzanie urlopów w kraju, lecz także myślimy o bezpieczeństwie – naszej rodziny, nas samych i naszych inwestycji. Inwestując w prywatne nadmorskie mieszkanie, mamy pewność, że jest to rodzinna inwestycja w bezpieczny wypoczynek. Inwestować możemy nie tylko sami – coraz bardziej popularne są inwestycje rodzinne, wraz z dziadkami czy rodzeństwem. Taki zabieg daje nabywcom możliwość zakupu wymarzonej nieruchomości na korzystnych warunkach finansowych, a także przede wszystkim spędzania czasu wolnego w rodzinnym gronie lub dzielenia się terminami pobytów z rodziną, gdzie każdy z jej członków może korzystać z nieruchomości we własnym zakresie. To jest zresztą

jeden z wielu atutów takiej nieruchomości – jest ona nie tylko naszą własnością, którą możemy zarządzać według własnego uznania i potrzeb – korzystając z niej w dowolnym czasie – lecz możemy również przeznaczyć ją na wynajem, zarabiając na zadowalającym obłożeniu, które zagwarantuje nam atrakcyjna oferta nieruchomości, a także jej lokalizacja.

W obliczu pandemii warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną istotną korzyść posiadania nieruchomości, na przykład w nadmorskiej lokalizacji. Duża część rynku pracy zmieniła sposób działania i wdrożyła system home office, model pracy zdalnej stał się tym samym nie tylko bardziej popularny, lecz także doceniany. To oznacza, że pracować możemy praktycznie z każdego miejsca i nie musimy wcale być uzależnieni od miejsca wykonywania swoich zadań. Wyobraźmy sobie zatem możliwość wyjścia na poranny spacer nad morze, by następnie wieczorem, po skończonej pracy, oglądać na plaży zachód słońca.

GDZIE SZUKAĆ TAKICH OFERT?

Skupmy się na Wybrzeżu, ponieważ to właśnie te rejony przodują w rankingach popularności wśród kierunków urlopowych. W nadmorskich miejscowościach przybywa inwestycji o charakterze wakacyjnym. Jedną z nich jest położona w malowniczych Dębkach, w powiecie puckim, inwestycja ogólnopolskiego dewelopera Grupa Inwest. Osiedle Słoneczne Dębki, bo taką nosi nazwę powstająca właśnie inwestycja, składa się z 16 mieszkań położonych łącznie w 8 kameralnych budynkach, a jej zakończenie zaplanowane jest na LATO 2021. Budowa już się rozpoczęła, a pierwsze z mieszkań znalazły już swoich nabywców.

Dębki to przepiękna nadmorska miejscowość, która nieprzerwanie od kilkunastu lat przyciąga spragnionych słońca i dobrej zabawy turystów. To właśnie tam, w urokliwej części Dębek, a jednocześnie w odległości 800 m od plaży, powstaje nowe osiedle. Lokalizacja inwestycji jest korzystna również pod kątem dojazdu z każdej części Polski, w tym autostradą A1 (odległość od Gdańska – 80 km, Puck – 25 km). Puck i okolice to zresztą na pewno dobry przykład lokalizacji z potencjałem. Organizowane są tam światowe zawody sportów wodnych, powstaje też nowoczesna marina jachtowa, a nieduża odległość od Trójmiasta sprawia, że okolice te są bardzo atrakcyjne i często wybierane na wypoczynek.

INWESTYCYJNIE, ALE O CHARAKTERZE MIESZKANIOWYM

Oferta apartamentów wakacyjnych ma na pewno wiele zalet. Przede wszystkim jednak wygrywa lokalizacja – w tym przypadku wspomniana inwestycja położona jest zaledwie 800 m od pięknej plaży w Dębkach, klasyfikowanej wysoko w rankingach polskiego Wybrzeża. Apartamenty są ponadto zaprojektowane tak, by każdy z nich miał oddzielne i niezależne wejście, dające komfort i bezpieczeństwo swoim mieszkańcom. Niewątpliwym atutem jest także własny ogródek, który przynależy do każdego z mieszkań. Ponadto teren jest zamykany bramą i są miejsca postojowe przed budynkiem. Jeśli dodamy do tego, że są to optymalne metraże (3 pokoje z aneksem kuchennym, 54 lub 62 mkw.), wykończone „pod klucz” w cenie zakupu, to daje nam to w podsumowaniu nie tylko doskonałą lokatę kapitału, lecz także własny nadmorski azyl, z którego możemy korzystać przez cały rok.



16 mieszkań z ogródkami w 8 kameralnych budynkach,
800 m od plaży: www.slonecznedebki.pl

Ponieważ fraza „się wściekł” zarezerwowana jest dla Złego Donalda z Brukseli, napiszemy tylko „szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński się zirytował”. Irytacja Kaczyńskiego SWP wywołana została sugestią, jakoby na początku września prezydent Andrzej Sebastian był konsultowany w sprawie wejścia Naczelnika do rządu. Stąd publiczne dementi Krzysztofa Sobolewskiego. To bowiem w sumie tak, jakby ktoś ogłosił, że Słońce konsultowało się z horyzontem w sprawie swego ewentualnego wzejścia. I my tę irytację rozumiemy.

Wwiewiórki opowiadają natomiast, że koncepcja szeregowego wicepremiera pojawiła się na stole już w sierpniu, kiedy negocjacje koalicyjne dopiero nabierały rumieńców. Rację mają ci, którzy przypominają, że Kaczyński SWP gra w szachy, kiedy inni grają w bierki.

Kryzysy, jak wiadomo, mogą mieć dwojakie skutki. Doprowadzić do przesilenia i wyzdrowienia pacjenta. Lub wręcz przeciwnie – do śmierci. Ostatni kryzys będzie miał skutki obu rodzajów. Niektórych zabije, innych wzmocni. Tak mówią wiewiórki z Nowogrodzkiej.

W sprawie rekonstrukcji rządu. Musimy przyznać, że wybór Grzegorza Pudy na ministra rolnictwa to decyzja tyle odważna, co straceńcza. Cokolwiek by było, rzecz w tym, że zarówno Ardanowski, jak i Jurgiel mieli ten sznyt, który na pierwszy rzut oka nie pozostawiał złudzeń: chłopcy z krwi i kości. Puda, ze swoją fizys okularnika rozmiłowanego w zwierzakach i roślinkach, łatwo mieć nie będzie, ale oczywiście możemy się mylić. Nagle się przecież może okazać, że przepije każdego z szefów związków rolniczych i będzie wycinał hołubce do białego rana z rumianymi chłopkami. Czekamy, czekamy.

Niech was natomiast nie zmyli z kolei fizys nowego szefa szkolnictwa i nauki wyższej. Wbrew pozorom i medialnemu wizerunkowi Przemysław Czarnek w skórze ogra kryje subtelny intelektualistę. Chłopak z Koła, który związał się z Lublinem, radził sobie do tej pory na najtrudniejszych odcinkach, i to od dzieciństwa. Mając schorowanych

rodziców, musi wychować swoje rodzeństwo. A wiemy o nim jeszcze inne rzeczy, które pozwalają nam domniemywać, że nie tylko poradzi sobie z nauczycielstwem i profesurą, lecz także zajdzie dużo dalej.

Mieliśmy już gotową złośliwą notkę o Michale Wosiu z SolPolu. Że to mężczyzna pracujący, co żadnej pracy się nie boi. No bo na liście spraw, za które odpowiadał, były kolejno: Śląsk, wymiar sprawiedliwości, uchodźcy, lasy państwowe, a teraz miał być jeszcze od spraw ideolo. Niezbyt się to jednak podobalo na Nowogrodzkiej. Więc Woś wraca do resortu sprawiedliwości. Wiecie, co

dwaj panowie g



FOT. ROBERT CAROZINSKI

mówią. Można człowieka wyjąć z Ministerstwa Sprawiedliwości, ale nie da się wyjąć Ministerstwa Sprawiedliwości z człowieka.

W związku z powyższym ministrem od ideolo i bycia twardym jak antracyt wobec Unii Europejskiej został Michał Wójcik. To się bardziej podoba na Nowogrodzkiej, gdyż Wójcik sporo jeździł po Europie jako wiceminister sprawiedliwości i negocjował rozmaite ważne porozumienia w sprawie polityki rodzinnej. Słusznie. W końcu Europa to jednak rodzina, choć nieco patologiczna.

Apropos patologii w rodzinie europejskiej. Bracia Węgrzy się wściekli. Na niejaka Katarinę Barley, wiceprzewodniczącą europarlamentu, która mówiła o tym, że trzeba finansowo

zagłodzić Polskę i Węgry (potem radio Deutschlandfunk prostowało, że mówiła jedynie o Węgrzech). Jeśli czytacie te słowa w poniedziałek, to wiedźcie, że jutro, czyli we wtorek, bratankowie będą się domagać w EPP odwołania pani Barley. Mają też gotowy argument, gdyby ktoś protestował, że nie ma co odwoływać polityków za słowa w mediach: „A bratanka Richarda Czarneckiego to za co odwołaliście?”.

Pozostając przy sprawach węgierskich. Słyszeliśmy, jak w mediach narodowych pewien sportowy dziennikarz (spoza TVP) mówi o rządzie Orbána per „reżim Orbána”. Sami słyszeliśmy, w magazynie o futbolu. Dziennikarza można zrozumieć, bo pracował do niedawna w hajdarobombrowej „Rzepie”, czyli takiej „mini-Wyborczej”. Jak się jednak Viktor dowie, to nie będzie taki wyrozumiały.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Wyjaśniamy: Darek to Jacek. A konkretnie: Darek K. to Jacek K. Chodzi o byłego szefa Orlenu z czasów PeŁo. Tego, którego zawinięło CBA z podejrzania, że dał w łapę, żeby zdobyć posadę. Skąd znamy Jacka K.? Z taśm od Sowcy. Tam z Radkiem Sikorskim recenzował kolegów z PeŁo: „Grupiński jest niegłupi, ale Halicki, no, to jest mój sąsiad, mieszka wieś obok. To jest, ku...a, debil, no”. Hm, jeśli CBA ma rację, to i Jacek K. nie za mądry.

Jednak nasz ulubiony fragment taśm brzmi tak. „RADEK: Jak masz za dużo złodziei czy jakiś innych ch...w, no to wtedy masz problem. JACEK K.: No, ale na tym polu to też jesteśmy, k...a... Już nie mówię o takich miejscach jak Ukraina, ale chociażby, k...a, Czechy. Jaka tam jest korupcja! To jest masakra, zupełnie inny świat. RADEK: Też mi się wydaje... JACEK K.: My naprawdę, k...a, jesteśmy w tej chwili przezroczyści. Jak spojrzysz na standardy europejskie...”. Widzicie, kochani, wszystko przez te standardy. Jacka K. i Sławomira N.

Na koniec mamy ważny komunikat do namiestnika amerykańskiego w Vistula County, pani gubernator Georgette Mosbacher, która ogłosiła Polakom, że „w sprawie LGBT jesteście po złej stronie historii”. Otóż, pani namiestnik, w sprawie LGBT jest pani po złej stronie dyplomacji. ©©

21-23 Października 2020
Jasionka k. Rzeszowa

5 EDYCJA

||| KONGRES

590

POLSKA 2030

**NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE
GOSPODARCZE JESIENI**

KONGRES W FORMULE HYBRYDOWEJ

KUP BILET, ZOSTAŃ PARTNEREM
WWW.KONGRES590.PL



Z bp. Athanasiusem Schneiderem
rozmawia Paweł Lisicki



FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/SPA/EST NEWS

Żyjemy w bardzo okrutnym społeczeństwie



**BP ATHANASIVS SCHNEIDER
W ROZMOWIE
Z PAWEŁM
LISICKIM
„WIOSNA
KOŚCIOŁA, KTÓRA
NIE NADESZŁA”
WYDAWNICTWO
ESPRESSO 2020**

bp Athanasius Schneider

Mieszkający na stałe od 2011 r. w Nur-Sułtan, stolicy Kazachstanu, bp Schneider to zapewne najbardziej znany tradycjonalistyczny biskup Kościoła katolickiego. Jego artykuły, analizy, komentarze pojawiają się regularnie na stronach: lifesitenews.com, remnantnews-paper.com, onepeterfive.com, katholischesinfo.de czy corrispondenzaromana.it. Jest tak dlatego, że biskup nie martwi się polityczną poprawnością. Mówi to, czego od żadnego innego hierarchy usłyszeć nie sposób. W świecie, w którym wszyscy powtarzają slogany i banały, jego głos brzmi inaczej. Nie boi się nazywać rzeczy po imieniu, nawet kiedy rozmawialiśmy o dokumentach Soboru Watykańskiego II, o postawie innych biskupów czy obecnym pontyfikacie. W czasie naszej rozmowy kilka razy wspominał, że postanowił nie uprawiać żadnej „myślownej akrobacji”.

Biskup pochodzi z rodziny tzw. rosyjskich Niemców. Jego przodkowie przybyli do imperium carów w 1809 r. z Alzacji-Lotaryngii. Jak ważna w przekazie rodzinnym była pamięć, najlepiej pokazuje to, że biskup potrafi wymienić imiona wszystkich przodków poprzednich pokoleń, od pierwszych, którzy przywędrowali do Rosji. W wywiadzie z amerykańską dziennikarką Diane Montagną opowiadał o heroizmie niemieckich księży prześladowanych przez komunizm – spośród ponad dwustu kapłanów pracujących na południu Ukrainy i nad Wołgą żaden nie wyparł się wiary; niemal wszyscy zginęli lub zostali uwięzieni. Ostatni biskup, Josef Alois Kessler, zmarł w Niemczech, wygnany przez komunistów z diecezji w 1922 r. Biskup opowiadał też o śmierci dziadka Sebastiana Schneidera, rozstrzelanego przez komunistów, kiedy jego syn, a ojciec biskupa, miał siedem lat. Schneiderowie wrócili do Niemiec w 1973 r. Przyszły biskup miał wtedy 12 lat.

Biskup Athanasius Schneider do Kazachstanu trafił w 2006 r., początkowo jako biskup pomocniczy w Karagandzie. W tym samym roku w bazylice Świętego Piotra w Rzymie przyjął sakrę biskupią z ręką kard. Angelo Sodano. Kilku dniową rozmowę przeprowadziłem z nim na początku lutego 2020 r. w Nur-Sułtan.

prawidłowość: im szybciej w danym państwie następuje liberalizacja Kościoła, tym katastrofa jest bardziej dramatyczna. Te Kościoły narodowe, które miały największy wpływ na przebieg Soboru Watykańskiego II – niemiecki, holenderski, belgijski, francuski – znajdują się w stanie zaniku. Czy mamy do czynienia z ostatnim etapem istnienia chrześcijaństwa w Europie?

BP ATHANASIVS SCHNEIDER: Nie powiedziałbym, że to koniec chrześcijaństwa w Europie. Z pewnością możemy jednak mówić o duchowym wirusie, który przeniknął do Kościoła. Stało się tak za sprawą soboru, chociaż wbrew oczekiwaniom i zamiarom

wielu jego ojców, którzy chcieli czegoś całkiem innego: odnowienia i wzmocnienia. Podkreślam, że w dokumentach soborowych jest wiele cennych i ważnych myśli. Jednak pojawiły się w nich też twierdzenia, które otworzyły drzwi dla relatywizmu. Jeśli wszystkie religie są równe, to po co mam się angażować? Skąd ma się brać duch gorliwości, ofiary, oddania? Dlaczego zdobywać się na wyrzeczenia, takie jak na przykład celibat? Dlaczego zabiegać o ratunek dusz? O ewangelizację? Rozpowszechniły się poglądy, które wcześniej w Kościele nie miały miejsca, takie jak stwierdzenie, że wszyscy idą do nieba lub że piekło nie jest wieczne. Księża, którzy propagowali takie tezy, zostali później mianowani biskupami, nawet kardynałami. Z pewnością można tu mówić o ogromnej odpowiedzialności Stolicy Apostolskiej za to, że biskupami i kardynałami zostali ludzie, którzy głosili dwuznaczną naukę, nie dawali żadnej ręką, że będą wiernie uczyć stałej wiary Kościoła. Zaczęli wtedy awansować ludzie środka, zwolennicy zawierania kompromisów – w ostatecznym rachunku byli to relatywiści. To ci ludzie coraz szerzej otwierali bramy Kościoła przed potopem relatywizmu. Nie da się ukryć, że te niszczące w skutkach działania pochodziły od hierarchii. Odpowiedzialność za to spada, powtarzam, na Stolicę Apostolską, na Rzym. Jestem przekonany, że w przyszłości papież będą musieli za to odpokutować. Wierzę, że w przyszłości papież dokona takiego publicznego wyznania win, w którym powie: „My, Rzym, my, Stolica Święta, jesteśmy odpowiedzialni za katastrofalny rozwój wielu Kościołów lokalnych, za zniszczenie prawdziwego życia katolickiego w sferze wiary, dogmatów, liturgii, moralności w tyłu katolickich narodach”. Któryś z papieży przyszłości pójdzie szlakiem Hadriana VI z czasów reformacji, który w 1522 r. pierwszy raz w historii Kościoła – do tej pory był to zresztą pierwszy i ostatni raz – napisał list, publicznie przyznając: całe zło, wszystkie występki rozlały się na świat katolicki z tego źródła, z Rzymu. To my jesteśmy wielkimi grzesznikami, to my jesteśmy winni zła w Kościele. List ten przekazał Hadrian swoim wysłannikom, którzy odczytali go w Ratyźbonie, na sejmie Rzeszy. To była uczciwa i właściwa, jak sądzę, postawa. To musi się wydarzyć także w przyszłości.

Wracając do pańskiego pytania, trzeba powiedzieć, że niszczenie chrześcijań-

PAWEŁ LISICKI: Czy istnieje jeszcze w ogóle chrześcijańska Europa? Wydaje się, że Kościół ostatecznie przegrał walkę o duszę zachodniego człowieka. Kościoły pustoszeją. Dwa lata temu okazało się, że najstarsza diecezja w Niemczech, diecezja w Trewirze, musiała zamknąć dziewięćdziesiąt sześć procent swoich parafii. Było ich dziewięćset trzy, pozostało trzydzieści pięć. Podobny proces powszechnego odchodzenia od Kościoła można dostrzec w całej Europie. Kiedy Jan Paweł II przybył w 1979 r. do Irlandii, studiowało tam tysiąc seminarzystów, dziś jest ich może dwudziestu. Można mieć wrażenie, że w organizmie Kościoła rozwija się tajemnicza choroba. Widać też pewną

skiej Europy zaczęło się od wybuchu rewolucji francuskiej. Albo, jeśli szukamy prawdziwych korzeni historycznych, początkiem upadku chrześcijańskiej Europy była rewolucja protestancka. Doszło wtedy do wewnętrznego podziału chrześcijaństwa w Europie, a wojna trzydziestoletnia pokazała, jak wielkie i straszne są skutki tego podziału. Jednym z nich była inwazja muzułmańskich Turków na Europę. Dzięki Bogu za sprawą bohaterskiego króla Polski Jana III Sobieskiego udało się ten napad odeprzeć pod Wiedniem.

Nie mówię o protestanckiej reformacji, ale rewolucji. To ona w ostatecznym rachunku przyczyniła się do rozwoju sił chrześcijaństwu wrogich, w tym wolnomularstwa, które odegrało kluczową rolę podczas rewolucji francuskiej i w epoce późniejszej. W sensie historycznym i politycznym można powiedzieć, że chrześcijańskiej Europy nie ma od rewolucji francuskiej – jej pozostałościami były w XIX w. cesarstwo Habsburgów i prawosławne cesarstwo rosyjskie. W obu przypadkach ich kres nastąpił podczas pierwszej wojny światowej.

Tak więc mamy obecnie do czynienia z Europą, w której chrześcijanie stanowią mniejszość. Coraz częściej urzędują przeciw nim nagonkę, wręcz się ich prześladowa. Na razie to jeszcze nie jest męczennictwo, ale jesteśmy tego blisko. Na razie organizuje się kampanie oczerniania, tłumi się swobodę wypowiedzi, blokuje możliwość wypowiadania się. Dyskryminuje się. Jesteśmy blisko, obawiam się, powrotu do sytuacji z początków Cesarstwa Rzymskiego, kiedy po kampanii oczerniania wdrożono fizyczne prześladowania. Znaleźliśmy się obecnie w społeczeństwie neopogańskim.

Kryzys chrześcijaństwa widać nie tylko w Europie. Ksiądz biskup wiele lat mieszkał i pracował w Brazylii. W jaki sposób dokonało się przeniknięcie marksizmu do seminariów w Ameryce Południowej? Dla Polaka to wciąż trudne pojęcia. W Polsce marksizm był po prostu synonimem antyreligijnej, antykatolickiej ideologii. Jak to możliwe zatem, że tylu księży dało się zwieść? Że tylu wzięło marksizm i teologię wyzwolenia za dobrą monetę? Czy sądzi ksiądz biskup, że było to efektem infiltracji? Chodziło o działalność agenturalną, o zaplanowaną przez komunistów próbę przejęcia rządu dusz?

Nie sądzę, żeby to zjawisko dało się sprowadzić do świadomej, celowej, zewnętrznej infiltracji. Raczej źródłem była fałszywa teologia relatywizmu i doczesności. Wraz z soborem Kościół zwrócił się ku

temu, co ziemskie, czasowe, przemijające. Utracona została perspektywa nadprzyrodzona, wieczna. Rozwinął się nowy pelagianizm, według którego człowiek zostaje zbawiony zgodnie ze swą naturą. W tym sensie był to ukryty materializm.

Sąsiadowała z nami diecezja, w sensie formalnym była to prałatura, w której całkowicie dominowała teologia wyzwolenia. Rządził w niej słynny bp Pedro Casaldàliga Plá, był prałatem w São Félix. Z pochodzenia był Hiszpanem, zakonnikiem ze zgromadzenia klaretynów, czyli formalnie dzieckiem Świętego Antoniego Marii Clareta, wielkiego apostoła Katalonii. Otóż bp Casaldàliga był prawdziwym komunistą. Jego kazania dotyczyły wyłącznie niesprawiedliwości społecznej, pensji. Były to autentycznie wiecowe wystąpienia przeciw bogatym. Jego zdaniem sam fakt biedy czynił człowieka

czas pontyfikatu Jana Pawła II. Pomimo tego, że jego marksizm był powszechnie znany, że konsekwentnie niszczył religijne życie w swojej diecezji. Takich jak on było wielu. Koło nas inną diecezją kierował zrewoltowany dominikanin, nieco tylko mniej radykalny. To byli dwaj sąsiedzi, najbardziej skrajni, naszego biskupa.

Ze strategicznego punktu widzenia polityka obsady biskupami jest czymś kluczowym. Watykan prowadził cały czas politykę kompromisów. Z jednej strony biskup komunistą, z drugiej tradycjonalistą. Mojemu biskupowi cały czas zarzucano, że jest zbyt tradycyjny, a on odpowiadał, że nie robi niczego innego niż to, czego domaga się Kościół.

Czy przejawem tego kryzysu katolicyzmu nie jest też zmiana podejścia niektórych biskupów do podstawowych zasad etycznych? Słucha-



zbawionym. Głosił Jezusa, który nie miał nic wspólnego z tym, o którym mówili Ewangelie. Pewnego razu do São Paulo przyjechał Fidel Castro, było to gdzieś pod koniec lat 80. XX w. Na wieść o tym biskup wsiadł w samolot i poleciał na spotkanie Castro 1400 km. Komuniści nosili wtedy bluzy z pięciopięciennymi gwiazdami i napisem, że komunizm to wyzwolenie. Biskup, ledwo doleciał na miejsce, od razu tę bluzę założył. Wywołało to ogromne poruszenie. Wtedy powiedział, że w tej bluzie czuje się lepiej niż w ornatie. Watykan w ogóle na to nie reagował. Przecież ten biskup powinien zostać od razu usunięty ze stanowiska. Nic takiego się nie stało. Cały czas go tolerowano, cały czas rządził prałaturą, niestety też pod-

jąc np. biskupów niemieckich, można dojść do przekonania, że znajdujemy się u progu przełomu, jeśli chodzi o naukę Kościoła na temat szkodliwości homoseksualizmu. Zdaniem niemieckich biskupów homoseksualizm to „normalna forma predyspozycji seksualnej”. Czy ci biskupi należą jeszcze do Kościoła?

Z pewnością biskupi ci zajmują postawę relatywistyczną. To stanowisko odrzucające prawo naturalne i Boże stworzenie. Jest to negacja tego, że Bóg rzeczywiście stworzył świat.

Biskupi, którzy przeciw temu występują, występują przeciw porządkowi stworzenia. W ostateczności zajmują stanowisko gnostyckie lub całkowicie relatywistyczne. Dyskryminacja w tym przypadku to wytrych, pozór: Jeśli mówię komuś, kim

on jest, jeśli nazywam rzeczywistość, to nie jest żadna dyskryminacja. Przeciwnie. Za sprawą grzechu pierworodnego ludzka natura uległa zranieniu, zniekształceniu, pojawiły się patologie. Również w obszarze życia seksualnego. Homoseksualizm jest jedną z form patologii. Trzeba dbać o to, aby został uleczony. O to, by osoby o skłonnościach homoseksualnych mogły korzystać z terapii, z pomocy, którą powinno im zaoferować społeczeństwo.

Całkiem inne stanowisko niż niemieccy biskupi zajęł abp Marek Jędraszewski z Krakowa, który nazwał ideologię LGBT „tęczową zarazą” i porównał ją do epidemii bolszewizmu. Wezwał on Kościół do walki z ideologią LGBT. Czy niemieccy biskupi i abp Jędraszewski należą jeszcze do tego samego Kościoła?

Gdybyśmy mieli oceniać to według miary, jaką jest ich postępowanie, z pewnością nie. To kolejny dowód na to, że

emocjonalne oraz moralne młodzieży i dzieci. Według mnie to jedna z najbardziej niebezpiecznych duchowych epidemii, jaka dotknęła ludzkość. Ideologia gender atakuje jądro, atakuje samo serce życia społecznego. Celem ataku jest małżeństwo, rodzina. To także bezpośredni zamach na Boga Stwórcę. Powiedzielibym nawet, że z pewnego punktu widzenia ideologia gender jest czymś bardziej szatańskim niż ideologia komunistyczna. Komunizm głosił ateizm, mówił, że Boga nie ma, i prześladował każdą formę religii. Ideolodzy LGBT, ideolodzy gender idą jeszcze dalej. Mówią: to, co Bóg stworzył, jest fałszywe. Uderzają w podstawową komórkę, dzięki której istnieją społeczeństwa: podważają sens związku mężczyzny i kobiety, małżeństwa, rodziny.

Obecnie rozwiązłość seksualna na Zachodzie osiągnęła taki poziom, że trudno

W takim społeczeństwie Kościół musi być solą ziemi, jeszcze bardziej niż do tej pory. Ma on powoli i nieustannie prze-pajać społeczeństwo innym myśleniem, ma rozbijać egoizm, wskazywać wyższe cele. Tu zresztą dostrzegam zadanie dla prawdziwego ekumenizmu: chodzi o to, by wszyscy chrześcijanie poważnie traktowali prawo naturalne i porządek stworzenia. Dla wszystkich chrześcijan powinno być jasne, że trzeba bronić praw natury, zdrowego ludzkiego rozumu, praw rodziny, prawa do życia. Trzeba wokół tych celów zbudować koalicję.

Kolejne państwa europejskie próbują radykalnie ograniczyć wolność słowa i wolność opinii. Na szczęście w Polsce wciąż jeszcze wolno otwarcie krytykować ruch LGBT i jego postulaty. W wielu innych państwach jednak albo w ogóle nie jest to możliwe, albo taka krytyka jest coraz bardziej ryzykowna. Mam na myśli m.in. Wielką Brytanię, Francję, Holandię. Praktycznie we wszystkich państwach, które wprowadziły prawa zrównujące status par jedнопłciowych i normalnych małżeństw, próbuje się zamknąć usta krytykom tego rozwiązania, zmusza się też do milczenia przeciwników homoseksualnego stylu życia. Nie mam wątpliwości, że słowa, które ksiądz biskup wypowiedział na temat homoseksualizmu, zostałyby w tych państwach zakwalifikowane właśnie jako przejaw karalnej już „homofobii” czy „mowy nienawiści”. Gdyby ksiądz biskup wypowiedział je nie tu, w Kazachstanie, nie w Polsce, ale właśnie w którymś z rzekomo demokratycznych państw Zachodu, mogłoby to spowodować surowe reperkusje. Natychmiast zostałby ksiądz biskup oskarżony albo przez jedną z organizacji LGBT, albo przez prokuraturę danego kraju. Nie można zresztą wykluczyć, że nawet obecnie, po naszym wywiadzie, w którymś z tych krajów nie dojdzie do próby zatrzymania księdza biskupa i osądzenia. Jeśli ksiądz biskup nie odwoła swojej opinii – że homoseksualizm to coś chorobliwego i powinien być leczony – to grozi księdzu wyrok więzienia. Czy ksiądz biskup się tego nie obawia? Że pewnego dnia, kiedy pojawi się ksiądz na lotnisku we Włoszech albo w Wielkiej Brytanii, albo w innym miejscu, zostanie aresztowany?

Jedno jest pewne: jeśli coś takiego miało się wydarzyć, to na pewno nie odwołam żadnego z moich słów.

Czyli ksiądz biskup nie będzie prosił o przebaczenie, tak jak tyłu innych polityków, a także ludzi Kościoła? Ksiądz biskup nie wycofa się ze swoich opinii?

W żadnym razie.

Nawet jeśli, jak można przypuszczać, będzie księdzu biskupowi za to groziła kara więzienia?



Biskup Schneider (drugi z prawej) podczas konferencji „Dokąd zmierzasz, Kościele katolicki?” w Rzymie w 2018 r.

FOT. GRZEGORZ GAŁĄŻKA/SIPA/EAST NEWS

Kościół katolicki został zanglikanizowany, że Kościół rzymskokatolicki przekształca się w Kościół anglikańsko-katolicki. W obrębie nominalnie tej samej wspólnoty religijnej biskupi i kardynałowie zachowują sprzeczne stanowiska, i to w kwestiach kluczowych, fundamentalnych. Nie chodzi tu o drobiazgi, ale o istotę prawa moralnego, o uniwersalne reguły etyczne. Całkowicie stoję po stronie abp. Jędraszewskiego, w pełni zgadzam się z jego osądem. Widzieliśmy, jak na cały niemal świat rozprzestrzeniła się ideologia komunistyczna. Teraz rolę takiej globalnej ideologii pod nazwą „ruch LGBT” przejął homoseksualizm. W efekcie próbuje się – powołując się na pseudonaukę, jaką jest ideologia gender – zatruć umysły i życie

znaleźć w przeszłości cywilizacje, które by jej pod tym względem dorównywały. Dlatego nasze społeczeństwo jest coraz bardziej egoistyczne. Ludzie zapominają, na czym polega ofiarność, oddanie. Myślą tylko o sobie, o tym, jak zaspokoić swoje pożądanie. Liczą się tylko silni, zdrowi i świadomi. Nienarodzonych można dowolnie eliminować. Starych i chorych namawia się do jak najszybszego rozstania z życiem. Trzeba się pozbyć wszelkich ograniczeń. Liczy się, powtarzam, tylko siła. Trzeba się wyżyć. Trzeba się zaspokoić. Żyjemy zatem w jednym z najbardziej okrutnych społeczeństw: prawa mają w nim tylko silni. Słabi i cierpiący nie mają praw. Przeciwnie: wciąż kultywuje się egoizm.

Nawet wtedy. Choćbym miał pójść do więzienia, to nie wycofam się z niczego, co powiedziałem. Kiedy człowiek cierpi dla prawdy, to cierpi dla Chrystusa. A cierpienie dla Chrystusa powinno być naszą chlubą. Przypomnę, że Jan Chrzciciel poniósł śmierć męczeńską, kiedy wypominał królowi Herodowi, że nie ma prawa wziąć sobie za żonę żony swego brata. Za to go ścięto. Nie zginął bezpośrednio dla Chrystusa. Bronił wartości małżeństwa. Jest jednak czczony jako męczennik. To, że homoseksualizm stanowi patologię, to fakt.

Ksiądz biskup mówi, że to fakt. Jednak w wielu krajach Europy zostałyby to uznane za „mowę nienawiści”. Tam uważa się, że homoseksualizm jest normą, że nie trzeba tego leczyć, że, przeciwnie, to coś, z czego należy się cieszyć i być dumnym. Za takie słowa czeka kara.

To nadużycie. Nadużycie pojęć i prawa. To też atak na wolność. Dlatego, gdy ktoś bluźni przeciw Chrystusowi, nie jest to mowa nienawiści? Albo gdy atakuje Kościół katolicki lub wyśmiewa katolików? Dlaczego to nie jest mowa nienawiści?

Bo kiedy atakuje się katolików, to jest to wolność opinii. A kiedy krytykuje się ideologię LGBT, to jest nienawiść. Proste.

To jest czysta arbitralność. Propaganda homoseksualizmu jest przeciw godności człowieka. Powtarzam: musimy tym ludziom pomagać, żeby przetrwali swoje wewnętrzne rozdarcie.

Tak samo to, co mówię obecnie o homoseksualizmie, jest faktem. I jeśli Bóg dopuściłby, żebym miał iść za te słowa do więzienia, to gotów jestem tam iść. Bo nic się nie dzieje bez Bożego zezwolenia. Gdyby się tak jednak stało, to wówczas, jak sądzę, papież w jednościs z całym episkopatem musiałby wystąpić z całą mocą w obronie godności człowieka. Musiałby jasno powiedzieć, że obrona godności wymaga nazwania rzeczy po imieniu. Dla dobra człowieka trzeba mówić, że homoseksualizm nie jest zgodny z naturą i zaspokajanie takich pożądań nie jest czymś właściwym. Jest dla człowieka szkodliwe.

Konsekwencją sukcesów ruchu LGBT w wielu zachodnich społeczeństwach jest dążenie do eliminacji z języka słów „mama” i „tata”. Ideologowie gender dążą do tego, żeby zastąpić te słowa określeniami „neutralnymi”. Zamiast „mama i tata” ma się pojawić „rodzic 1 i rodzic 2” lub „rodzic a i rodzic b”. Jak rozumieć to dążenie?

Nie ma ono nic wspólnego z żadnym rozwojem, postępem, cywilizacją. To znak tworzącej się na naszych oczach antycywilizacji. W ten sposób niszczy się całą strukturę i sens istnienia rodziny, rozbija się ojcostwo i macierzyństwo. Na tych przykładach dobrze widać, o co toczy się gra, jaka jest stawka. Człowiek sam chce siebie stworzyć na nowo. Próbuje zastąpić rzeczywistość stworzoną przez Boga, tę, która istnieje, własną konstrukcją. Matka i ojciec są dla tych konstruktorów przeszkodą. Są oznaką rzeczywistości danej z góry, natury stworzonej przez Kogoś innego. Człowiek chce zająć miejsce Boga i sam chce stworzyć świat, wydobywając go z własnej myśli. „Ojciec” i „matka” – te pojęcia muszą zostać odrzucone. Jest to próba buntu przeciw Bogu, przeciw jego porządkowi i ładowi. Ale to także rebelia przeciw rzeczywistości, w której żyjemy. Oznaczałoby to, że człowiek musiałby od nowa napisać wszystkie podręczniki biologii i anatomii.

W ostatnich kilku latach zdecydowanie wzrosła liczba ataków na katolickie miejsca kultu. Coraz częściej bezzwzględnie się krzyże, niszczy znaki wiary. Niekiedy ofiarą padają kościoły, czasem katolickie cmentarze. Co jest przyczyną tej fali antychrześcijańskich działań? Schemat jest taki sam niezależnie od tego, czy chodzi o Belgię, Francję, czy Niemcy. Warto też zauważyć, że informacje na ten temat bardzo rzadko trafiają do mediów, w najlepszym razie wspomina się o nich mimochodem, na marginesie.

Rzeczywiście, mamy do czynienia z nowym zjawiskiem. Wydaje się, jakby te działania w pewien sposób były zorganizowane. Wydaje się – podkreślam, że chodzi tu o przypuszczenie – jakby ktoś za kulisami pociągał za sznurki i realizował pewien plan. Poza tym trzeba dostrzec współczesną mentalność, panującą w społeczeństwie uprzedzenia i stereotypy dotyczące Kościoła. Nienawiść i wrogość do chrześcijaństwa są coraz wyraźniejsze. Doskonale to widać, gdy obserwujemy doniesienia mediów i przesłanie kultury masowej, filmów, popularnych książek. Ogromna część społeczeństw zachodnich już nie tylko straciła wiarę i nie jest chrześcijańska, lecz także żywi wobec chrześcijaństwa nienawiść. Nawet jeśli ludzie ci zostali ochrzczeni – w niektórych krajach Zachodu to wciąż statystycznie większość – nic z tego nie wynika. Albo raczej wynika wrogość do Kościoła. Są też i ci, którzy nienawidzą tego, czego Kościół naucza, którzy odrzucają przykazania Boże i buntują się wobec nich. Nie chcą słyszeć

nic o czystości, posłuszeństwie, wyrzeczeniach. Kiedy zatem słyszą, jak tego naucza Kościół, budzi się w nich agresja. Skoro krzyż jest symbolem chrześcijaństwa, to próbują go zbrukać, poniżyć, zniszczyć.

A co ksiądz biskup sądzi o pojęciu „praw zwierząt”? Wielu ekologów mówi chętnie o takich prawach. Niektórzy domagają się rzecznika praw zwierząt. Rządy zaczynają zmieniać prawo i karać za przestępstwa przeciw zwierzętom. Politycy mówią o potrzebie humanitaryzacji podejścia do zwierząt.

Zwierzęta nie mogą mieć praw. Prawa mogą mieć tylko istoty rozumne, tylko ludzie. Z samej definicji prawa przysługują tylko komuś, kto ma rozum. Prawdziwym problemem jest dzisiaj to, że całkiem dowolnie zniekształca się lub odwraca znaczenie pojęć. Nie odwzorowują one rzeczywistości, ale są tworem ludzkiej świadomości. Kto tak uważa, ten sądzi, że można nimi swobodnie manipulować. Tak jest też z wieloma innymi pojęciami. Na przykład pojęcie „małżeństwa” musi oznaczać, że chodzi o związek mężczyzny i kobiety, o dwie płcie. Małżeństwo rozumiane jako związek dwóch osób jednej płci to sprzeczność sama w sobie. Taką samą sprzeczność zawiera w sobie pojęcie „praw zwierząt”. Równie niedorzeczne byłoby „prawa kwiatów” czy „prawa drzew”. Pojęcie „prawa” z konieczności łączy się z pojęciem obowiązku. Prawu do czegoś odpowiada obowiązek. Jedno bez drugiego nie istnieje. Tam, gdzie jest prawo, jest też obowiązek. Wynikałoby z tego, że jeśli zwierzęta mają prawa, powinny mieć też obowiązki. Nie można być podmiotem praw, nie będąc podmiotem obowiązków. Jeśli człowiek łamie prawo, jeśli nie wypełnia obowiązku, to należy go ukarać. Wynika z tego, że również zwierzęta należałoby karać. I tak przechodzimy od absurdu do absurdu. Prawo zatem, podobnie jak obowiązek, odnosi się jedynie do człowieka, bo tylko człowiek ma rozum i tylko człowiek może ponosić odpowiedzialność. Z samej definicji pojęcie praw zwierząt jest czymś niemożliwym. To, że ludzie zaczęli się nim posługiwać, wynika z tego, że coraz częściej próbuje się umieszczać na jednym poziomie zwierzę i człowieka.

Innym punktem, w którym widać zmianę nauki moralnej Kościoła, jest sprawa dopuszczalności kary śmierci. Według papieża Franciszka dotychczasowa nauka Kościoła, zgodnie z którą kara śmierci była moralnie dopuszczalna, musi zostać zmieniona. Od tej pory, twierdzi papież, należy nauczać całkowitego

zakazu kary śmierci, która nie może być dopuszczona w żadnych okolicznościach. To nowe podejście ma też zostać zapisane w Katechizmie Kościoła katolickiego.

Z pewnością papież nie ma prawa zmieniać nauki, która oparta jest na źródłach objawienia, obecna w samym Piśmie Świętym, zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie, i która była przekazywana przez dwa tysiące lat w Kościele. To jest rewolucja i zerwanie. Dokonanie takiej zmiany przekracza granice władzy papieskiej. Sobór Watykański I, który zdefiniował naukę o nieomyślności papieskiej, przekazał: Duch Święty nie został dany papieżowi po to, by ten wprowadzał nowe nauki lub je ustanawiał, ale po to, by wiernie strzegł depozytu objawienia. Zmiana w podejściu do dopuszczalności kary śmierci jest nadużyciem władzy papieskiej. Powtarzam: papieżowi nie przysługuje władza zmiany stałej doktryny Kościoła. Nie ma takich kompetencji. Kościół przez dwa tysiące lat uczył, że kara śmierci jest czymś prawowitym, oczywiście w pewnych wyraźnie określonych warunkach. Tak samo uczył nas Bóg w Piśmie. Jak zatem papież mógł to zmienić? Przekroczył tu swoje uprawnienia. Nie mam żadnych wątpliwości, że po jego śmierci ze zmiany tej wycofają się jego następcy. Chwilowo znajdujemy się w sytuacji pewnego zaciemnienia. W historii zdarzały się przykłady papieży, którzy nadużywali swojej władzy. Tak też jest obecnie i dotyczy to właśnie nauki dotyczącej kary śmierci. Nadużycie to z pewnością zostanie dostrzeżone i błąd będzie naprawiony w przyszłości, zrobią to kolejni papieże.

Od czasu do czasu ksiądz biskup odwiedza też Polskę. Kryzys religijny i apostazja wydają się na razie omijać nasz kraj. Niektórzy politycy czy intelektualiści twierdzą, że to właśnie z Polski wyjdzie iskra odnowy, odrodzenia wiary. Co sądzi ksiądz biskup o polskim katolicyzmie? Czy możliwa jest prawdziwa rechrystianizacja Zachodu?

Bardzo szanuję polski katolicyzm. Podziwiam też to, że Polacy mimo tak trudnej historii i wszystkich przeciwności okazali dzielność i zachowali katolicyzm. Stali się prawdziwym wzorem do naśladowania dla świata, kiedy mimo ucisku komunizmu obronili wiarę. Polski lud zachował wierność. Opierając się na moich doświadczeniach, mogę powiedzieć, że szczególnym szacunkiem obdarzam prostych wiernych, którzy, co do zasady, są bardziej pobożni i gorliwi niż

kler i księża. Często jestem zbudowany tą wiernością, czystością wiary, przejrzystością myślenia. Mówię o prostych, jednocześnie wykształconych polskich katolikach. Widzę zatem ruch odnowy wśród polskich katolików, przede wszystkim mam na myśli świeckich, mniej duchownych. Polskie duchowieństwo stało się, niestety, zbyt poprawne politycznie. Oczywiście uogólniam, nie mam na myśli każdego, wskazuję na pewną tendencję. Polscy księża dostosowali się w zbyt dużym stopniu do panującej mody, do tego, co przychodzi z Zachodu. Niekiedy odnoszę wrażenie, że wielu polskich duchownych odczuwa wobec zachodniego Kościoła coś w rodzaju kompleksu niższości. Dlatego za wszelką cenę chcą przejmować wszystko, co tam dominuje. Widać to po zmianach zachodzących w liturgii: Komunia przyjmowana na stojąco, dziewczynki jako ministrantki, szafarze Eucharystii. Tak samo do polskich seminarzystów zostali wpuszczeni modni, liberalni teologowie z Zachodu. W ostatnich dziesięcioleciach polski kler, polskie duchowieństwo zaraziły się tym myśleniem. Ze smutkiem stwierdzam, że wielu polskich księży uległo tej tendencji, że przyjmuje bezkrytycznie zmiany od liberalnego Kościoła na Zachodzie. Znam na szczęście kilku teologów i biskupów w Polsce, którzy jasno widzą, że Kościół zachodni podążył błędną drogą liberalizmu, i próbują bronić Kościoła w Polsce przed podobnym kierunkiem rozwoju. Oby było ich jak najwięcej. Razem ze świeckimi tworzą oni nową siłę i sprawiają, że wiara ma coraz większe znaczenie społeczne. Także w życiu publicznym, także w polityce. Polityka to jest przecież część życia społecznego – Jezus musi na nowo panować w parlamencie. Mam nadzieję, byłoby to moje marzenie, żeby polski rząd całkowicie zniósł prawo dopuszczające aborcję. Byłby to wielki znak dla całego świata. Mam nadzieję, że dzięki Bożej łasce Polska wykona taki ruch.

Księża biskupie, w naszej rozmowie poświęciliśmy wiele uwagi różnym oznakom kryzysu. W takich czasach szuka się też jednak pozytywnych wzorców, świadków wiary. W przeszłości takimi wzorcami postępowania byli święci, którzy służyli, pokazując właściwy kierunek. Kto jest takim wzorcem dla księdza biskupa? Do kogo szczególnie warto się odwoływać? Kogo należałoby naśladować w tych tak trudnych dla Kościoła czasach? Do kogo zwrócić się o radę? Na kim wzorować?

W tej epoce wielkiego zamętu i chaosu największą chorobą jest tchórzostwo, dostosowanie się, poprawność polityczna. Tak jest w świecie, ale przede wszystkim w Kościele. To choroba, która dotyka i kardynałów, i świeckich. Tchórzostwo i chęć dopasowania się. Nie wszyscy muszą wierzyć w nowe ideologie, ale wielu brakuje odwagi, by nazywać rzeczy po imieniu.

Dlatego dla mnie najważniejsi są ci święci, którzy zasłynęli przede wszystkim cnotą odwagi. Fortitudo, męstwo, siła charakteru – oto, czego potrzebujemy. Zdolność podążania pod prąd. Myślę np. o Świętym Tomaszu Morusie, o Świętym Johnie Fisherze. Ten pierwszy, będąc kanclerzem króla Henryka VIII, praktycznie sam przeciw wszystkim zachował ufność i wiarę. Podobnie św. bp Fisher jako jedyny z biskupów nie przyjął doktryny, zgodnie z którą król jest głową Kościoła. Ich postawa bardzo mi imponuje. Tak samo jak postawa żyjącego wieki wcześniej Świętego Atanazego. Był niemal jedynym, który w przeciwieństwie do tylu innych bronił prawowiernej nauki. Podobnie Święty Bazyli, który okazał ogromną wolę w walce z arianami.

Z bliższych nam czasów wielką postacią jest Święty Pius X, który umiał sam zmierzyć się zarówno z błędami w Kościele na początku XX w., jak i z nowymi groźnymi ideologiami świata. Pius X pokazał, że z modernizmem nie wolno zawierać żadnych kompromisów. I podjął walkę mimo oporu niektórych kardynałów. Z jeszcze nowszych czasów wielką postacią był kard. Mindszenty, który stawiał opór komunistom, i to nawet wbrew Pawłowi VI.

Myślę też o abp. Lefèbvrze. Pokazał on wielki heroizm. Gotów był stracić wszystko w tym życiu, całe uznanie i pozycję, szacunek i dobrą opinię w Kościele. Przyjął nawet to, że uznawano go za buntownika, za schizmatyka. A zrobił to po to, by dalej przekazywać nieskażoną, pełną prawdę katolicką. Żeby ocalić Mszę Świętą w całym jej katolickim bogactwie. W tym celu pogodził się z tym, że w oczach świata stał się niczym trędowaty. Potępili go inni biskupi, odwrócił się od niego Rzym. Wierzę, że w przyszłości również i on zostanie wyniesiony na ołtarze. Nie wiem, kiedy to się stanie, może za sto lat, może jeszcze później. On wyrzekł się wszystkiego dla Chrystusa, wszystkiego – po ludzku patrząc – byle tylko przekazywać nienaruszoną wiarę. To piękny wzór dla naszych czasów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



MACIEJ PIECZYŃSKI: Niemiecka prezydencja chce uzależnić wypłatę funduszy unijnych od przestrzegania zasad praworządności. A przecież postanowienia lipcowego szczytu UE miały nas ochronić przed tego typu mechanizmami. Czy to oznacza, że odniesione wówczas zwycięstwo negocjacyjne premiera Mateusza Morawieckiego okazało się jednak zwycięstwem pyrrusowym?

JACEK SARYUSZ-WOLSKI: Bynajmniej. Artykuł 23 postanowień lipcowego szczytu mówi o wprowadzeniu warunkowości dla ochrony koronabudżetu. Kropka. W pierwszej wersji projektu rozporządzenia Komisji Europejskiej z 2018 r. jest mowa o „ogólnych brakach w odniesieniu do rządów prawa”. W treści propozycji niemieckiej prezydencji pojawia się zapis o „naruszeniach zasad rządów prawa”. Żadnego z tych określeń nie znajdzie się w art. 23 konkluzji lipcowego szczytu. Nieprzypadkowo obie te formuły dotyczące praworządności brzmią bardzo podobnie. Wynika stąd jasno, że niemiecka prezydencja próbuje przeformułować kosmetycznie zmodyfikowaną wersję projektu rozporządzenia Komisji Europejskiej z 2018 r. o innym tytule niż obecna propozycja. Takie rozwiązanie nie ma nic wspólnego z ustaleniami, które zapadły w lipcu. Na tym polega problem. Projekt jest prawniczo źle napisany. Zastosowana w nim została niedopuszczalna prawnie nieostra terminologia – użyto w nim bowiem pojęć, których językiem prawa nie da się zdefiniować. Proponowane założenia są tak mało konkretne i szerokie, że mogą skutkować nieograniczoną wprost dowolnością interpretacji. Bardzo łatwo można byłoby zastosować je w złej wierze, w sposób wymierzony przeciwko politycznym przeciwnikom. Wprowadzenie tej propozycji w życie mogłoby przynieść bardzo rujnujące konsekwencje finansowe dla państwa oskarżonego o, trudno definiowalne, naruszenie zasad rządów prawa, tym samym stając się instrumentem politycznej presji i zwalczania niepopularnych rządów.

Ile wspólnego ma propozycja niemieckiej prezydencji z ustaleniami szczytu?

Praktycznie nic. Mam przed oczyma tekst konkluzji szczytu, a z niego jasno wynika, że ta tzw. praworządność nie została wówczas określona jako warunek otrzymywania funduszy unijnych. To wypaczenie idei postanowień szczytu. Niemcy próbują wyjść naprzeciw radykalnym, maksymalistycznym oczekiwaniom formułowanym na forum Parlamentu Europejskiego. Najpełniejszym wyrazem



FOT. ANNA J. BIAŁOJEK/ST NEWS

Z Jackiem Saryuszem-Wolskim, europosem PiS rozmawia Maciej Pieczyński

Możemy powiedzieć Unii: weto

tych oczekiwań jest raport dotyczący tzw. praworządności w Polsce, przygotowany przez hiszpańskiego eurodeputowanego Juana Fernando Lópeza Aguilara. Mamy do czynienia ze skrajnie zideologizowaną, fałszywą interpretacją postanowień szczytu.

Zdaniem wielu komentatorów nie byłoby tej groźnej dla Polski propozycji, gdyby nie ustalenia szczytu?

Jeśli już doszukiwać się ustaleń dotyczących warunkowości przyznania środków, to była mowa o ochronie budżetu i interesów finansowych UE, a nie pomysłów ideologicznych niektórych. A zatem powołując się na postanowienia szczytu, można było ewentualnie zaproponować mechanizm przewidujący walkę z takimi zagrożeniami jak korupcja, defraudacja czy niegospodarność, mówiąc wprost kra-

dzieź środków unijnych. W tych kwestiach Polska nie ma żadnego problemu, w przeciwieństwie do wielu krajów UE.

Rzeczywiście, wspominał o tym premier Morawiecki, odpowiadając na propozycję niemieckiej prezydencji. „Przedstawiliśmy nowe spojrzenie na tę sprawę i zawsze pokazywaliśmy, że jeśli chodzi o wykorzystanie środków europejskich, staramy się, by ono było jak najbardziej uczciwe. Dlatego nie obawiamy się tego, żeby jakiekolwiek instytucje, agendy europejskie weryfikowały wydawanie tych środków, bo to są środki podatników, w tym polskich, ale także wszystkich innych europejskich. Dlatego chcemy, by te środki były wydawane uczciwie” – stwierdził.

I tak miało być. Natomiast okazało się, że proponuje się nam dokument ideologiczny, podszyty politycznym woluntaryzmem, pozostawiający Komisji

Europejskiej wolną rękę w arbitralnym i selektywnym finansowym karaniu państw członkowskich. KE tym samym wchodzi w potrójną rolę prokuratora, sędziego i egzekutora zarazem. Dzisiaj ukarane zostaną nielubiane na brukselskich salonach Węgry i Polska, ale jutro mogą to być Włochy czy jakikolwiek inny kraj, skazany tym samym na łaskę i niełaskę ideologicznej Komisji Europejskiej. Autorzy propozycji tylko udają, że mają na celu ochronę interesów finansowych i budżetu UE. Tak naprawdę forsują wprowadzenie instrumentu politycznej i ideologicznej walki z przeciwnikami. Wstęp dokumentu wygląda tak, jakby został napisany na wzór zarzutów stawianych w ostatnich latach polskiemu systemowi sądowniczemu. Gdyby celem była ochrona interesów finansowych Unii, zamiast Polski na celowniku znalazłyby się na przykład kraje Południa. Tutaj jednak nie chodzi o interes finansowy Unii, ale o chęć dyktowania innym krajom, jak powinien wyglądać ich wymiar sprawiedliwości i ustrój państwa.

Tak czy inaczej powiązanie funduszy z praworządnością proponuje prezydencja niemiecka, a więc kraju, którego głos zdaniem wielu komentatorów jest w Unii decydujący. I to niezależnie od rotacyjnej prezydencji, która jest formalnością. Mamy więc chyba czego się obawiać?

To nie jest formalność, tylko ważna rola sprawcza. Jest to niebezpieczne. Propozycja odbierania pieniędzy za naruszenie tzw. zasad państwa prawa powinna wyjść nie od prezydencji, ale od Komisji Europejskiej, która ma monopol na inicjatywę legislacyjną.

A decyzję podejmą państwa członkowskie kwalifikowaną większością głosów. Do przegłosowania de facto sankcji za praworządność wystarczy poparcie tzw. podwójnej większości, czyli 14 krajów, reprezentujących 65 proc. populacji Unii. Ryzyko jest więc realne.

Na siłę można wszystko przegłosować. Nawet rezolucję, zgodnie z którą ziemia jest płaska.

Ale wtedy będziemy mieć problem.

Jeszcze nie. Polska i Węgry nadal mają narzędzie, aby zablokować propozycję niemieckiej prezydencji i uniemożliwić uzależnienie wypłaty funduszy od naruszeń zasad tzw. praworządności.

Jakie?

Polska i Węgry już zablokowały 28 września procedurę przyjęcia koro-

nabudżetu do czasu wyjaśnienia sporu o tzw. praworządność. Żeby zatwierdzić budżet, potrzebna jest zaś jednomyślność. Niezbędna jest zgoda wszystkich państw, aby weszły w życie decyzje o tzw. zasobach własnych, czyli o nowych źródłach dochodów takich jak podatki, czy długu zaciągniętego przez KE. Mamy zatem nadal prawo weta i tego prawa możemy użyć. Należy zadać pytanie: Dlaczego Polska i Węgry miałyby wyrazić zgodę na wpłacanie środków do koronabudżetu, dawać pod niego własne budżetowe gwarancje i w razie potrzeby spłacać zobowiązania UE? Dlaczego Polska miałaby poprzeć koronafundusz, jeśli w rezultacie nowych rozwiązań wypłaty mogłyby być nazajutrz konfiskowane według widzimisię Komisji Europejskiej, w oparciu o bezprawny, arbitralny, pozatraktatowy mechanizm tzw. praworządności?! Oczekiwać od Warszawy i Budapesztu poparcia w tej sprawie to tak, jakby spodziewać się, że skazaniec z pętłą na szyi sam kopnie stołek.

Jakie to może mieć konsekwencje?

Nie ryzykujemy zbyt wiele. Jeśli nie będzie porozumienia w sprawie koronabudżetu, to będzie, zgodnie z regułami, prowizorium budżetowe. To oznacza, że na kolejny rok, aż do przegłosowania nowego budżetu, zostaną przeniesione automatycznie wielkości z poprzedniego roku. A ten unijny budżet był bardziej obfity i korzystny dla Polski niż ten planowany obecnie. Jeśli Polska i Węgry stawiają opór, wówczas będzie to oznaczać, że propozycja niemieckiej prezydencji straci rację bytu.

Czyli szantaż: albo dacie spokój z praworządnością, albo zablokujemy budżet?

Nie szantaż, ale negocjacje. Z poprawką: tzw. praworządności. I uwagę: unijne negocjacje są bardziej skomplikowane niż konstrukcja cepa.

Co by było, gdybyśmy w lipcu powiedzieli: „Weto”?

Miarą działań politycznych jest skuteczność, czyli efekt, do którego dochodzimy na końcu drogi. Polska w duecie z Węgrami wykazała maksimum dobrej woli, uznając wówczas prawo do ochrony finansów unijnych, narażonych, jak doskonale wiemy, na korupcję i defraudację. Natomiast założyliśmy optymistycznie, że druga strona stołu negocjacyjnego wykona ustalenia szczytu w dobrej wierze, dla wspólnego dobra. Miałem obawy, czy to się uda, ale daliśmy

naszym partnerom szansę. Niestety, nie skorzystali z niej. Weto w lipcu nie miało sensu. Teraz ma sens. To nasz as w rękawie. Tyle gwoli komentarza.

Powstanie polsko-węgierski instytut oceny praworządności. Antypisowska opozycja, wspierająca Brukselę w dyscyplinowaniu polskiego rządu, nie kryje oburzenia. Jak pan ocenia tę instytucję?

Znakomita inicjatywa. Mam nadzieję, że na ten cel zostaną przeznaczone adekwatne zasoby ludzkie i finansowe. Wcześniej sam sugerowałem, by stworzyć sieć naukowców z polskich uczelni, którzy by dokonali inwentaryzacji rzeczywistych, a nie wymaginowanych przypadków naruszeń praw człowieka w UE. A jest tych przypadków mnóstwo. I to na ogół dochodzi do nich w krajach, których przywódcy najgłośniej krzyczą: „Łapać złodzieja!”. Instytut powinien badać naruszenia nie tylko państw członkowskich, lecz także instytucji unijnych, które uzurpują sobie prawo strzeżenia praworządności, a same tę praworządność, w tym traktaty, naruszają.

Pytanie tylko: Czy ten instytut będzie mógł skutecznie działać, biorąc pod uwagę niepopularność rządów Polski i Węgier w UE?

Na którymś etapie trudno będzie przeczyć faktom. Uważam za bardzo przekonującą argumentację ministra spraw zagranicznych Węgier, który stwierdził, że powołujemy ten instytut po to, aby przywódcy unijni nie traktowali nas jak głupców ani nie używali jako worka treningowego oraz by nie stosowali podwójnych standardów. Zarzuty wobec nas są bezpodstawne i gołosłowne, politycznie i ideologicznie motywowane. Jediną procedurą, która mogłaby je potwierdzić, jest mechanizm wynikający ze słynnego art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej. Naruszenia rządów prawa, owszem, zdarzają się w państwach UE, ale w tych krajach, które tak chętnie nas pouczają. Czas zdjąć białe rękawiczki, zapomnieć o przesadnej dyplomacji i przejść do ofensywy.

O stosunku unijnych przywódców do Polski i Węgier wiele mówi zachowanie komisarz Věry Jourovej. Po tym, jak stwierdziła, że „większość Węgrów nie jest w stanie ocenić sytuacji politycznej w sposób niezależny”, Viktor Orbán zażądał jej dymisji.

Pan Timmermans, przy pani Jourovej, to baranek. On robił rzeczy złe, ale przynajmniej robił to profesjonalnie. Pani Jurová pokazuje natomiast w swoich działaniach dramatyczną amatorszczyznę.



Piotr Semka

Nowy gabinet kończy okres kryzysu, który zaskoczył wielu wyborców prawicy swoją ostrością. Pytanie, czy wszyscy uczestnicy tej gry zdają sobie sprawę, jak wiele wyczucia i taktu wymagać będzie kooperacja po tak ostrym konflikcie

W Zjednoczonej Prawicy panuje od pewnego czasu lakoniczność. Gdy w sobotę 26 września ogłoszono porozumienie w obozie ZP, krótkie wystąpienia mieli: Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin, ale nie ujawniono żadnych szczegółów ugody. W środę z kolei przedstawiono nowy skład rządu, ale jedynie z krótkim przemówieniem Mateusza Morawieckiego, który zapowiadał, że rząd gotowy jest do nowych wyzwań. Uroczystość tak samo jak w sobotę była ekspresowa i znów dziennikarze musieli obejść się smakiem, bo nie mogli zadawać pytań. Najważniejszym jednak wydarzeniem tamtego dnia było oficjalne potwierdzenie, że Jarosław Kaczyński wchodzi do rządu. Będzie to ważny eksperyment nie tylko dla Mateusza Morawieckiego, lecz także dla wszystkich członków jego gabinetu. Mało kto zwracał uwagę, że Kaczyński będzie nadzorował Ministerstwo Obrony, które w pewnym stopniu podlega też prezydentowi jako zwierzchnikowi sił zbrojnych. Pytanie, jak wyglądać będzie współpraca między liderem PiS a prezydentem? Na razie relacje Andrzeja Dudy z jego byłą partią są kwaśne. Prezydent bardzo chłodno podszedł do „piątki dla zwierząt”, a plotki w salonach politycznych Warszawy mówią o możliwości przejścia zdymisjonowanego ministra rolnictwa Jana Ardanowskiego do kancelarii głowy państwa. Pytanie, czy prezydent podpisze ustawę.

Dla nowego rządu Morawieckiego najważniejsza będzie zdolność Jarosława Kaczyńskiego do stabilizacji gabinetu, a nie tworzenie wrażenia dwuwładzy. Jest to o tyle jeszcze delikatna sytuacja, że w partii Kaczyński postrzegany jest jako promotor Morawieckiego



Hej raz, jeszcze

jako swojego następcy. To, czy te plotki oparte są na realnych podstawach, powinno wyjść na jaw na zapowiadanym listopadowym kongresie partii. Są w PiS politycy, którzy w opowieści o sukcesji Morawieckiego zaczynają wątpić. – Gdyby prezes poważnie traktował plan wyznaczenia Morawieckiego na swojego delfina, nie wchodziłby do gabinetu. Jeśli nawet były takie pomysły, aby został on jego następcą, to myślę, że powoli zaczyna on rozumieć, że nie da się kogoś mianować tylko za pomocą własnej woli. Premier wciąż pozostaje dla dużej części wpływowych polityków PiS „fachowcem od gospodarki”, najętym po to, by starczało na programy socjalne. A już przy bardzo wyrazistej wojnie z Ziobrą jego potencjalna kandydatura na następcę tronu staje się bardzo wątpliwa – mówi jeden z centrowych polityków PiS. Także przedstawiciele partii Gowina nie są specjalnie radzi hipotetycznemu przywództwu Morawieckiego. – Gdyby PiS stał mocno na swoich nogach bez potrzeby wspierania się na koalicjantach, to moglibyśmy sobie wyobrazić sytuację, w której wskutek bardzo wyrazistej woli naczelnika partia mogłaby przyjąć do wiadomości jego życzenie sukcesji w osobie premiera. Jednak w świecie, gdzie najpierw Gowin, a potem Ziobro zaakcentowali swoje znaczenie jako posiadacze grup głosów decydujących o większości sejmowej, szanse na przyszłe przywództwo Mora-

wieckiego są dość słabe – mówi jeden z partii Gowina.

NOWE TWARZE

Nowy gabinet powstał jednak w oparciu o formułowane od dawna postulaty Mateusza Morawieckiego na temat idealnego układu rządu. Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego przypomniał, że postulat przełamania „Polski resortowej” leżał przed pięcioma laty u podstaw wyzwań, które Morawiecki diagnozował, przygotowując Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. I dlatego można przypuszczać, że zmniejszenie liczby ministerstw było spełnieniem jego postulatów. Przypomnijmy, że zlikwidowano ministerstwa: sportu, gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, funduszy i polityki regionalnej, cyfryzacji. Do Ministerstwa Klimatu włączono resort środowiska. Resort pracy przyłączono do Ministerstwa Rozwoju, a była minister pracy Anna Maciąg została obecnie ministrem rodziny i polityki społecznej, podczas gdy resort pracy dołączono do resortu rozwoju, którym wadać ma Jarosław Gowin. Ten ostatni ma powody do zadowolenia – wraca na swoją funkcję wicepremiera. Ostatnio przeżył jednak małą porażkę. Gdy na prezydium Porozumienia zdecydowano, kto z partii ma objąć stanowisko ministra ds. rozwoju samorządu terytorialnego, jako kandydat został w drugiej turze przegłosowany Michał Cieślak, a nie promowany przez ludzi Gowina Stanisław



30 września premier Mateusz Morawiecki przedstawił skład nowego rządu. FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

raz

Bukowiec. Gowin formalnie nie poparł żadnego kandydata, ale Cieślak kojarzony był z oponentami szefa Porozumienia. Ten incydent przypominał, że partia Gowina nie wyleczyła jeszcze ran z maja br., gdy ugrupowanie podzielił stosunek do majorów wyborów.

Na tym tle o wiele bardziej zwarta jest grupa Solidarnej Polski, która po koalicyjnym kryzysie ma dość dobre samopoczucie. Ziobro obronił swoją pozycję ministra sprawiedliwości i dostał do obsadzenia dodatkowo resort „bez teki” ministra ds. tożsamości europejskiej. Miał go objąć początkowo Michał Woś, ale ten woli wrócić na stanowisko wiceministra w resorcie sprawiedliwości. Przy okazji wszyscy koalicjanci z satysfakcją przyjęli likwidację tych ministerstw, gdzie umieszczano polityków, którym trzeba było jakoś zapłacić za zmianę barw klubowych. Przykładem takich praktyk był Adam Andruszkiewicz, który przeszedł do PiS z klubu Wolnych i Solidarnych, dostając w nagrodę funkcję sekretarza stanu w Ministerstwie Cyfryzacji. Świata na nowej funkcji nie zadziwił i w PiS traktowano go jako kłopotliwy element polityki w zdobywaniu nowych szabel w Sejmie poprzedniej kadencji. Dwie nowe twarze w rządzie, każda z innych powodów budząca emocje, to Grzegorz Puda jako minister rolnictwa oraz Przemysław Czarnek. Przypadek Grzegorza Pudy to demonstracja Jarosława Kaczyńskiego, że „piątkę dla zwierząt” traktuje prestiżowo. Do resortu rolnictwa zostaje skierowany

poseł sprawozdawca projektu nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt. Wcześniej pełnił funkcję wiceministra w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Owszem, tytuł magistra inżyniera uzyskał na Wydziale Zootechniki w Akademii Rolniczej w Krakowie, ale potem pracował jako kierownik marketingu w prywatnym przedsiębiorstwie, a następnie jako koordynator w starostwie powiatowym. W styczniu tego roku został np. pełnomocnikiem rządu ds. organizacji Światowego Forum Miejskiego w 2022 r. Teraz ma stać się twarzą rządu PiS wobec wsi. Stanie wobec gwałtownych demonstracji hodowców zwierząt futerkowych i tych rolników, którzy ulegli zachętom do rozwijania produkcji wołowiny na potrzeby krajów importujących mięso z uboju rytualnego. Pytanie, czy zdoła udanie zastąpić Jana Ardanowskiego, którego wieś uznawała za „swojaka”.

Druga nowa twarz w rządzie – Przemysław Czarnek – została wybrana, aby udowodnić, że PiS nie staje się ugrupowaniem „cieplej wody w kranie”. Że nie rezygnuje z postulatów walki o rząd dusz w szkolnictwie i na uczelniach wyższych. Czarnek sam wyrąbał sobie pozycję w mediach, stając się wyrazistym rzecznikiem zmian w wymiarze sprawiedliwości i wypowiadając się bardzo zdecydowanie na temat wojny ideologicznej ze środowiskami LGBT.

– Media liberalne spowodowały nominację dla Czarnka jedynie do poziomu chęci Jarosława Kaczyńskiego, aby to nie tylko Solidarna Polska Ziobry kojarzyła się z hasłami tożsamościowymi. Ale to, że Czarnek otrzymał tę funkcję, to także nagroda dla kogoś, kto jest prawdziwym fighterem. Kaczyńskiemu spodobało się, jak odważnie i bez kompleksów potrafił on bronić polityki okiełznania wszechmocny sędziowski kasty. A poza tym w PiS od dawna już nie było tak dynamicznej postaci – mówi jeden z polityków PiS.

Tyle że ta dynamiczna postać została uznana przez obóz lewicowo-liberalny za wyzwanie. Po dość bezbarwnym Gowinie do resortu zajmującego się edukacją przychodzi polityk, który nie ukrywa, że chce zmian. A wyższe uczelnie lewica uważa za swoje absolutne dominium. Można więc przyjąć, że za swój punkt honoru lewica uzna bardzo agresywną kampanię przeciwko uzurpatorowi, który śmiało wkroczył na jej terytorium. Jacek Żakowski już wyzywa Czarnka od „przedstawicieli putinizmu”, a świeżo

upieczona postanka ruchu Hołowni Hanna Gill-Piątek wyzywająco zapowiada: „Panie ministrze Czarnek, proszę już teraz przygotować w powiększonym MEN specjalny pokój dla kontroli poselskich. Będę częstym gościem”.

Na inaugurację roku akademickiego lewica już przeprowadziła protest przeciwko wizycie prezydenta Dudy na Uniwersytecie Warszawskim. Uczelnie najwyraźniej będą uznane za nowe pole walki z obozem dobrej zmiany.

KOOPERUJ ALBO ZGIŃ

Ten nowy gabinet kończy okres kryzysu, który zaskoczył wielu wyborców prawicy swoją ostrością. Pytanie, czy wszyscy uczestnicy tej gry zdają sobie sprawę, jak wiele wycucia i taktu wymagać będzie kooperacja po tak ostrym konflikcie. Ten słaby punkt doskonale wyczuwają komentatorzy z „Gazety Wyborczej” czy z „Rzeczpospolitej”, którzy już wróżą, że uczestnicy koalicyjnych sporów za chwilę znów skoczą sobie do gardła. Są to bardzo często opinie, że nowy gabinet to wynik chwilowego rozejmu, po którym konflikty i wzajemne podgryzania zaczną się na nowo. Te głosy powinien bardzo poważnie potraktować Jarosław Kaczyński, bo to on swoim wejściem do rządu bierze dziś na siebie odpowiedzialność za trwałość nowego układu koalicyjno-rządowego. Są jednak i tacy, którzy widzą inne korzyści z obecności naczelnika na posiedzeniach rządu. „Prezes ze swojego zacisznego gabinetu na Nowogrodzkiej nie zauważał wielu dosyć szczeniackich zagrywek zarówno ze strony niektórych współpracowników Morawieckiego, jak i zagończyków Ziobry. Teraz będzie miał okazję bliżej przyjrzeć się, jak wyglądają posiedzenia gabinetu i jak – mam nadzieję – wytypić wiele niedojrzałych zachowań”.

Jest jeszcze jedna możliwość. Jeśli konflikty będą trwać mimo wejścia naczelnika do rządu, wówczas będzie to interpretowane jako schyłek siły dyscypliny, którą Kaczyński zawsze uosabiał. Jeżeli PiS chce myśleć o zwalczaniu zapowiadanego przez wielu kryzysu ekonomicznego i sprawnie poradzić sobie z przedłużającą się pandemią, to rząd musi działać jak dobrze naoliwiona maszyna. A wszelkie prestiżowe, tożsamościowe spory są jak piasek zacierający tryby tej maszynierii. Pytanie, czy wszyscy gracze tego spektaklu to zrozumieli.

Mówi się o jakimś „rebrandingu” i nowym otwarciu, które miałyby polegać nie wiadomo na czym. Niektórzy, siłą rozpędu, wciąż widzą w roli wybawcy i odnowiciela partii Rafała Trzaskowskiego, ale nikt nie umie wyjaśnić, jak się do tych nadziei ma powtarzana od dawna zapowiedź tworzenia przez niego nowego ruchu, bezpartyjnego, ale wspomagającego PO (padła wreszcie konkretna data – ma on zostać zainicjowany 17 października). Sam Trzaskowski zdaje się nie wiedzieć, jak konkretnie ma nowy ruch „skanalizować”, jak sam to określił, energię jego zwolenników z drugiej tury wyborów prezydenckich. Zapowiada, że będzie on zbierać podpisy pod projektami ustaw i tworzyć „wolne media”, co przecież nie ma za grosz sensu – jako drugi co do wielkości klub w Sejmie może PO w każdej chwili zgłosić dowolną ustawę, a mediów w swoim rozumieniu „wolnych”, czyli takich, w których nie miejsca na heretyków w rodzaju Jedlińskiego czy Głuchowskiego, ma już PO aż nadto, zresztą, choćby i chciała więcej, do tworzenia mediów nie potrzeba żadnych ruchów społecznych.

Wiele wewnętrznej energii zużyła koalicja na wybór nowego szefa klubu parlamentarnego, ale trudno doprawdy powiedzieć, by wybrany na niego ostatecznie Cezary Tomczyk wnosił cokolwiek czy dawał swej partii jakąś nową energię – jego pierwsze wystąpienie w nowej roli okazało się równie nieporównane jak on sam, praktycznie w całości stanowiło recykling frazesów używanych przez PO bez zauważalnych efektów od lat. Zarówno niemrawość Trzaskowskiego, jak i bezbarwność Tomczyka oznaczają zachowanie władzy nad partią przez Borysa Budkę i dalszą marginalizację grupy Schetyny, ale po głosowaniach ramie w ramie z PiS nad podwyżką uposażeń poselskich i „piątką Kaczyńskiego” nie bardzo wiadomo, po co właściwie Budce ta władza i dokąd chce swą partię poprowadzić.

Już nie tylko etatowi malkontenci, tacy jak Bogdan Zdrojewski czy Bogusław Sonik, lecz także wierny dotychczas linii partii Michał Boni „sięją defetyzm”, narzekając po mediach, że Platforma (o jej koalicjantach z POKO na co dzień mało kto pamięta) „przespała swoje pięć minut”, nie wiadomo, „po co jest”, „nie śledzi globalnych trendów, debat i używa argumentów, które miały sens 20 lat temu”. Ba, Boni rozhulał się tak, że „niezrozumienie procesu społecznego, który dokonał się w Polsce w ostatnich latach”, zdiagnozował u samego Donal-



Rafał A. Ziemkiewicz

Dyskusje toczone w Koalicji Obywatelskiej zaczynają przypominać dialogi chłopów z zapomnianej sztuki Sławomira Mrożka „Indyk”. „Może by tak co zasiał? E, mówicie, kumie? Albo i zaorać... Ale co? A choćby i pole. Iii tam...”

Wielka niemożność

da Tuska! Pojawiają się nawet niejasno formułowane wezwania, by PO porzuciła już formułę „opozycji totalnej” i wystąpiła z „konkretnymi propozycjami”. To wezwanie Rafała Trzaskowskiego odrzuciła w imieniu partii Małgorzata Kidawa-Błońska, choć zarazem zgodziła się, że PO powinna „wspierać projekty dobre dla kraju”, ale jej zadaniem jako opozycji jest pilnować, by ustawy przyjmowano „zgodnie z reguaminem i bez pośpiechu” – co w kontekście wspomnianego już głosowania nad „piątką” zabrzmiało wyjątkowo śmiesznie.

ZMARNOWANY KRYZYS

Sytuacja naprawdę przypomina teatr absurdu, w rodzaju sztuk nie przypadkiem przywołanego na wstępie Mrożka. Zjednoczona Prawica znalazła się nieoczekiwanie w głębokim kryzysie, ale tej wymarzonej dla niej sytuacji opozycja nie jest w stanie wykorzystać do niczego poza rzucaniem marnej jakości bon motów o „sporach w mafijnej rodzinie”. PO mamrocze od pięciu lat o łamaniu konstytucji i prawa Unii Europejskiej, ale ustawę-kaprys znienawidzonego „dyktatorka z Żoliborza”, którą za sprzeczną z konstytucją uznało sejmowe biuro analiz prawnych i która „wrzucona” została w sposób ewidentnie łamiący nasze zobowiązania traktatowe wobec UE, poparła murem. Zaraz po tym, jak również murem popierała kampanię skrajnej lewicy w obronie rozdokazywanego prowokatora „queer”, który kazał do siebie mówić „ona”, ogłaszając, że nie czuje się mężczyzną, ale kobietą też nie. Przy czym jednocześnie politycy PO perorowali w różnych dyskusjach, że kluczem do zwycięstwa jest odebranie PiS głosów umiarkowanego centrum.

Gdy szans, które otwiera przed opozycją kryzys PiS, nie potrafi wykorzystać Platforma Obywatelska, na logikę powinna wyręczyć ją w tym któraś z innych partii opozycyjnych. Ba, to przecież niepowtarzalna szansa dla PSL, od dawna rojącego o tym, by wyjść z roli partii „klasowej” i przekształcić się w ogólnokrajową partię „ludową”, chadecką, tak jak udało się to przed laty niektórym partiom chłopskim na Zachodzie.

PSL jest jednak wciąż za mocno obite po klęsce Władysława Kosiniaka-Kamysza w wyborach prezydenckich. Klęsce, dodajmy, wywołanej brakiem odwagi prezesa PSL, by sformułować jasno jakiś nowy program i zerwać mentalne uzależnienie od hegemonii PO oraz jej salonów. PSL nie ma ani haseł, które docierałyby

do innego niż wiejski elektoratu, ani liderów, którzy mogliby z nimi wiarygodnie występować. Mając wciąż w pamięci los Samoobrony i LPR, oparło się kuszeniu PiS, by w zamian za polityczną marginalizację na szczeblu centralnym zyskać stanowiska i wpływy w „PiS-owskich” województwach, obroniło się też przed próbami stworzenia wewnątrz stronnictwa frakcji „PiS-owskiej” i przewrotem pałacowym – ale te sukcesy, oznaczające zachowanie status quo, wyczerpały już ludowców bez reszty.

Równie sparaliżowana pozostaje Lewica – przewodniczący Czarzasty marnuje swoją obecność w mediach na tyleż złośliwe, co zgrane bon moty o Kaczyńskim, Morawieckim i Ziobrze, a postkomunistyczny trzon jego partii cieszy się, że wciąż żyje – jeśli Schetynie zarzucano swego czasu, że zmienił PO w fundusz emerytalny dla żyjących z narzekania i krytykowania władzy wiecznych opozycjonistów, to do Czarzastego i Lewicy ten zarzut pasuje jeszcze lepiej. Jediną zauważalną aktywność w ramach Lewicy prowadzi grupka posłanek reprezentujących tzw. loony left, ale jest to aktywność czysto sekciarska, kierowana do wąskiej grupy wielkomiejskich „wiecznych studentów”, pasjonujących się problemami klimatu, upodmiotawiania zwierząt i LGBT.

Pejzażu ogólnej niemożności dopełnia Szymon Hołownia, który akurat przeżywa kryzys ontologiczny – jak pozostać politykiem antypartyjnym, zakładając samemu własną partię. Odpowiedź Hołowni na ten dylemat jest równie dziwaczna jak wszystko, z czym przebiegał się do mediów od wielu miesięcy. Hołownia zakłada partię, ale sam do niej nie będzie należał – poprowadzi ją Michał Kobosko. Wyklócanie się z dziennikarzami, którzy, acz w większości mu życzliwi, nie potrafią pojąć sensu ani celu tych politycznych zwodów, zabiera byłemu „kandydatowi obywatelskiemu na prezydenta” tyle energii, że nie pozostaje mu jej na nic innego. Poza oczywiście licytowaniem się z politykami PO i Lewicy, kto wymyśli bardziej złośliwą obelgę na rządzących.

Mimo wszystko frustracja w obozie anty-PiS wydaje się tak głęboka, że spora jego część gotowa jest głosować nawet na Hołownię. Nie jest jednak jeszcze, jak wynika z sondaży, aż tak wielka, aby anty-PiS był w stanie dostarczyć znaczącej liczby głosów Konfederacji, mimo dużej aktywności Krzysztofa Bosaka, szczególnie w związku z „piątką” odebraną jako zagro-

żenie nie tylko przez rolników, lecz także przez przedsiębiorców z innych branż.

„PATRIOCI” KONTRA „UNIOEUROPEJCZYCY”

„Straciliśmy rząd dusz” – ubolewa cytowany już Michał Boni i tu właśnie nie ma racji. Owszem, liderzy „opozycji totalnej” zawiedli wyznawców, stracili ich zaufanie, zmęczyli ich, ale podstawa ich „rządu dusz” jest wciąż mocna. A jest nią wytyczony przed laty podział sceny politycznej na „patriotów” i „unioeuropejczyków”. To właśnie ten podział, generujący niegaspnące emocje, sprawia, że mimo totalnej nieudolności i bierności opozycji, nieoptrafiącej wykorzystać głębokiego kryzysu w obozie władzy, sondaże nie pokazują żadnych większych przepływów elektoratu. A jeżeli jakieś przepływy się pojawiają, to tylko po którejś ze stron, nigdy między nimi. Rozczarowany wyborca PiS może przeniesić głos na Konfederację i, teoretycznie, odwrotnie, ale przepływów ze strony „opozycji totalnej”, mimo używania identycznej z nią retoryki, Konfederacja na razie nie notuje. Jest bowiem jednoznacznie „antyeuropejska”. A elektorat PO-Lewicy-Hołowni i w zdecydowanej większości PSL to elektorat, który rozwiązanie polskich problemów widzi poza Polską i dla którego prawdziwą opozycję dla rządów PiS stanowią nie nieudolni, krajowi giermkowie zachodnich eurokratów, tylko oni sami. Dlatego choćby ci pierwsi byli nie wiem jak nieudolni, nie wpływa to na plemienną przynależność ani lojalność. I odwrotnie, konfrontacja z wrogami polskiej suwerenności trzyma w wierności wojska PiS, choćby nie wiem jak nieudolnie dowodzone.

Opierając politykę na kwestiach tożsamościowych, a nie merytorycznych, na podziale postkolonialnym, a nie podziałach politycznych, stworzyli swego czasu Kaczyński z Tuskiem polityczne perpetuum mobile i sprawili, że polityka dzieje się równolegle w dwóch Polskach, rozdzielenych utwierdzaną codziennie wrogością. Na razie to perpetuum mobile wciąż się kręci. Dlatego nie należy się spodziewać lepszej opozycji liberalno-lewicowej. Nic jej do bycia lepszą nie zmusza. A znowu taka opozycja określa poziom polityki rządzących, bo wiadomo, że w stawie, w którym nie ma szczupaka, karpie obrastają tłuszczem i się degenerują. Kiedyś się to wreszcie zmieni – ale kiedy, nie sposób wywróżyć.

Odzyskujemy tożsamość

Z prof. Janem Żarynem, historykiem, byłym senatorem, p.o. dyrektorem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego rozmawia Kamila Baranowska



KAMILA BARANOWSKA: Minęło ponad pół roku od powołania przez wicepremiera Piotra Glińskiego Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego. Co przez ten czas udało się zrobić?

JAN ŻARYN: Konsekwentnie realizujemy, pomimo niekorzystnych pandemicznych warunków, plan, który opracowaliśmy na samym początku. Najważniejszym jego punktem jest przygotowanie pierwszych tomów słownika poświęconego działa-

czom narodowym oraz słownika poświęconego działaczom katolicyzmu społecznego. Pierwsze tomy jednego i drugiego cyklu są już gotowe i mamy nadzieję, że zaprezentujemy je jeszcze w tym roku. Pracujemy już nad kolejnymi.

Dlaczego akurat wydanie cyklu słowników uznaliście za sprawę najważniejszą?

Od czegoś trzeba zacząć, a żeby móc wypełnić luki w historii, trzeba mieć

jakiś fundament. Słowniki, zawierające obok biogramów znanych postaci także obszernie (czasem dochodzące do 40 tys. znaków) biogramy ludzi szerszej publiczności nieznanymi, których próbowano usunąć trwale z pamięci narodowej, a którzy naszym zdaniem powinni znaleźć się w podręcznikach szkolnych, to rzecz absolutnie nowa. Znajdą się tam także postaci bardziej rozpoznawalne, które nie kojarzyły się ludziom dotychczas z narodowym czy katolicko-społecznym zestawem poglądów.

Od samego początku planowaliśmy, by właśnie to monumentalne dzieło stało się kołem zamachowym instytutu. Zgromadziliśmy wspaniałych autorów, z jednej strony znanych i cenionych profesorów, historyków, a z drugiej całkiem młodych naukowców, dla których to ciekawe naukowe wyzwanie.

Wicepremier Gliński, powołując instytut, mówił, że jego celem ma być m.in. „wypełnianie białych plam polskiej historii”. Jakie białe plamy mógł mieć na myśli?

Jedną z wielkich, białych plam jest choćby to, że nadal żywa jest w umysłach znacznej części środowisk opiniotwórczych stalinowska, komunistyczna narracja o działaczach obozu narodowego. Narracja zupełnie nieprawdziwa, bo to byli wybitni polscy patrioci, a równocześnie świetni pisarze, ekonomiści, tacy jak Stanisław Głąbiński czy Jerzy Zdziechowski, filozofowie, np. ks. prof. Jan Salamucha z ONR-OP, historycy tacy jak Władysław Konopczyński ze Stronnictwa Narodowego itd., a także tysiące innych. To była elita, która została wtłoczona w nieprawdziwy gorset propagandowy, i do dziś tkwimy w tym gorsecie, nie zdając sobie sprawy, jak wielu wspaniałych ludzi mieliśmy w naszej polskiej tradycji. I tylko dlatego, że byli to ludzie o poglądach narodowych czy nacjonalistycznych, zostali wygumkowani z naszej świadomości, kazano nam się ich wstydzić albo tak wprost o nich kłamano, żebyśmy nie chcieli pamiętać. Ogromu pracy potrzeba, żeby to wszystko odwrócić, ale wierzę, że to jest do zrobienia. Już dzięki naszym słownikom ci, którzy po nie sięgną, wiele się dowiedzą i zostaną pewnie nieraz zaskoczeni.

No właśnie, dowiedzą się ci, którzy sięgną. Obawiam się, że opasłe tomy słowników mogą nie zainteresować młodzieży. Macie jakiś pomysł na przyciągnięcie młodych?

FOT. MICHAŁ WODZIAK/KEST NEWS

Nie jest to proste, ale mamy pewne plany. Chcemy zacząć od nauczycieli i tak próbować dotrzeć do młodzieży. Tworzymy właśnie serię „Biblioteka Myśli Narodowej”, w której pierwszymi tekstami będą teksty wybitnych polskich wychowawców okresu głównie dwudziestolecia międzywojennego, którzy należeli do szeroko pojętego obozu chrześcijańsko-narodowego. Pierwszy tekst, który wydaliśmy, to bardzo ciekawy i wartościowy tekst abp. Józefa Teodorowicza o szkole, wychowaniu i rodzinie. Jeśli chodzi o edukację, to będziemy też ścigać się w jakiejś mierze z dorobkiem IPN. Nie tylko dlatego, że ja sam się stamtąd wywodzę, ale po prostu uważam, że dobre wzorce warto kopiować i warto czerpać z doświadczeń innych. Mamy bardzo rzutki dział edukacyjny, mamy sporo różnych pomysłów na teki edukacyjne, gry miejskie. Przez pandemię mocno weszliśmy w przestrzeń internetową i na pewno tam zostaniemy.

Instytut ma się wpisywać w politykę historyczną prowadzoną przez obecny rząd i prezydenta Andrzeja Dudę. Jak określiłby pan profesor punkt, w którym znajdujemy się po pięciu latach rządów prawicy?

To był i jest nadal bardzo dobry czas, jeśli chodzi o wewnętrzną spoistość, bo odzyskujemy tożsamość jako wspólnota. To, co próbowano nam zrobić – włączyć nas w kompleks wstydu zbiorowego, ośmieszać i tworzyć z przeszłości balast – wydaje się, że zostało trwale przezwyciężone. Dziś w przestrzeni publicznej nie ma miejsca na żadne z tych zachowań. Nikt nie śmie już podważać prawa wyrażania miłości do ojczyzny poprzez np. oddawanie czci bohaterom Powstania Warszawskiego.

To, że zatrzymujemy się 1 sierpnia o godz. 17, to, że tak wielu Polaków bierze udział w Marszu Niepodległości, chcąc pokazać swoje przywiązanie do ojczyzny, to, że udało się przywrócić pamięć o żołnierzach wyklętych – to zbiorowy wysiłek wielu ludzi. Sukces, którego nikt nam już nie ukradnie, choć – jak wiadomo – byli i nadal są tacy, którzy by chcieli. Na szczęście dziś są w defensywie.

A jak to wygląda w polityce międzynarodowej?

Tutaj jest zdecydowanie gorzej. Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, dlaczego tak jest. I jedną z odpowiedzi, nie wiem, czy najlepszą, ale nad którą warto się chwilę zastanowić, jest analogia do ustawy 2.0 o szkolnictwie wyższym autorstwa Jarosława Gowina. Ta ustawa ujawniła

pewien sposób myślenia, który wciąż jest u nas żywy, a który budzi mój głęboki sprzeciw. Mam na myśli taką bezwzględną chęć ścigania się ze światem, przekonanie, że kultura narodowa tylko wtedy ma wartość, gdy jest odbierana przez innych, tych z zagranicy. Bez wątplenia mamy nadal pewien kompleks polegający na tym, że chcemy się za wszelką cenę dostosować do warunków, które nam świat wyznaczy. Nie może być naszej zgody na to, że my, Polacy, jesteśmy interesujący wyłącznie jako zbiorowisko antysemitów, ksenofobów i zacyfanych katolików. Jeśli taka jest oferta ze strony świata, to dlaczego mamy się temu podporządkować? Jaki jest sens, by w tym wstydzie lub próbie dostosowania się do narzuconych warunków funkcjonować?

Co zatem powinniśmy robić?

Róbmy swoje i zostawmy ten lewicowy świat, który ma dla nas ograniczoną ofertę, w świętym spokoju. Nie starajmy się na siłę do niego wypychać. Sprawmy, by narody europejskie same chciały się zainteresować naszą prawdziwą historią. Podsuwajmy im nieoczywiste tematy, postaci, wątki z naszej historii. Tak jak udało się świat zainteresować rtm. Pileckim, tak próbujemy to robić z innymi tematami. Normalnie i bez kompleksów.

Czy to oznacza, że nie powinniśmy reagować na jawnie głoszone kłamstwa na nasz temat?

Oczywiście, że powinniśmy reagować, ale też bez przesady, bo czasem zbyt natężone reakcje mogą nas ośmieszyć. Trzeba próbować zdobywać świat dla swojej prawdy choćby za pomocą filmów, takich jak ten przygotowywany właśnie o rtm. Pileckim, czy za pomocą świetnych akcji, choćby takich jak ta, którą zrobił były ambasador w Szwajcarii Jakub Kumoch z paszportami paragwajskimi. To są właśnie przykłady pozytywnego działania, bez kompleksów. Nie łudźmy się, świat medialno-kulturowy jest dziś w rękach lewicy i na siłę nie damy rady się do niego zbliżyć, nawet podporządkowując panującym regułom gry. Nikt tam na nas nie czeka z otwartymi ramionami.

Ustawa o IPN, która skończyła się wielką awanturą, była przykładem zbyt natężonej reakcji?

Kiedy powstała ustawa o IPN, zasiadałem w Senacie i byłem wieloletnim tych rozwiązań. Nie przyjąłem zbyt radośnie wycofania się z jej zapisów. Co więcej, uczestniczyłem też w nieformalnych rozmowach ze stroną żydowską,

której tłumaczyliśmy, że wzorujemy się na ich doświadczeniu polityki historycznej. Holokaust jako potworne doświadczenie dla narodu żydowskiego wywołał trwającą do dziś autentyczną traumę. I nie ma cienia wątpliwości, że także my jako Polacy mamy swoje traumy. Dzieci rodziców zamordowanych na Wołyniu, dzieci zamordowanych w Katyniu, dzieci pamiętające ogień na Woli i pacyfikację powstania czy dzieci rodzące się w więzieniach stalinowskich to są setki, tysiące historii. To są nasze traumy, do których my jako naród mamy takie samo prawo jak Żydzi do swojej traumy. Nasze dwa narody powinny się wspierać w rozumieniu tego zjawiska. To się niestety nie udało.

Tak jak rządowi nie wyszła nowelizacja ustawy o IPN, tak nie udało się wyjść poza sferę werbalną w sprawie reparacji wojennych wobec Niemiec. Po co zatem rzucać słowa na wiatr?

Akurat jeśli chodzi o reparacje wojenne, to temat powinien być kontynuowany. Nie odpuszczałbym tego. Niemcom prędzej czy później zaczną zależeć, byśmy nie mogli się więcej odwoływać do czasów drugiej wojny światowej jako do argumentu ich kompromitującego. A w momencie, gdy ofiara dostaje zadośćuczynienie, nie wraca już do przeszłych argumentów, one tracą swoją moc oddziaływania. Niemcom trzeba to w odpowiedni sposób wytłumaczyć, tak by zrozumieli, że to jest w ich interesie. I aby zrozumieli to szybciej niż później. I to jest zadanie dla naszej dyplomacji.

Sprawa reparacji pokazuje, jak bardzo polityka historyczna przeplata się z bieżącą polityką i jak może na nią wpływać. Nauczyliśmy się już to wykorzystywać?

Wydaje się, że cały czas się uczymy. Historia jest bardzo ważnym narzędziem oddziaływania na współczesne relacje polityczne, na pozycję danego państwa oraz narodu w przestrzeni geopolitycznej i oczywiście nasi przeciwnicy doskonale o tym wiedzą. Wiedzą to i najbardziej ich denerwuje, że my się nie mamy czego wstydić. Nasza historia jest siłą sama w sobie. Dlatego ci, którzy dzisiaj uważają, że podmiotowa Europa Środkowa jest niepotrzebna, będą zawsze próbowali tę naszą historię zgasić, podważyć, zrehabilitować i najlepiej opluć, by w ten sposób obniżyć naszą pozycję narodu wiodącego na terenie Europy Środkowej. Te mechanizmy my jako Polacy powinniśmy doskonale rozumieć.



Tomasz Rowiński

Jeszcze niedawno nieznany szerzej Bartosz Staszewski zmusił do milczenia całą – potężną niegdyś – redakcję „Gazety Wyborczej”. Kim jest człowiek, którego działania sprawiły, że w świecie szerzą się fejki o tym, iż polski rząd wprowadza „strefy wolne od LGBT”?

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się czegoś nowego o Polsce. Okazało się, że doświadczony publicysta z wciąż największej w naszym kraju liberalnej gazety nie może opublikować polemiki z uczestnikiem „programu rozwoju przywództwa” Fundacji Baracka Obamy. Jego redakcja podkuliła ogon po jednym tweecie sugerującym pozew sądowy. Chodzi oczywiście o „Gazetę Wyborczą” i usunięty z jej stron tekst Piotra Głuchowskiego „Idźmy dalej: Piotrków wolny od Żydów, a skatepark wolny od niepełnosprawnych”. W tekście tym Głuchowski w sposób prosty i nieuprzedzony napisał kilka słów prawdy o akcji Bartosza Staszewskiego przekonującego cały świat za pomocą tabliczek, które sam rozwiesza, że w Polsce mamy „strefy wolne od LGBT”.

Nie udało mi się przeczytać artykułu Piotra Głuchowskiego bezpośrednio ze strony „Gazety Wyborczej”, nie zdążyłem. Najpierw poznałem go z cytatów, które krążyły w mediach społecznościowych, potem pocztą pantoflową, jak duki zakazane w zupełnie innych czasach, otrzymałem go w całości w pliku .docx. Lektura tego tekstu była pod pewnymi względami zdumiewająca. Zobaczyłem rzeczowy materiał liberalnego autora, który krok po kroku demaskuje manipulację, na jakiej Staszewski zbudował swoją medialną rozpoznawalność.

Właściwie przestało mnie dziwić, że prawdziwy twórca wyobrażonych „stref wolnych od LGBT” zareagował na krytykę Głuchowskiego agresją, czyli strasząc „Gazetę Wyborczą” procesem. Cóż bowiem mógł zrobić? Jakie wytoczyć argumenty przeciwko spokojnemu wywodowi publicysty z Czerskiej poza



Strefy anty-LGBT, których nie ma

podniesieniem twitterowej hysterii? W szermierce słownej wokół tekstu Głuchowskiego, która przetoczyła się przez to społecznościowe medium, oznaczane były konta Joe Bidena i Ursuli von der Leyen. Nie dziwi to o tyle, że oszczerczy performance Staszewskiego okazał się niestety na tyle skuteczny, iż jako prawdziwą informację podali jego przekaz w świat właśnie liderzy polityczni z Unii Europejskiej i ze Stanów Zjednoczonych.

AKCJE I REAKCJE

Wzrost znaczenia indywidualnej opinii niedawno jeszcze szerzej nieznanego Bartosza Staszewskiego nie ma zapew-

ne wielkiego związku z jego afiliacją przy Fundacji Baracka Obamy, ponieważ sprawa tego zaangażowania jest dość świeża. Bez wątpienia jednak dwoje polskich uczestników programu organizowanego przez tę fundację ma lepsze niż dobre wejście w polską sferę publiczną. Może niedługo nawet w politykę. Zuzanna Rudzińska-Bluszcz miała całkiem niezłe tournée po ogólnokrajowych mediach jako kandydatka na Rzecznika Praw Obywatelskich. Nawet jeśli nie zdobędzie tego urzędu, to zyskała dość szeroką rozpoznawalność. Staszewski zaś zmusił do milczenia całą – potężną niegdyś – redakcję „Gazety Wyborczej”.

Jak wynika z ustaleń portalu wirtualne-media.pl, autorzy tej redakcji otrzymali „zakaz komentowania, a nawet opisywania sprawy w mediach społecznościowych”. Trzeba przyznać, że skuteczność godna podziwu.

Bartosz Staszewski, rzecz jasna, nie wziął się znikąd. Przedstawia się jako reżyser – nakręcił dwa filmy dokumentalne, jeden o polskich emigrantach z czasów stanu wojennego, którzy trafili do Szwecji, a drugi o nieudanej próbie wprowadzenia w Polsce związków partnerskich. Od 2018 r. jest także organizatorem Marszu Równości w Lublinie. Procesował się wtedy m.in. z wojewodą lubelskim Przemysławem Czarnikiem, zarzucając mu, że ten w jednej ze swoich ostrych wypowiedzi na temat homoseksualizmu zniesławiał go. Ostatecznie doszło do ugody i wojewoda przeprosił za część swoich słów, choć nie wycofał samych opinii o homoseksualizmie. Pośrednio za sprawą Staszewskiego spopularyzowana została także w środowiskach politycznego ruchu homoseksualnego flaga przypominająca polską banderę, na której zamiast koloru czerwonego znalazła się tęcza. Tęczowy kolaż stał się także tłem dla orła znajdującego się w białym polu flagi. Sprawą jako znieważeniem symboli państwowych z art. 137 § 1 Kodeksu karnego zajął się minister spraw wewnętrznych Joachim Brudziński, jednak prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa. Staszewskiemu skutecznie udało się również powstrzymać dystrybucję kontrowersyjnych naklejek „Gazety Polskiej” z napisem: „Strefa wolna od LGBT”. Złożył on pozew o naruszenie dóbr osobistych i Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał wstrzymanie ich dystrybucji do czasu rozpatrzenia sprawy przez sąd. Jak widać, nasz bohater ma wprawę w posługiwaniu się pozwami jako narzędziem politycznego wpływu.

Hasło akcji „Gazety Polskiej”, może rzeczywiście nie najszcześliwiej sformułowane, stało się, jak widać, dla Staszewskiego inspiracją do jego najbardziej znanego działania, czyli stygmatyzacji polskich samorządów. Nasz bohater kilkanaście miesięcy temu zaczął jeździć po Polsce i pod przydrożnymi tablicami z nazwami miejscowości przymocowywał tablicę wyglądającą na informacyjny znak drogowy. Zawierała ona właśnie tekst z naklejek „GP” – „Strefa wolna od LGBT”. Napis miał cztery wersje języko-

we: polską, angielską, francuską i rosyjską. Staszewski wybierał te miejscowości, w których przyjęto Samorządową kartę praw rodziny lub dokumenty o podobnej treści do karty, potwierdzające lokalnie konstytucyjne zasady dotyczące miejsca rodziny w polskim porządku publicznym. Chociaż Staszewski chwalił się w mediach społecznościowych, na czym polega jego akcja, to nie tłumaczył – jak się zdaje – tego odbiorcom spoza Polski. A przecież można się było spodziewać, w jaki sposób zdjęcia, które robił, pozabawione kontekstu, zostaną wykorzystane przez liderów innych politycznych niechętnych Polsce czy przez aktywistów tęczowej i lewicowej międzynarodówki. „Cześć, tutaj Bart Staszewski, to znak, który przed chwilą powiesiłem, żeby móc zrobić zdjęcie” – mówi w swoim filmiku Staszewski. „Mój projekt trwa, jak widzicie, robię cały czas zdjęcia. Możecie śledzić to, co robię na Facebooku”. W efekcie Ministerstwo Spraw Zagranicznych musi do dziś prowadzić twitterowe dyskusje choćby ze szwedzkimi aktywistami, by przekonać ich, że w Polsce nie ma żadnych stref anty-LGBT, a informacje o ich istnieniu umieszczał aktywista ich własnego ruchu.

Gorzej, że MSZ musiało też podobne dyskusje prowadzić z twitterowym kontem kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych Joe Bidena. Jeszcze gorzej, że w związku z szerzącym się fejkami, zapoczątkowanym akcją Staszewskiego, niektóre polskie samorządy straciły dotacje unijne, ponieważ nieprawdziwą informację o strefach potraktowano w UE jako coś rzeczywiste ustanowione. Czy jest możliwe, by światowi liderzy nie wiedzieli, jak się w tym przypadku sprawy mają? Czy nie zasięgnęli języka w polskich służbach dyplomatycznych? Jeśli nie wiedzieli, to bardzo źle świadczy o tym, jak wykonują swoje obowiązki. Jeśli wiedzieli, to trudno przypisać im choć odrobinę dobrej woli i uczciwości. Jeśli jednak Bartosz Staszewski odniósł taki międzynarodowy sukces, to dlaczego jego reakcja na tekst Piotra Głuchowskiego była tak nerwowa? Dlaczego postanowił poderwać do lotu oburzenie tęczowego Internetu w sprawie jednego artykułu? Być może dlatego, że sprzeciw wobec bezkarności Staszewskiego zaczął przybierać realne kształty i artykuł Piotra Głuchowskiego dał przykład tego, że nie obejmuje on już tylko środowisk prawniczych i kato-

lickich. Należało więc narzucić nową dyscyplinę we własnym obozie.

DUMA Z NIEPRAWDY

„To sytuacja skandaliczna, że tego rodzaju działania nadal pozostają bez adekwatnej reakcji prawnej. Jednostki samorządu terytorialnego zapowiadają jednak publicznie podjęcie określonych kroków prawnych wobec tego aktywisty” – mówił niedawno na łamach „Tygodnika Solidarność” mec. Bartosz Lewandowski z Instytutu Ordo Iuris na temat oszczerstw Staszewskiego wobec samorządów. I faktycznie, dwa tygodnie temu gmina Zakrzówek jako pierwsza ogłosiła wystąpienie na drogę prawną przeciwko aktywistom, który tymczasem poprzez portal pomagam.pl zebrał jakiś czas temu 15 tys. zł na kontynuowanie swojej akcji. Na stronie zbiórkowej Staszewski umieścił kolaż ze screenów przedstawiających reakcje różnych mediów światowych na jego działania. Widać tam wyraźnie, że przynajmniej niektóre z nich potraktowały jego fejka jako prawdę. Kataloński „El Nacional” rzeczywiście w styczniu br. opublikował tekst pt. „Skandal w Polsce: skrajnie prawicowy rząd ogłasza strefy wolne od LGBT”. Ta całkiem jawna nieprawda, jak widać, nie przeszkadza aktywistom, by się nią chwalić. Nagłówek ten rzuca się w oczy jako pierwszy, gdy spojrzymy na kolaże, bo przecież lewy górny róg ekranu monitora najbardziej przyciąga nasze spojrzenie. Czy takich ludzi chce promować w Polsce nasz amerykański sojusznik poprzez swojego byłego prezydenta, a – co gorsza – także poprzez całkiem aktualną ambasadorkę, która mówi nam, że broniąc swojej konstytucji, stoimy po złej stronie historii? Takich liderów potrzeba dziś Polsce i światu?

Wróćmy jeszcze na chwilę do tekstu Głuchowskiego, o którym Staszewski na Twitterze napisał, że jest „obrzydliwy, pełen manipulacji”. Jakie to manipulacje? Czy się tego dowiemy? Już pewnie nie. Czy jednak pod koniec swojego materiału Piotr Głuchowski nie napisał właśnie prawdy? „Reasumując: stref wolnych od LGBT nie ma, zaś Karty Praw Rodzin w ogóle o osobach LGBT nie wspominają – i nie ma co ludzi oszukiwać, że to straszne grażnowo-januszowate, szczerbate Podkarpacie wprowadza u siebie apartheid. Bo tylko budujemy na świecie fałszywy i dużo gorszy od prawdziwego obraz swego kraju”.



szlafroka, na kuracji błotnej i w dorożce. Facebookowe konto byłego lidera Solidarności wręcz tonie od zdjęć, które dokumentują każdy, często po prostu intymny, aspekt jego życia.

OBI WAN WAŁĘSOBI

Fotografie budzą emocje i są przerabiane. Były prezydent – zapewne nieświadomie – regularnie dostarcza treści internetowym śmieszkom. Ujęcie w białym ręczniku narzuconym na głowę wraz z okularami i maską ochronną? W sam raz na porównanie ze strojem rycerzy Jedi z „Gwiezdných wojen”. I już, zamiast Lecha Wałęsy, mamy Obiego Wan Wałęsobięgo. Wrzucając wszystko jak leci, bez żadnej edycji, refleksji i krytycyzmu, niebezpiecznie skręca on jednak na obszar, który młodzież nazywa „krindżem”. Ciarkami na plecach wywołanymi poczuciem zażenowania.

Co zrozumiałe, nagła eksplozja popularności zdjęć Wałęsy z jego turnusu rehabilitacyjnego spowodowała dyskusję wśród dziennikarzy i polityków. „Czy ktokolwiek jest w stanie przetłumaczyć Lechowi Wałęsie, że ta seria zdjęć w ostatnich dniach (i nie tylko) to nic dobrego? Wiem, że nie. Ale może jakiś cud się stanie i ten lol-kontent zostanie zatrzymany, a nie będzie leciał jak woda w tych wczorajszych biczach wodnych...” – napisała Żaneta Gotowska z „Gazety Wyborczej”. „A na czym polega problem? Spokojnie, on da radę i symbol przetrwa. A ja żyję czasu i energii na zajmowanie się prawdziwymi problemami” – odpisał jej Tomasz Lis, naczelny „Newsweeka”.

W pewnym momencie odezwała się nawet prof. Krystyna Pawłowicz, która – delikatnie mówiąc – nie żyje na przyjacielskiej stopie z noblistą. „Niezależnie, jak się ocenia Lecha Wałęsę, to robienie mu zdjęć w czasie trwania jego zabiegów zdrowotnych, w różnych nie-

zręcznych sytuacjach, robionych zapewne przez obsługę, jest bardzo nieetyczne. Niech mu nikt w tym już nie pomaga, mimo że sam zatracił poczucie kompromitacji” – stwierdziła, biorąc go w specyficzną, ale jednak obronę.

Faktycznie, warto zadać sobie w tym miejscu pytanie o sens pisania na temat prywatnych selfie byłego szefa Solidarności. Wbrew temu, co głoszą jego apologety, sprawa wymaga jednak komentarza. Nie mówimy przecież o perypetiach byłego wiceministra, który z polityki odszedł 20 lat temu, ale o jednym z najbardziej rozpoznawalnych na świecie – obok Roberta Lewandowskiego i Jana Pawła II – Polaków. Dla wielu osób na Zachodzie, niezaznajomionych z najnowszą historią Polski, symbolu demokratycznych przemian i upadku komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej. Człowieku, który regularnie komentuje życie polityczne kraju dla zagranicznych mediów i jest w nich brany serio.

Wielu dziennikarzy i polityków wytworzyło wokół Wałęsy nieco specyficzny kordon ochronny, polegający na powtarzaniu mantry: „Lechu może więcej”. Fotka stóp podczas kuracji błotnej? Świetnie – promocja zdrowego stylu życia. Rozważania o kosmitach? Ekscentryk. Kompulsywne dzielenie się każdą potrawą zjedaną podczas turnusu w prywatnym ośrodku? Praca u podstaw w dziedzinie zdrowej diety. I tak bez końca. „Patrząc na pojazd po Lechu Wałęsie, że pokazuje foty z sanatorium [...] i wiem, że najważniejsze w życiu to robić swoje i nie oglądać się na innych” – napisała na Twitterze dziennikarka Polsatu, Agnieszka Gozdyra. „Lech Wałęsa jest sobą i nie musi cię pytać, ani nikogo, co mu wypadła. Jest sobą także dlatego, że całe życie robił to, co nie wypadło” – odpisała na moją uwagę, że nikt nie krytykuje tego, jak były prezydent spędza

UFO, szlafrok i noblista



Marcin Makowski

Niektórzy twierdzą, że facebookowe konto Lecha Wałęsy legendę Solidarności zamienia w człowieka-mema. Inni, że pokazuje „starszego pana cieszącego się życiem”. Czy w ogóle powinno nas to obchodzić?

Parmezan z kalafiora. Zawartość zupy w zupie nieznaną, „Płyniemy”, „Płytko”, „Jest ok”, „Ogórek z czerwoną cebulką”, „Coś tam na ząb”, „Fotel masujący”, „Kremik z selera – pyszności!”, „Deserek – kiwi z malinkami”.

Do tego Lech Wałęsa we wszystkich możliwych do wymyślenia pozach – przy talerzu, na basenie, w komorze z masażem wodnym, z kijkami do nordic walkingu. Przytulający ludzi, rozmawiający z mediami, w szlafroku, bez

czas wolny, ale jest różnica między zdjęciem ze spaceru a medialnym ekshibicjonizmem, gdy mimo wszystko nadal reprezentuje się nie tylko siebie, lecz także swoje państwo.

Przecież w tej sprawie nie chodzi tylko o zdjęcia czy o brak krytycyzmu fanów noblisty. Równie ważne, jeśli nie ważniejsze, jest to, co Wałęsa w swoich mediach społecznościowych pisze. Każdy, kto poświęci nieco czasu na zanurzenie się w strumień jaźni byłego stocznio-wca i polityka, wkroczy w groteskowy świat samouwielbienia, teorii spiskowych, nieporadności na granicy wykluczenia cyfrowego, średnio śmiesznych memów oraz obsesji na punkcie Sławomira Cenkiewicza, o. Tadeusza Rydzyka i arcywroga Jarosława Kaczyńskiego. Niesamowite są również dialogi Wałęsy z fanami. Taka perełka dla przykładu. „Szanowny Panie Prezydencie musi Pan Sobie zrobić fotkę

przy golonku i piwie bo wtedy mina będzie taką, że nie da satysfakcji pisowcom a jak widzą taką minę jak przy kalafiorku to się cieszą. Pozdrawiam i życzę dużo zdrówka” – pisze Tadeusz. „Dziękuję za cenne uwagi. Pozdrawiam” – odpowiada Lech. Gdy z kolei dodaje pokazując konstrukcję statków kosmicznych filmik, na którym narrator ze śmiertelną powagą przedstawia rasy obcych cywilizacji, które odwiedzają Ziemię, ale których ostrzeżeń nie słuchamy, czytamy głosy wsparcia, a nie zaniepokojenia.

GDZIE SĄ DORADCY?

Również styl Lecha Wałęsy jest niepodrabialny i chyba, po tak długim czasie korzystania ze smartfona i laptopa, trudny do wyjaśnienia samą niezajomością sprzętu. Dla przykładu dosyć typowy post z zachowaniem pisowni oryginalnej: „Musiałem walczyć jak widać nie tylko z komunistami i ich służbami,

ale i z Borusewiczem, Gwiazdą, Walentynowicz, Wyszowskiem i innymi. Dałem rad i dziś podołałem ich oszczerstwom”. Na pytanie o to, dlaczego wrzucił do tego grona Borusewicza, odpowiada: „Nie zmuszaj mnie do faktów i dowodów”.

Spójrzmy na to z jeszcze innej perspektywy – powszechnie rozpoznawalnego symbolu, a nie starszego pana siedzącego przed ekranem komputera. Czy ktoś wyobraża sobie w podobnej sytuacji Billa Clintona, Dalajlamę, śp. Helmuta Kohla czy Nelsona Mandelę? Czy byli prezydenci Niemiec, Francji albo USA szaleją w mediach społecznościowych jak seniorzy, którzy po raz pierwszy dostali do ręki smartfon? Czy ktokolwiek o choćby porównywalnej pozycji w świecie Zachodu w ogóle wyobraża sobie prowadzenie swoich oficjalnych kanałów komunikacji w podobny sposób i całkowicie samodzielnie?

W końcu nawet Donald Trump na Twitterze zachowuje zasady gramatyki, jest w przekazie konsekwentny i mimo wszystko umie wyczuć, czym różni się prowokowanie przeciwnika od dawania mu broni do ręki. Pomijając stanowiący ewenement przypadek prezydenta USA, właściwie wszyscy obecni albo byli, ale nadal liczący się politycy mają wokół siebie doradców i speców od komunikacji, którzy wykorzystują ich wizerunek do realizacji celów przeróżnych fundacji i inicjatyw społecznych. To również troska o wizerunek państwa, które te osoby nadal – nawet na emeryturach – reprezentują. Zachowanie Wałęsy mało ma wspólnego z „luzem” i „dystansem do siebie”, wiele za to mówi o jego otoczeniu, które nie powie mu w pewnym momencie: „Lechu, a może nie warto pokazywać całemu światu, jak leżysz półnago w wannie?”.

© © Wszelkie prawa

REKLAMA

Większość nowości prezentowanych przez CITIZEN w tym roku zostało stworzonych specjalnie z okazji celebrowania okrągłego jubileuszu - 50 lat istnienia i rozwijania technologii, dzięki której CITIZEN zaproponował innowacyjny materiał z którego wykonywane są koperty oraz bransolety zegarków. Super Titanium™ jest specjalnym materiałem stworzonym przy użyciu wyjątkowej technologii przetwarzania tytanu oraz utwardzania jego powierzchni technologią Duratect. Jest bardziej odporny na zarysowania, 5 razy twardszy niż stal szlachetna, lekki, hipoalergiczny i niepodatny na rdzewienie. Technologia Super Titanium™ została zapoczątkowana ok. 1960 roku, kiedy misja kosmiczna Apollo pokazała potencjał tytanu jako materiału do produkcji przemysłowej, a inżynierowie CITIZEN zaczęli rozglądać się za możliwością zastosowania tego materiału w zegarkach. W 1970 CITIZEN wyprodukował pierwszy na świecie zegarek z tytanową kopertą: "X-8". Od tego czasu udoskonalano technologię przetwarzania, w tym tłoczenia, cięcia i polerowania materiału, który był uważany za bardzo trudny do obróbki. Po pokonaniu wielu przeszkód, w 1987 roku, powstał pierwszy zegarek w pełni wykonany z tytanu. CITIZEN nie zaprzestaje prób ulepszania tego rozwiązania i ciągle proponuje nowe wyjątkowe modele z Super Titanium™.

CB0190-84L (cena: 1980 zł)

citizen.pl



50th
Anniversary of
Titanium
Technology
SUPER TITANIUM



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Debiutant” Siergieja Lebiediewa (na zdjęciu) – powieść o toksynie dużo bardziej niebezpiecznej niż nowiczok

Dusza marionetki

Zrządzenie losu sprawiło, że powieść ta ukazała się w Polsce akurat, kiedy serwisy informacyjne pełne były doniesień o otruciu rosyjskiego opozycjonisty, Aleksieja Nawalnego. Zrządzenie losu albo coś innego. Ludzie dzielą się na tych, którzy znaków wypatrują, i na tych, którzy znaki lekceważą. Ci pierwsi wiodą życie ciekawsze, ci drudzy bardziej ryzykowne.

Książka zaczyna się od rozdziału, prowadzącego nas od intrygującego monologu wewnętrznego uciekiniera z Rosji, który za wolność (i zdradę) zapłacił życiem w ukryciu, porzucając dawnego „ja”, operacjami plastycznymi, do zamachu dokonanego za pomocą substancji dziwnie podobnej do nowiczoka. Ofiara nie jest dysydem, raczej przypomina nieszczęsnego Siergieja Skripała. Potem poznajemy rozmaite figury opowieści: wynalazcę owej zabójczej toksyny, prof. Kalitina, a także przedstawiciela aparatu władzy, ppłk. Szerszniewa, wzorowego żołnierza systemu. Człowieka, który „od początku postrzegał rzeczywistość z perspektywy człowieka z zakodowanym poczuciem wyższości – w całej jego biografii, od uczelni do służby, wpajano mu, że to przemoc jest źródłem istotnego doświadczenia”. W tym jednym zdaniu mieści się charakterystyka zarówno stalinowskiej utopii, jak i putinowskiej restauracji systemu.

POD PRĄD

Powieść nosi tytuł „Debiutant” (tak zowie się neurotoksyna, aluzja do nowiczoka oczywista), a jej autorem jest Siergiej Lebiediew, rosyjski pisarz uważnie czytany i wychwalany na Zachodzie, przyjmowany chyba od pewnego czasu we współczesnej Rosji z bardziej mieszanymi uczuciami, bo mierzy się ze współczesnością swego kraju i z jego ponurą sowiecką przeszłością w sposób bardzo daleki od oficjalnej linii Kremla. Linii, którą wyznaczają słynne słowa Władimira Putina o tym, że rozpad Związku Sowieckiego był „największą katastrofą geopolityczną XX w.”.

„Prawdopodobnie najlepszy rosyjski pisarz młodego pokolenia” – pisze o Lebiediewie „The New York Review of Books”. „Od czasów Sołżenicyna Rosja nie miała pisarza tak oddanego historii własnego kraju i jej śladom w świadomości zbiorowej” – dodaje Orlando Figes, brytyjski historyk znany u nas

z książek „Taniec Nataszy: Z dziejów kultury rosyjskiej” czy „Szepty: Życie w stalinowskiej Rosji”. Czy najlepszy, tego nie wiem, bo mam za mały materiał porównawczy, na pewno znaczący i wyróżniający się, godny uważnej lektury i idący pod prąd obecnym modom.

Mody te zaś są następujące: jeśli o historii, to dekonstrukcja, przepisywanie jej na nowo w duchu political correctness, rozmaite akcje afirmacyjne post factum i tak dalej. Od tego Lebediew jest bardzo daleki. Moda druga: jeśli o współczesności, to koniecznie w sposób szalony, rozbuchany, łamiąc język, nicując tradycyjne fabuły, tworząc efektowne kolaże, gdyż przecież jest to świat szalony i niewytłumaczalny, więc tak jeno da się oddać jego szaleństwo. To także nie jest przypadek Lebediewa.

„Debiutant” (podobnie jak wydane u nas wcześniej powieści „Dzieci Kronosa” i „Granica zapomnienia”) napisany jest prostym, oszczędnym stylem, który zdawał się już bezpowrotnie zagarnięty przez literaturę popularną, ale który mimo to jest piękny i wcale treści nie umniejsza ani upraszcza. Czytam w notach biograficznych, że autor po wielokroć brał udział w geologicznych ekspedycjach jeśli nie na Sybir, to do Kazachstanu. Czyżby prostota krajobrazu wpływała na prostotę stylu?

Podczas gdy Władimir Sorokin ucieka w groteski i fantazje (nie twierdzę, że płoche), podczas gdy Zachar Prilepin brnie w fascynującą dostojewszczyznę na miarę XXI stulecia (żeby nie było: Prilepin to pisarz wybitny), Siergiej Lebediew o ważnych rzeczach pisze wprost. Aż przychodzi na myśl wiersz Zbigniewa Herberta „Pan Cogito o cnocie”, która „nie jest oblubienicą prawdziwych mężczyzn / generałów / atletów władzy / despotów”, lecz za to „napomina / wyciąga z lamusa / portret Sokratesa / krzyżyk ulepiony z chleba / stare słowa”. Nie mam wątpliwości, że nie jest Lebediew ulubionym pisarzem Władimira Putina. Nie może być, bo zamiast kultu siły i pochwały bandyckiej przeszłości znajdziemy u niego „suchy poemat moralisty” (odwołując się do innego z wierszy Herberta). Rzadka to refleksja we współczesnej Rosji.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ JEDNOSTKI

Pamiętam autobiografię Michaiła Kałasznikowa zatytułowaną groteskowo „Moje życie jak krótka seria”, w której

twórca najbardziej rozpowszechnionego na ziemi taniego narzędzia mordu nie przejawiał zbyt wielkiej ochoty do rozważań na temat wyrzutów sumienia. Smucił się raczej, że jako szary szeregowy pracownik systemu pozbawiony został w czasach kapitalizmu dochodów stosownych do popularności swego wynalazku, karabinka AK-47. (Wziął potem sprawiedliwość we własne ręce, obejmując udział w niemieckiej firmie, której udzielił licencji na opatrywanie nazwą „Kałasznikow” produktów tak różnych jak wódka, zegarki czy parasole). Pamiętam też śmiertelnie nudne wywody Andrieja Sacharowa (trzytomowe „Wspomnienia”), w których ojciec rosyjskiej bomby wodorowej i późniejszy laureat Pokojowej Nagrody Nobla dystansował się co prawda od sowieckiej polityki, ale częściej krytykował programy atomowe w ogóle, a nie atom w rękę tego akurat, a nie innego zbrojckiego imperium, i nieco wymijał kwestie osobistej odpowiedzialności za zło.

Jakże jest wina maluczkich, którzy po prostu robili to, co umieli, oraz wykonywali rozkazy? Rzec by można: Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”, gdyby nie brzmiało to jak ponury żart w kontekście Kałasznikowa. Gdzie jest granica między odpowiedzialnością jednostki a systemu? Siergiej Lebediew nie ma wątpliwości, słowa jego są „tak – tak, nie – nie”. Zarówno na początku „Debiutanta”, gdy błyska na moment figura żony ppłk. Szerszniewa, zawodowego kata i mistrza tortur, opuszczając go wkrótce po tym, jak wyjechał wojować na Kaukazie. Szerszniew zaś, niezadowolony do patrzenia na świat w kategoriach moralnych, tłumaczy to sobie: „Żona zwyczajnie przyłączyła się do większości, która nie chciała wiedzieć o krwi i brudzie, o zmaganiach wojska i ofiarach”. Szerszniew nie rozumie, samookłamuje się, my rozumiemy, bo to zrozumiałe, że nie chce się żyć u boku złego człowieka.

I w finale „Debiutanta”, gdzie wybrzmiewają słowa pastora Trawniczka, który też znalazł się na celowniku chemicznych zamachowców: „Nie chodzi tu o zwykłą etykę: nie zabijaj [...] wydaje się panu, że naruszając zakaz prowadzenia doświadczeń na ludziach, dotrzesz pan

szybciej do prawdy. Lecz na tym polega problem, że środek zaczyna przeważać nad celem. I to, co pan tworzy, okazuje się tworem pozbawionym łaski i samego pierwiastka dobra. Powiedziałbym, że wręcz wytworem diabła”.

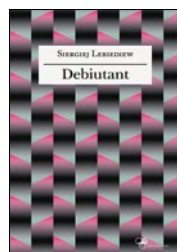
Nie uciekniemy od tego wyboru, bo opisując i analizując systemy, które rozdarły świat i przyniosły miliony ofiar, bo przypatrując się skutkom śmiertelnych wynalazków, zawsze w końcu musimy stanąć przed kwestią odpowiedzialności jednostki. Nie bez powodu Lebediew otwiera swą powieść cytatem z „Fausta” Goethego, nie bez powodu „Faust” okazuje się jednym z kluczy do zrozumienia sowieckich i rosyjskich utopii u władzy (jakże często zwracają się ku niemu rosyjscy artyści, wspomnijcie nie tylko

Bułhakowa, lecz także filmową wersję Aleksandra Sokurowa).

TOKSYCZNA PRZESZŁOŚĆ

Prowadzi nas Siergiej Lebediew przez współczesność i historię Rosji, opowiadając historię prof. Kalitina – od człowieka pozbawionego wątpliwości do starca zmagającego się z wyrzutami sumienia – oraz jego ofiar i jego oprawców. Wykracza jednak ta opowieść – musi wykraczać – poza ramy prostej intrygi sensacyjnej (jest i taka: gdy tożsamość Kalitina wychodzi na jaw, jego tropem ruszają zabójcy z Kremla). Lebediew, szukając przyczyn, sięga do wydarzeń z czasów III Rzeszy i osiągnięć jej naukowców w służbie zagłady, do utwardzania władzy Putina (wojny kaukaskie) oraz zastygnięcia w parodii normalnego państwa systemu po Stalinie. Nie po raz pierwszy zrównuje zresztą zbrodnie sowieckie z niemieckimi.

Lekcja jest prosta i ważna. Nie tylko dla zrozumienia współczesnej Rosji, lecz także dla współczesnych dysput politycznych w krajach niegdyś przez Sowietów podbitych, takich jak Polska. To ponura, nierozliczona przeszłość jest toksyną zatruwającą współczesność. Kalitinowie czy Szerszniewowie to jednocześnie zbrodniczego systemu twórcy, marionetki i ofiary. Dlatego trzeba uważnie patrzeć i w toksyczną historię, i w duszę marionetki.



SIERGIEJ
LEBEDIEW
„DEBIUTANT”
CLAROSCURO
2020



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEĆ

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Igraszki z diabłem



★★★★★
REŻ. ANTONIO CAMPOS
**„DIABEŁ WCIELO-
 NY” („THE DEVIL
 ALL THE TIME”)**
USA 2020

wyst. Tom Holland,
 Robert Pattinson,
 Bill Skarsgård

Ponura saga rodzinna w klimatach, które znamy z książek Faulknera albo kryminałów „southern gothic”, tyle że gościmy na amerykańskim środkowym Zachodzie. Rozpięta jest między latami 40. a 60. XX w. Nękany przerażającymi wspomnieniami z wojny na Pacyfiku żołnierz zakłada rodzinę, lecz po przedwczesnej śmierci żony powoli osuwa się w szaleństwo. Jego syn wyrasta na chłopaka nawykłego do rozwiązywania konfliktów pięściami. W tle mamy galerię wstrętnych duchownych, którzy są hipokrytami i świrami albo miłośnikami seksu z młodymi dziewczętami, miejscowego przekupnego szeryfa oraz parę seryjnych morderców o bardzo chorej wyobraźni. Kto nie winny, tego czeka smutny los, kto

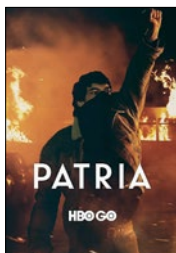
bierze sprawiedliwość we własne ręce, ten może oczekiwać, że spotka go niesprawiedliwość.

Ten popis amerykańskiej smarzowszczyzny byłby łatwy do przemilczenia, gdyby nie znakomita roleta aktorska, niezła reżyserska i kilka zapadających w pamięć scen. Znany jako miłutki Spider-Man Tom Holland pokazuje, że potrafi też grać na poważnie. Pierwsza część filmu należy do Billa Skarsgård, który znakomicie wypada jako dotknięty traumą weteran. Z kolei Robert Pattinson w roli lubieżnego pastora tym razem nie był w stanie odróżnić stylizacji od manieri. Dostajemy też znakomitą robotę operatorską i długie fragmenty, w których nastrój wciąga bez reszty.

Jako całość film jednak pozostawia nas niespecjalnie

poruszonymi, bo podstawowe pytanie nie znajduje odpowiedzi: Co ma wynikać z całej tej parady grzechu i okropności? Wynika niewiele – bo trudno brać na poważnie mądrości w rodzaju „niektórzy ludzie rodzą się tylko po to, by zostać pogrzebanymi”. „Diabeł wcielony” sprawił, że przypominałem sobie o filmie Johna Hillcoata „Gangster” (2012), po którym byłem podobnie rozdarty: świetni aktorzy (Tom Hardy i Guy Pearce), sugestywny obraz prowincji i fabuła prowadząca donikąd.

Film sprawdziłby się może lepiej jako miniserial, bo sporo ciekawych postaci aż prosi się o więcej ekranowego czasu. Powieść Donalda Raya Pollocka była przede wszystkim ponurym kryminałem, dzieło Camposa próbuje umknąć z kina gatunków, ale brakuje mu sporo do wielkości. To, co jest, spróbowałbym podsumować takimi słowami: wielu ludziom wydaje się w tej historii, że rozmawiają z Bogiem, tymczasem okazuje się, że cały czas był to diabeł – the devil all the time. ©©



NOWE SERIALE: „PATRIA”

Ekranizacja znanej także w Polsce powieści Fernando Aramburu pod tym samym tytułem (Sonia Draga 2018). „Wnikliwy opis upadku moralnego wywołanego przemocą” – pisał o niej noblista Mario Vargas Llosa. „Patria” to historia dwóch baskijskich rodzin opowiedziana na tle burzliwych wydarzeń ostatnich kilku dekad w Kraju Basków,

ze szczególnym uwzględnieniem krwawego węzła polityki, separatyzmu i terroru ETA. To jedna ze sztandarowych produkcji HBO Europe. Jednym z reżyserów jest Félix Viscarret znany m.in. z filmu „Pod gwiazdami”. ©© **Piotr Gocieć**
• miniserial „Patria”, Hiszpania 2020, wyst. Elena Irureta, Ane Gabarain, José Ramón Soroiz, dystr. HBO GO i HBO3

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Bob Persichetti, Peter Ramsey, **„Spider-Man Uniwersum” („Spider-Man: Into the Spider-Verse”)**, USA 2018
- reż. Kristina Grozeva, Petar Valchanov **„Ojciec” („Bashkata”)**, Bułgaria 2019 **CINEMAX**
- reż. Todd Haynes, **„Mroczne wody” („Dark Waters”)**, USA 2019
- reż. Chad Stahelski, **„John Wick 3”**, USA 2019 **CINEMAX**

Różowa landrynka



Jeszcze trochę i Paryż przestanie być nazywany Miastem Miłości. Z powodu pandemii seksbiznes podupadł i „Alice” ogląda się jak film historyczny, z niewiadomych powodów awizowany jako komedia. François, z pozoru czuły mąż i wzorowy tatuś, okazuje się dziwką, a to nałogowym. Połowica dowiaduje się o tym w banalny sposób – karty kredytowe przestają działać. Chcąc sprostać finansowym wymaganiom pań do towarzystwa, małżonek wyzerował bankowe konta i przestał spłacać kredyt hipoteczny.

Kiedyś takich jak on nazywano łowcami posagów. Alice grozi eksmisja z mieszkania. Zorientowawszy się, że call girls z wyższej półki zarabiają krocie, postanawia

zostać jedną z nich. Przemiana niewiniątka w lafiryndę jest bezproblemowa: wystarczy się umalować, założyć kuszącą bieliznę i szpilki. Jak wiadomo, żadna praca nie hańbi, córki Koryntu są jak pielęgniarki, a w dodatku mają większą władzę nad mężczyznami niż potulne kury domowe.



★★★★★

REŻ. JOSEPHINE MACKERRAS
„ALICE”
AUSTRALIA/FRANCJA 2019

wyst. Emilie Piponnier, Martin Swabey, Chloé Boreham

Alice ma teraz dużo wolnego czasu i odkrywa bezinteresowną przyjaźń. Rzecz lepiej sprawdziłaby się jako farsa, w konwencji realistycznej dość trudno jest udowodnić, że prostytutka na drogę do samorealizacji kobiety. Reżyserka, próbując uciec z tej pułapki, coraz bardziej się pograża. Wniosek? Panie, uczcie się języków. Francuski nie wystarczy, by sobie poradzić w życiu. ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GRA TYGODNIA: „PORT ROYALE 4”

Karaiby, XVII w., postępująca w błyskawicznym tempie kolonizacja Nowego Świata, regularne potyczki między Hiszpanami, Francuzami, Anglikami i Holendrami. W takie rejony historii zabiera nas strategia ekonomiczna „Port Royale 4”. Chociaż nie porywa grafiką i jest momentami mocno

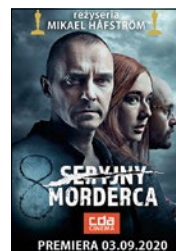
powtarzalna, to ciekawa pozycja dla fanów gatunku, uwielbiających godzinami optymalizować szlaki dostaw, kupując nowe okręty i dbając o ich bezpieczeństwo. Co rozczarowuje? Choć położono nacisk na realizm, to zupełnie wyeliminowano handel niewolnikami, natomiast dowódcy



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

ZABIŁEM ICH WSZYSTKICH

cda.PL



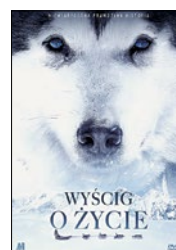
★★★★★

REŻ. MIKAEL HÅFSTRÖM
„SERYJNY MORDERCA” („THE QUICK”)
SZWECJA 2019, MAYFLY A

wyst. David Dencik, Jonas Karlsson, Alba August

Pod posępnym skandynawskim niebem lęgną się demony. Thomas Quick, okrzyknięty bestią w ludzkiej skórze, dostarczył natchnienia zastępom literatów, co zaowocowało wysypem powieści kryminalnych, mrocznych jak noc podbiegunowa. Zrujnował też reputację szwedzkiej prokuratury. Skazano go na dożywotnią izolację za osiem morderstw, choć przyznał się do 30. Dopiero po latach znalazł się sceptyk, który poczuł, że coś tu śmierdzi. Hannes, telewizyjny reporter perfekcjonista, mimo zakazu szefa zaczyna zgłębiać temat, korzystając z pomocy asystentki, która czyta 11 tys. słów na minutę. Odwiedza Quicka, zdobywa jego zaufanie i odkrywa, że nawet nazwisko więźnia jest fałszywe. Mocna rzecz, niestety tempo ślimacze. Przyzwyczajonych, że dziennikarstwo śledcze polega na picu wódki z politykami i funkcjonariuszami służb, archaiczne metody pracy Hannesa mogą zaskoczyć. Co kraj, to obyczaj. ©©

PSY NA ŚNIEGU



★★★★★

REŻ. BRIAN PRESLEY
„WYŚCIG O ŻYCIE” („THE GREAT ALASKAN RACE”)
USA 2019

wyst. Brian Presley, Treat Williams, Brea Bee

Na faktach, ale w grubej panierce kina familijnego. Zimą 1925 r. w osadzie Nome na Alasce wybuchła epidemia dyfterytu. Surowicę, ratującą życie chorych dzieci, dostarczono do najbliższej stacji kolejowej. Trasę do Nome, liczącą 1130 km przez góry i zamrożoną zatokę, mogły pokonać jedynie psy zaprzęgi. Zorganizowana ad hoc sztafeta marszerów zmierzyła się z arktyczną zimą i ponad 40-stopniowym mrozem. Najdłuższy odcinek przypadł Leonhardowi Seppali, popularnemu hodowcy husky syberyjskich. Wychowani na powieściach Londona będą tym filmem rozczarowani. Brian Presley – scenarzysta, reżyser i odtwórca głównej roli – nisko powiesił sobie poprzeczkę. Słaby, może dlatego, że wysłany z palca, jest wątek indiański. Dziesięcioletki zapewne kupią tę kliwską opowieść, ale starsze dzieci wiedzą, że w prawdziwym życiu człowiek zawsze może liczyć na psa, ale pies na człowieka już niekoniecznie. ©©

recenzuje Wiesław Chełmiński

★★★★★

piratów to same kobiety. Mało ma to wspólnego z historią. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Strategia/ekonomiczna
- **Platforma:** PC/PS4/XONE/Switch
- **Producent, dystrybutor:** Gaming Minds / Koch Media
- **PEGI:** 12+

MOJA PÓŁKA

Tropy Macieja Urbanowskiego

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Czternaście szkiców o kilkunastu pisarzach, m.in. Marku Nowakowskim, Januszu Krasińskim, Jarosławie Marku Rymkiewiczzu znalazło się w najnowszej książce prof. Macieja Urbanowskiego, autora tak znaczących dla polskiego literaturoznawstwa prac jak „Dezerterzy i żołnierze”, „Prawą stroną literatury polskiej” czy „Brzozowski. Nowoczesność”. Na ich tle „Paralele, korespondencje, dedykacje...” jawią się skromniej, na pierwszy rzut oka mogą wręcz sprawiać wrażenie zbioru przyczynkowego, powstałego jakby przy okazji badań nad poszczególnymi twórcami. Nic bardziej mylnego.

Urbanowski zatrzymuje się tutaj często nad, zdawałoby się, drobnymi sprawami, wyciąga zdanie z listu, zastanawia się nad dedykacją utworu, porównuje jednego pisarza z drugim. Oczywiście na przykład o Andrzeju Bobkowskim napisał kiedyś całą książkę („Szczęście pod wulkanem”), teraz jednak wraca do postaci autora „Szkiców piórkem” w kontekście jego znajomości z pisarzem kompletnie zapomnianym, o którym ostatnio przypomniano sobie nagle, a to głównie dlatego, że był homoseksualistą. Chodzi o Wilhelma Macha. Tych czytelników, którym nazwisko to nic nie mówi, odsyłam do swojego tekstu o autorze „Rdzy”, помещonego w najnowszym numerze miesięcznika „Historia Do Rzeczy”. Tyle autoreklama.

Macieja Urbanowskiego geostwo Wilhelma Macha interesuje, owszem, ale jakby powiedział prof. Julian Krzyżanowski – nie bardzo. Odnajduje za to nić porozumienia między tymi pisarzami, których na pozór wszystko dzieliło. A przecież po ich spotkaniu w pierwszych dniach stycznia 1948 r. w Paryżu Bobkowski w liście do Jarosława Iwaszkiewicza



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

nie krył zachwytu tym przybyszem z komunistycznej Polski, z którym od pierwszego zamienionego zdania nawiązał wyjątkowo dobry, serdeczny kontakt. Swoją drogą, na ewentualne podejrzenia o homoseksualny podtekst tej znajomości rzuca światło odpowiedź udzielona przez Bobkowskiego temuż Iwaszkiewiczowi, gdy pytał go o powody fascynacji Oscarem Wilde'em: „Nie – zupełnie nie”. „Potem – czytamy – będzie wyjaśniał Turowiczowi: »Jestem zupełnie normalny i nie jestem pederastą«, »coś, co w nim [Iwaszkiewicz] jest chore, szuka widocznie tego, co jest zdrowe we mnie. Ponieważ ja nie czuję się w żadnym punkcie chory więc rozumiem, że jako zdrowy nie poszukuję w nikim żadnej choroby do kompletu«”.

„Homoseksualizm Wilde’a Bobkowskiego więc nie interesował – pisze Urbanowski – ale też mu – jak można sądzić – nie przeszkadzał”. Z Wilhelmem Machem było podobnie, choć w jego „Pożegnaniu”, w którym pod postacią „Gandhiego” sportretowany jest Mach, narrator przypomina sobie zdarzenie z przeszłości, „gdy w Górcach, po całodziennym marszu na deszczu, kurowałem

go wieczorem w schronisku na Lubaniu. Doszedł wyczerpany, z gorączką. Rozebrałem go i wycierałem grubym lnianym ręcznikiem, pojąc gorącą herbatą”. No tak, tyle że Bobkowski w 1948 r. zobaczył Macha po raz pierwszy, a wieczór spędzili w paryskich kafejkach.

W „Paralelach...” czytamy o różnicach i podobieństwach w piśtarstwie Marka Nowakowskiego i Kazimierza Orłosa, o usytuowaniu Janusza Krasińskiego względem pokolenia „Współczesności” i Jarosława Marka Rymkiewicza w stosunku do nieco starszej od niego generacji wojennej. Analizuje Urbanowski 30 dedykacji, którymi Zbigniew Herbert opatrzył swoje tomy i wiersze, z kolei oddzielny esej poświęcając jednemu, za to jakże znamiennejmu zdaniu, którym Ksawery Pruszyński poprzedził swój reportaż „W czerwonej Hiszpanii”: „Poświęcam tę pracę śp. EUGENIUSZOWI MAŁACZEW-SKIEMU, autorowi »Konia na wzgórze«, człowiekowi, który zrozumiał wojnę, ewolucję i Rosję i który najlepiej z nas wszystkich zrozumiałby dziś Hiszpanię”.

Prostuje też autor „Paraleli...” rozpowieszchnioną i powtarzaną uparcie wersję wydarzeń, z której wynika, że pierwszym żyjącym w kraju pisarzem publikującym swoje dzieło w wydawnictwie emigracyjnym, był w 1973 r. Kazimierz Orłoś ze swoją „Cudowną meliną”. Sam pisarz prostuje tę wiadomość, przypominając „Apelację” Jerzego Andrzejewskiego z roku 1968. Naprawdę jednak pierwsza była jeszcze o 10 lat wcześniejsza publikacja w Instytucie Literackim w Paryżu „W polu” Stanisława Rembeka, „bez wątplenia – czytamy – arcydzieła prozy polskiej XX wieku, a przy tym jednego z niewielu naszych wybitnych utworów literackich dotyczących wojny polsko-bolszewickiej”. Arcydzieła zapoznanego. ©©



★★★★★

**MACIEJ
URBANOWSKI**
„PARALELE,
KORRESPONDENCJE,
DEDYKACJE
W LITERATURZE
POLSKIEJ XX
I XXI WIEKU”
ARCANA,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ręka mistrza

Zwykle zaczyna jak wykładowca akademicki, od przystępnego i zwięzłego streszczenia utworu, często przybliżenia postaci autora lub historycznego kontekstu. Szybko zamienia się w przenikliwego analityka, który w lot dostrzega i potrafi wyrazić to, co innym zajmuje czasem grube tomy. Pozostaje pisarzem, wybitnym pisarzem, bo gdy dochodzi do tekstów o Samuelu Beckettie, zaczyna „pisać Beckettem”. Dawno nie miałem w rękach tak dobrego tomu esejów.

W „Późnych esejach” J.M. Coetzee, noblista z 2003 r., podróżuje między klasyką (Defoe, Hawthorne, Goethe, Flaubert) a odkryciami ostatniej dekad (pośmiertna edycja odnalezionych, nieznanych wcześniej powieści Irène Némirovsky). Znajduje czas na polskiego geniusza poezji Zbigniewa Herberta, trafnie identyfikując go jako „uciekiera z Utopii” (co już uczynił Barańczak), lecz stawiając prowokacyjne pytanie, czy nie jest aby wrogiem wszelkich praw i systemów, nie tylko totalitarnego (Herbert jako moralista-anarchista? Arcyciekawie!).

Niespodziewanym komentarzem do pandemicznej rzeczywistości okazał się tekst sprzed lat o powieści Philipa Rotha „Nemezis”, która z kolei była dialogiem/polemiką z „Dżumą” Ca-

musa. Bogini Nemezis „czuwa nad tym, by ci, którym wiedzie się niesprawiedliwie dobrze, zostali upokorzeni” – przypomina Coetzee, a także o tym, że „tragedią rządzi reguła, wedle której człowiek jest w stanie dostrzec logikę własnego upadku jedynie z perspektywy czasu”.

Dla polskiego czytelnika dodatkową wartością będzie zwrócenie uwagi na twórców albo u nas nieznanych (takich jak australijski poeta Les Murray), albo nigdy czytanych, a dziś zapomnianych (inny Australijczyk, nagrodzony Noblem w 1973 r. Patrick White). Wielki Pisarz – mówi nam przy okazji White’a Coetzee (tak, wielką literą w obydwu słowach), jednocześnie pokrywając gorzko: „Figura Wielkiego Pisarza święciła triumfy w XIX w. W naszych czasach idea wielkości stała się podejrzana, zwłaszcza gdy towarzyszą jej biała skóra i męska płeć”. Znajdziemy bowiem w tej książce sporo ironii, wiele celnych obserwacji



★★★★★
J.M. COETZEE
„PÓŹNE ESEJE”
WYDAWNICTWO
KARAKTER

niekoniecznie związanych z analizowanymi akurat dziełami.

Wiem, że wielu czytelnikom prozy autora „Czekając na barbarzyńców” jego pisanie wydaje się nazbyt zimne i analityczne. W jego pracach krytycznych widać wyraźniej, że to nie żaden chłód – to mądrość. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor opowiada barwnie i zwięźle, docenia znaczenie Bitwy Warszawskiej i zło-wrogi apetyty Rosji, za to w finale błędnie interpretuje działania Trumpa i plecie bzdury o fali nacjonalizmu i autorytaryzmu w Europie Środkowej.



SIMON JENKINS
„KRÓTKA
HISTORIA
EUROPY”
REBIS

Wspomnienia z bitwy o Anglię, szkolenia w przedwojennej szkole orłąt w Dęblinie plus fotografie z archiwum rodziny. Zapiski pilota Dywizjonów 303 i 302 (tym ostatnim dowodził) ukazują się ponad ćwierć wieku po jego śmierci.



MARIAN DURYASZ
„MOJE
PODNEBNE
BOJE”
BELLONA

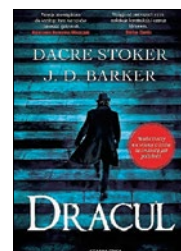
„Nie tacy święci, jak ich malują” – przypomina autor, ale na szczęście zamiast na siłę skandalizować i genderyzować, proponuje po prostu obszerny przegląd mało znanych ciekawostek. Nie dekonstruuje biografii, lecz je uzupełnia.



SŁAWOMIR
KOPER
„SEKRETNE
ŻYCIE AUTORÓW
LEKTUR
SZKOLNYCH”
FRONDA

Stryjeiczny prawnuk Brama Stokera, autora powieści „Dracula”, dopisuje do książki prequel oparty na stu stronach oryginału, które zostały usunięte przez wydawcę. Dokłada też własne pomysły i wplata rodzinną historię.

©© **poleca Piotr Gociek**



DACRE STOKER,
J.D. BARKER
„DRACUL”
CZARNA OWCA

KOMIKS TYGODNIA: „SKARGA UTRACONYCH ZIEM”

Zamiast odcinać kupony od popularności, którą przyniosła mu seria „Thorgal”, Grzegorz Rosiński podjął kolejne wyzwanie. Nie zaniebując serii o wikingim dziecku z gwiazd, zabrał się na początku lat 90. do pracy nad monumentalnym komiksem fantasy, na który składają się albumy „Sioban”, „Blackmore”, „Pani Geraut” i „Kyle z Klanach”. Zbiorne wydanie pierwszego



MAGAZYN
KOMIKSOWY
„KOMIKS I MY”
NR 2 (12)/2020

cyklu serii wzbogacone zostało o bogate materiały dodatkowe. Scenariusz to dzieło Jeana Dufaux. Po latach Dufaux kontynuował „Skargę...” już bez Rosińskiego. Cykl drugi narysował Philippe Delaby, a trzeci rozpoczęła Béatrice Tillier. ©© **poleca Piotr Gociek**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pracę nad materiałem, który w postaci minialbumu „Na atomy” ukazał przed kilkunastoma dniami, zespół The Poks rozpoczął w 2018 r. To tylko cztery utwory, ocierające się o różne style, mocno inspirowane filmami. O inspiracjach tych zespół wspomina, ale unika podawania ich na tacy. Może z wyjątkiem singla

z tytułowanego nazwiskiem Charlesa Floyda, amerykańskiego rabusia bankowego z lat 30. XX w.

O Floydzie i filmowej inspiracji Łukasz Dąbrowny, autor tekstów, wokalista i gitarzysta The Poks, opowiadał na antenie Czwórki Damianowi Sikorskiemu. – Obejrzałem film „Wrogowie publiczni”

w reżyserii Michaela Manna i epizod, w którym Charles uciekał przed gliniarzami – mówił Dąbrowny. – Za pośrednictwem kolorystyki całej scenerii, która towarzyszyła Floydowi w jego ostatnich chwilach, znalazłem źródło inspiracji i przełożyłem na najpierw na dźwięki, a następnie na tekst. Stworzyłem do tego

jakaś swoją historię przejścia pomiędzy dwoma wymiarami i spróbowałem wytłumaczyć Floyda przed słuchaczami – wyjaśniał.

Epka „Na atomy” jest drugą w dorobku założonego w 2015 r. w Krakowie zespołu. Pierwszą, pt. „Radocholia”, wydali w roku 2016, by przez kolejne dwa lata oddać się koncertowaniu, w tym wychodzeniu na sceny studenckich festiwali i przeglądów. – Nasz start w 2016 r. w obecnym składzie opierał się na różnego rodzaju przeglądach kapel studenckich, odwiedzaliśmy wiele miejsc, poznawaliśmy ciekawych ludzi i dzięki temu też nabieraliśmy doświadczenia scenicznego – mówi Łukasz Dąbrowny. Ten obecny skład to poza Łukaszem: Dominik Gałęza (gitara, syntezator), Adam Balicz (perkusja) i Rafał Drozdowski (gitara basowa). ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Dekada Małego Księcia

W latach 80. Michael Jackson ustanawiał rekordy sprzedaży płyt, ale to Prince wyznaczał wówczas nowe kierunki w muzyce popularnej.

Pierwszą płytę wydał w wieku 20 lat. Trzecia („Dirty Mind”) pokazała jego geniusz; piąta („1999”) była arcydziełem; szósta z muzyką do filmu „Purple Rain” wprowadziła go do panteonu sław muzyki. Ta ostatnia osiągnęła 25 mln nakładu, a do tego album, dwie piosenki i film były numerami jeden w USA.

Jednak to podwójny album „Sign O’ The Times” z 1987 r. uważany jest za opus magnum Prince’a. Jest to jego najbardziej różnorodne stylistycznie dzieło. Piosenki rozciągają się od prostego electrofunku i smooth soul do pseudopsychodelicznego popu i żywiołowego

hard rocka. Można też odnaleźć w nich wpływy muzyki gospel, bluesa i folku. W tekstach dominuje nihilistyczna zabawa, ale wyczuwalna jest w nich doza nadchodzącej apokalipsy. „Sign O’ The Times” przyniósł cztery przeboje, z których najbardziej znany jest „U Got The Look”.

Najbardziej rozbudowana wersja wznowionego albumu zawiera osiem płyt kompaktowych (m.in. wersje utworów z maksisingli, 45 niepublikowanych nagrań, zapisy dwóch koncertów) i 120-stronnicową książkę. Na DVD uwieczniono noworoczny występ, na którym pojawił się sam Miles Davis.

Prince zmarł w wieku 57 lat w wyniku przedawkowania fentanylu, dozwolonego w USA środka przeciwbólowego, używanego często jako substytut heroiny. ©

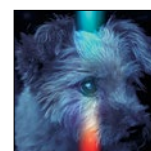


★★★★★
PRINCE
„SIGN O’ THE
TIMES SUPER
DELUXE EDITION”
WARNER



★★★★★
KASIA
CEREKWICZ
„POD SKÓRĄ”
AGORA MUSIC

W pierwszej piosence „Nigdy” pani magister wielu dziedzin oznajmia, że dzięki „Niemu” wie, „czym prawdziwa miłość jest”. Profesorski album zrealizowany według reguł katowickiej Akademii Muzycznej. Pięknie zaśpiewany, czysto nagrany i strasznie przewidywalny.



★★★★★
MIKROMUSIC
„KRAKSA”
MYSTIC
Natalia Grosiak
na 11. albumie

Mikromusic śpiewa o wielu wymiarach miłości. Żegna się z ukochanym psem Kraksą, rozmawia z dzieckiem w sobie... Muzycznie bez zmian – melodyjny pop inspirowany latami 80. okraszony z umiarem nowoczesnymi barwami. ©

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

**JUŻ JESTEŚMY
BEZPIECZNE**



**Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną
lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj
z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:**

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**

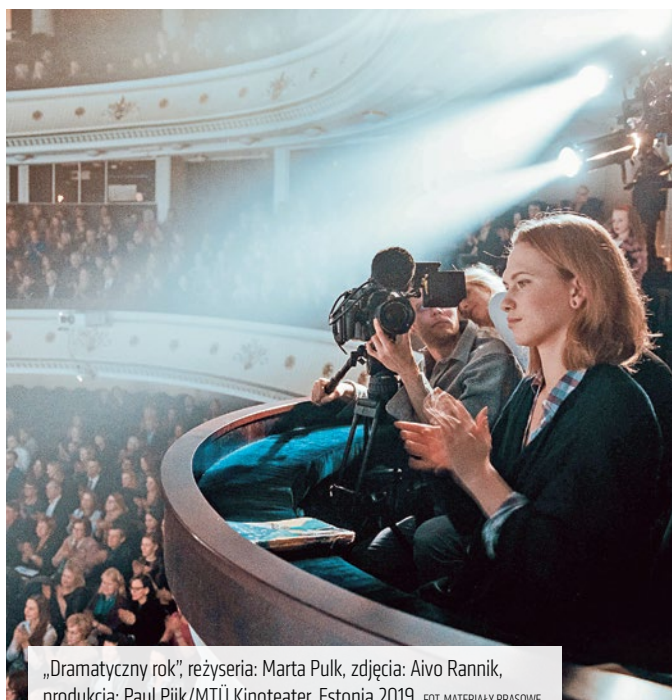
**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**

www.ms.gov.pl

Piotr Stasik i Dorota Wardęszkiewicz stworzyli portret Krystiana Lupy, reżysera reżyserów, artysty do potęgi entej. Zamierzeniem dokumentu „Spróbujmy skoczyć do studni” było podejrzenie Lupy przy robocie – jest to relacja z pracy nad „Procesem” Kafki w warszawskim Teatrze Nowym. Natomiast „Dramatyczny rok”, estońska produkcja Marty Pulk, mierzy się z tematem teatralnego widza idealnego.

Oto w ramach eksperymentu społecznego, wymyślonego przez grupę estońskich artystów, ogłoszono konkurs na... zawodowego widza. Wybrana osoba miała przez rok obejrzyć wszystkie estońskie premiery teatralne i napisać z każdej z nich recenzję, publikowaną na bieżąco na specjalnym blogu. Głównym kryterium doboru był... brak doświadczenia teatralnego. „Czy sztuka kogokolwiek zmienia?” – pytają kuratorzy. I deklarują: „Szukamy czystej kartki, everymana”. Na poważnie wracają więc do oświeceniowych utopii, chcą widzieć teatr jako medium pedagogiczne – a przy okazji poczuć się choć trochę demiurgami. Casting wygrywa Alissia – inteligentna, wrażliwa, urocza nastolatka z głębokiej prowincji. Przenosi się do Tallina i rozpoczyna swoją misję w atmosferze lekko podgrzanej przez medialny szum, wpisując się w ramy zaproponowane przez kuratorów projektu, którzy najwidoczniej zapomnieli wspomnieć o jeszcze jednym koniecznym kryterium – medialnym, celebryckim potencjale.

Alissia zapamiętała ogląda spektakle: te stołeczne i te w najbardziej odległych miejscowościach, podróżując koleją, stopem i w każdy możliwy sposób. Towarzyszy jej – jak można wywnioskować z intymnej, a nawet obnażającej narracji i z ciepłego,



„Dramatyczny rok”, reżyseria: Marta Pulk, zdjęcia: Aivo Rannik, produkcja: Paul Piik/MTÜ Kinoteater, Estonia 2019 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ciemne zwierciadło teatru



Grzegorz Kondrasiuk

Na tegorocznej edycji festiwalu Millennium Docs Against Gravity pojawiły się dokumenty ukazujące hermetyczny i niezrozumiały dla większości społeczeństwa świat teatru

bliskiego kontaktu z kamerą – zapewne zaprzyjaźniona reżyserka. Mimochodem i my, widzowie tego dokumentu, zapoznajemy się z estońską estetyką teatralną, dochodząc do wniosku o jej pewnych podobieństwach do polskich – i do każdego innego. Widzimy różne artystyczne i wspólnotowe doświadczenia: taniec współczesny, teatr intermedialny, lupoidalne egzystencjalizmy i oklaskiwane na stojąco pieprzne farsy. Rok z codziennym teatrem mija w przeciągu stu minut filmu, a wraz

z rosnącą liczbą dyskretnych tatuaży i z coraz bardziej wysmakowanymi kreacjami Alissia nabywa tego czegoś, co w nudnych raportach nazywa się zwiększoną kompetencją kulturową – by w finale znaleźć się wśród kandydatów na talliński wydział reżyserii. Jednak spod prostej narracji o budzeniu się talentu i niełatwej drodze do sukcesu wyziera inna, znacznie ciekawsza. „Dramatyczny rok” chwytą ten moment, kiedy bohaterka przestając być widzem, staje się kandydatem na eksperta,

terminującym kandydatem oczekującym na przyjęcie do branży. Ale od samego początku bystra, elokwentna nastolatka ma i o teatrze, i o tzw. branży, i o tzw. zwykłym życiu naprawdę ciekawe rzeczy do powiedzenia – potrafi na przykład jasno zdefiniować fakt, że zrobiono z niej królika doświadczalnego. Upada więc wpisany w założenia „projektu” koncept prostaczka, którego trzeba przeciągnąć na swoją stronę, ukulturalnić. Przepada nawykowe myślenie – pokutujące i wśród artystów, a jakże! – o przeciętnym, statystycznym, przewidywalnym widzu teatralnym i o przeciętnym guście, który należy zaspokoić. Dojrzałości dokumentalistki Marty Pulk dowodzi umieszczenie w filmie fragmentu jednego z oglądanych przez Alissię przedstawień. Znakomicie pokazuje, jak można myśleć o teatrze w sposób prawdziwie wolny od ideologicznych protez, jak robić teatr, który nie poucza, który nie uważa własnej widowni za głupszą od siebie. Umieszczony na teatralnej scenie ekran pokazuje filmowanych widzów. Machają oni do siebie, do nas – a jeden z aktorów mówi o tym, że każdy z nich przyniósł tutaj swój własny świat. Ten dokument teatralny ma w sobie siłę, bo nie jest tylko o teatrze. Stopniowo na pierwszy plan wchodzi wątek introspekcji – mierzenia się bohaterki z rodzinnymi traumami, pustką, brakiem miłości, jej bezradnym poszukiwaniem. Teatr – jako coś w rodzaju ciemnego zwierciadła – pozwala bohaterce zidentyfikować ten życiowy bagaż, bo w tym tkwi jego magnetyczna siła. Oglądałem zatem ten „Dramatyczny rok” z życia Alissi z pewnym zawstydzaniem z powodu przyjemności podglądactwa, ciesząc się, że komuś udało się uchwycić właściwości tego ciemnego zwierciadła. ©

DODATEK SPECJALNY – część 4



Konwencja stambulska.

Obrona przed przemocą czy obca ideologia?

- Czy katolicyzm zagraża kobietom? – rozmowa z ks. Piotrem Roszakiem
- Przemoc w rodzinie – fakty i mity • Konwencja stambulska a polskie prawo
- Jak inne kraje poradziły sobie z konwencją stambulską



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





Konwencja stambulska a polskie prawo

FOT. ADRIAN STOK



Jerzy Kwaśniewski

Obowiązujące w Polsce przepisy od dawna realizowały poziom ochrony ofiar przemocy co najmniej równy standardowi wyznaczanemu przez konwencję stambulską

W toku debaty publicznej nieraz usłyszeć można o przewadze dobroczynnych skutków wielu konkretnych przepisów antyprzemocowych konwencji stambulskiej nad uszczerbkiem spowodowanym akceptacją jej ideologicznych założeń. Problem w tym, że autorzy tej tezy nie są zazwyczaj w stanie wskazać nawet jednego przepisu konwencji, który rzeczywiście wnosiliby do polskiego prawa nową jakość w zakresie ochrony kobiet przed przemocą domową. Tymczasem nie przysparza trudności wykazanie tezy przeciwnej – ideologiczne podejście konwencji do problemu przemocy wobec kobiet szkodzi skuteczności

działań antyprzemocowych, wzmacnia zjawisko przemocy, ogranicza zgłaszalność aktów przemocy, a część kobiet wprost ochrony prawnej może pozbawić. Widać to w statystykach Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Najwyższe wskaźniki przemocy wobec kobiet odnotowały kraje skandynawskie – 40–50 proc. kobiet doznaje tam przemocy, a w Polsce – 19 proc. (Średnia UE wynosi 33 proc.). Te same badania wykazały, że Polska znacząco góruje nad krajami skandynawskimi, jeśli chodzi o zgłaszalność aktów przemocy organom ścigania. Pada zatem mit, wedle którego statystyki przemocy wobec kobiet w Polsce ukazują fałszywy obraz

wskutek niskiej zgłaszalności aktów przemocy.

„BYĆ KOBIETĄ, BYĆ KOBIETĄ...”

Wszelkie komentowanie konwencji stambulskiej jest tym trudniejsze, że pojęcie „kobiety” obecne zarówno w tytule, jak i treści dokumentu w charakterystycznie rewolucyjny sposób nie może być odczytywane dosłownie. „Kobietą” jest bowiem w myśl konwencyjnych definicji każdy, kto przyjmuje na siebie kobiece „gender”, zatem zespół ról społeczno-kulturowych przypisywanych w danym społeczeństwie „kobiecości”. Zważywszy na to, że na tak nieprecyzyjnym fundamencie pojęciowym budowany jest gmach daleko idącej ingerencji w życie społeczne, nic dziwnego, iż bułgarski trybunał konstytucyjny zarzucił konwencji naruszenie zasady praworządności i pewności prawa. Jak trzeźwo zauważyli bułgarscy sędziowie, „ujęcie »płci« jako konstrukcji społecznej prowadzi do relatywizacji kategorii płci biologicznej. Jeśli społeczeństwo traci zdolność do odróżniania kobiety od

mężczyzny, zwalczanie przemocy wobec kobiet pozostaje jedynie formalnym, lecz niewykonalnym zobowiązaniem”.

CO PRZYJĄŁ POLSKI SEJM?

Gdy do powyższych uwag dodamy zastrzeżenia do oficjalnego tłumaczenia konwencji na język polski, okaże się, że skala niejasności i zamieszania pojęciowego już nie tylko utrudnia, lecz także wręcz uniemożliwia odczytanie rzeczywistej treści konwencyjnych zobowiązań. Można jedynie przypuszczać, że zastąpienie w wielu miejscach pojęcia „gender” odwołującym się do biologii słowem „płeć” miało na celu wprowadzenie w błąd opinii publicznej w czasie debaty nad ratyfikacją. Nie zmienia to jednak faktu, że polskie tłumaczenie, opublikowane w Dzienniku Ustaw, nie odpowiada oryginalnym wersjom językowym konwencji – francuskiej oraz angielskiej. Nie jest także zbieżne z przekładem na język polski zamieszczonym na stronie internetowej Rady Europy.

Tymczasem, zgodnie z przepisami prawa międzynarodowego, tekstem wiążącym państwa-strony traktatów jest język oryginalny. Przedłożenie błędnego tłumaczenia w trakcie procesu ratyfikacyjnego umowy międzynarodowej jest jednocześnie naruszeniem prawa.

CO WNOSI KONWENCJA?

Warto przyjrzeć się tak często przywoływanym „konkretnym i skutecznym” rozwiązaniom konwencyjnym. I tu czeka nas poważny zawód. Co prawda konwencja poświęca kilkadziesiąt artykułów wytycznym odnośnie do polityki przeciwdziałania przemocy, jednak żaden z nich nie zawiera instrumentów prawnych nieznanych wcześniej polskiemu prawu.

Konwencja zobowiązuje bowiem do szkolenia pracowników opieki społecznej z przeciwdziałania przemocy, zachęca do prowadzenia społecznych kampanii antyprzemocowych w mediach, nakazuje informować ofiary przemocy o przysługujących im prawach, a nawet wylicza konkretnie, które czyny powinny podlegać penalizacji. A na dokładkę z poziomu międzynarodowego traktatu nakazuje prowadzenie ogólnokrajowej linii telefonicznego wsparcia dla ofiar przemocy. Rzecz w tym, że żaden z tych środków nie był obcy polskiemu prawu i praktyce działania organów państwa przed ratyfikacją konwencji.

Już w toku debaty nad ratyfikacją konwencji stambulskiej przez Polskę Magdalena Olczyk wskazywała w „Biuletynie RPO”, że prawo polskie, gdy chodzi o ochronę cywilnoprawną, spełnia główne cele i założenia stawiane przez konwencję. Jednocześnie za wartościowe uzupełnienie obowiązujących w Polsce rozwiązań uznawano zwolnienie z kosztów sądowych ofiary przemocy domowej składającej wniosek o eksmisję sprawcy czy rozważanie wydłużenia terminu do unieważnienia małżeństwa zawartego pod wpływem groźby. Trudno powiedzieć, aby były to zagadnienia pierwszorzędnej wagi dla realizacji deklarowanych celów konwencji stambulskiej.

Przyjęta w Polsce z inicjatywy Ministerstwa Sprawiedliwości tzw. ustawa antyprzemocowa jest krokiem wyprzedzającym normy konwencyjne

Także obowiązujące w Polsce przepisy prawa karnego od dawna realizowały poziom ochrony ofiar przemocy co najmniej równy standardowi wyznaczanemu przez konwencję stambulską.

Zwolennicy konwencji podnoszą wielokrotnie tezę, jakoby jej zasługą było wprowadzenie do polskiego prawa zasady ścigania z urzędu przestępstwa zgwałcenia, wcześniej ściganego na wniosek ofiary. Taki standard rzeczywiście został ujęty w art. 55 konwencji, nakazującym, aby ściganie określonych przestępstw, w tym przestępstwa zgwałcenia, nie było uzależnione wyłącznie od powiadomienia lub skargi ofiary. Jednak krótka analiza historii legislacji karnej rozбивa i ten argument. Projekt ustawy zmieniającej tryb ścigania przestępstwa zgwałcenia został złożony w Sejmie 10 maja 2012 r., czyli na ponad pół roku przed podpisaniem konwencji stambulskiej przez Polskę oraz na blisko trzy lata przed ratyfikacją konwencji przez Rzeczpospolitą Polską. W uzasadnieniu projektu ustawy nie zawarto żadnych odniesień do konwencji stambulskiej.

Kolejnym krokiem, tym razem wyprzedzającym normy konwencyjne, jest przyjęta z inicjatywy Ministerstwa Sprawiedliwości w połowie 2020 r. tzw. ustawa antyprzemocowa, która w istotny sposób zwiększyła poziom

prawnych gwarancji przeciwdziałania przemocy domowej. Nowe środki przewidziane w ustawie, takie jak nakaz opuszczenia mieszkania oraz zakaz zbliżania się do mieszkania, stanowią uzupełnienie już wcześniej istniejących w polskim porządku prawnym rozwiązań pozwalających na ochronę ofiar przemocy. Zgodnie z uzasadnieniem projektu przyjętej ustawy jej celem było wprowadzenie do porządku prawnego kompleksowych rozwiązań dotyczących szybkiego izolowania osoby dotkniętej przemocą od osoby stosującej przemoc w sytuacjach, gdy stwarza ona zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników. Pomimo zastrzeżeń wynikających z niedostatecznej ochrony przed pochopnymi decyzjami policji nowelizacja jest wyraźnym wyjściem ponad ideologiczny kod konwencji stambulskiej. Tym samym dowodzi, że reguły konwencyjne wyczerpały się i nie stanowią istotnej inspiracji w tworzeniu nowych, skutecznych środków przeciwdziałania przemocy.

Praktyka pokazuje, że istniejące deficyty w polityce antyprzemocowej państwa nie wynikają z braków legislacyjnych, a tym bardziej z niedostatecznej implementacji konwencji stambulskiej, lecz z ideologicznego zaczerpnięcia kadr organizacji społecznych oraz urzędników odpowiedzialnych za system przeciwdziałania przemocy, w tym system procedury Niebieskiej karty. Moje osobiste doświadczenie przy tworzeniu Krajowego Programu Przeciwdziałania Przemocy pokazuje, że wszelkie próby reorientacji systemu na rzeczywiste czynniki przemocy – przede wszystkim uzależnienia, z alkoholowym na czele – napotykały ideologiczny opór. W paradygmacie konwencyjnym przemoc rodzi się bowiem nie z patologicznych dysfunkcji życia społecznego, ale jest systemowym i strukturalnym zjawiskiem właściwym rodzinie jako takiej. Rodzina jest bowiem najwcześniejszą szkołą ról społecznych w ich binarnym podziale na męskie i kobiece, co w perspektywie konwencyjnej jest źródłem społecznych napięć rodzących wszelką przemoc.

Dopiero uwolnienie się z oków konwencji stambulskiej, ograniczającej suwerenny wybór skutecznych środków wsparcia rodziny, pozwoli na stworzenie skutecznych mechanizmów antyprzemocowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, współtwórcą i prezesem zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

Narzędzie w rękach ideologów



FOT. MARCIN WIERZYSKO / ORDO IURIS



**Z Karoliną Pawłowską, dyrektor
Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris
rozmawia Piotr Włoczyk**

PIOTR WŁOCZYK: Chyba trudno protestować przeciw konwencji, która w swojej nazwie mówi o „zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej”?

KAROLINA PAWŁOWSKA: Zastosowanie tej nazwy to rzeczywiście umiejętny wybieg jej autorów – ma odwrócić uwagę od jej ideologicznego charakteru. Konwencja, wykorzystując bardzo poważny problem, jakim jest przemoc wobec kobiet i przemoc domowa, narzuca bowiem radykalną wizję rzeczywistości. Dokument ten od początku jest narzędziem w rękach lewicowych ideologów. Wykorzystują oni argumenty emocjonalne, żeby nas zdyskredytować. Tymczasem pod względem merytorycznym ta konwencja zawiera wiele wad, które zupełnie ją dyskwalifikują.

W jakim sensie?

Pod pretekstem walki z przemocą konwencja wprowadza niezwykle kontrowersyjną wizję ludzkiej płciowości. Za sprawą przepisów konwencji wprowadzane jest do krajowych porządków prawnych pojęcie „gender”. Zasadza się ono na dwóch głównych założeniach, które świetnie widać w tym dokumencie. Po pierwsze, w świetle tej teorii kobiecość i męskość są przede wszystkim konstruktami społecznymi i dla ich postrzegania nie mają znaczenia obiektywne uwarunkowania biologiczne. Po drugie, konstrukty te powstały w wyniku nierównych stosunków władzy. Już na pierwszy rzut oka widać, że

założenie to bezpośrednio nawiązuje do marksistowskiej dialektyki.

Walka płci zamiast walki klas?

Dokładnie. Dlaczego to jest groźne? Zgodnie z tą perspektywą przemoc ma mieć charakter strukturalny, ma być wynikiem tego, jak zbudowane jest nasze społeczeństwo.

W „tradycyjnym” społeczeństwie kobieta jest bita, bo jest kobietą, a mężczyzna bije, bo jest mężczyzną?

Tak. Według ideologów gender mężczyzna bije, bo jest w uprzywilejowanej pozycji, ma władzę, a kobieta to ofiara systemu patriarchalnego. Według tej konwencji, aby zwalczać przemoc wobec kobiet, nie należy zwalczać patologii życia społecznego, tylko przemodelować całą strukturę społeczeństwa. Widać to bardzo dobrze na podstawie dwóch artykułów konwencji: 12 i 14. Pierw-

szy nakazuje wykorzenianie „tradycji, zwyczajów i stereotypów” dotyczących ról męskich i żeńskich. Drugi nakazuje włączyć perspektywę genderową do programów nauczania. Dzieci już od najmłodszych lat mają być przekonywane, że nie ma czegoś takiego jak obiektywne cechy męskie i żeńskie.

W Polsce jednak nic takiego nie jest realizowane w programie nauczania. Może więc ta konwencja nie ma takiego przełożenia na naszą rzeczywistość?

Pojawia się taki argument, jakoby konwencję można byłoby stosować, omijając zideologizowane przepisy. To nieprawda. Konwencja przewiduje, że takie kwestie nie mogą być pomijane. Państwa, które ratyfikowały ten dokument, zobowiązały się, że będą wdrażały wszystko to, co stanowi „rdzeń” konwencji. O tym, że konwencji nie da się stosować bez inkorporowania jej ideologicznej wizji przemocy, jednoznacznie wypowiadał się również organ monitorujący jej wykonywanie – GREVIO.

Jakie przełożenie ma konwencja na kwestię „małżeństw” jednopłciowych?

Samo założenie, że płeć wynika z subiektywnego odczucia, prowadzi do tego, iż ochrona tożsamości małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny staje się trudniejsza. Jak bowiem chronić tę tożsamość, gdy w zasadzie nie wiadomo, czym jest kobiecość i męskość, a wręcz dopuszcza się możliwość dowolnego jej określania w zależności od subiektywnych odczuć danej osoby? Pogląd o zagrożeniu płynącym z przyjęcia definicji gender dla tożsamości małżeństwa wyrazili m.in. Bułgarzy. Oczywiście nikt w konwencji wprost nie wymaga legalizacji tzw. małżeństw jednopłciowych, ale wprowadzenie chaosu w sprawie definicji płci powoduje, że kryterium kobiecości i męskości przestaje być jasne, a co za tym idzie – jasne przestaje być to, kto uważany jest przez prawo za męża, a kto za żonę. Konwencja uchyla tym samym niebezpieczną furtkę.

Jak diagnozy przedstawione w konwencji przekładają się na skuteczność zwalczania problemu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej?

Ideologiczne założenia konwencji mają swoje konsekwencje, jeżeli chodzi o skuteczność tego dokumentu. Liczne badania wskazują, że perspektywa przyjęta w konwencji nie przyczynia się

do zwalczania przemocy wobec kobiet. Wydawałoby się, że dokument dotyczący przemocy domowej powinien odnosić się do wpływu patologii życia codziennego na występowanie zjawisk przemocowych...

Ze wszystkich poważnych badań wynika, że głównym winowajcą jest alkohol.

Tymczasem w całym tym dokumencie ani razu nie pada słowo „alkohol”. Nie ma tam też żadnych odniesień do innych uzależnień, np. do narkotyków. Nie ma też mowy o rozpadzie rodziny, atomizacji, co przyczynia się do zwiększenia zjawisk przemocowych.

Kwestia pornografii również nie jest poruszona w tym dokumencie. Problemem w pornografii jest nie tylko uprzedmiotowienie kobiety, lecz także to, że pornografia często pełna jest przemocy. Badania pokazują, że młodzież, szczególnie chłopcy, coraz częściej i coraz wcześniej sięga po treści pornograficzne.

Wbrew temu, co mówi druga strona, konwencja jest więc dokumentem o wątpliwej skuteczności, ponieważ wadliwie definiuje źródła przemocy. Genderowa perspektywa walki z przemocą jest po prostu nieskuteczna i wiemy to m.in. z badań Agencji Praw Podstawowych UE z 2014 r.

Ma pani na myśli tzw. nordycki paradoks?

Tak. Zjawisko przemocy wobec kobiet jest w krajach nordyckich na bardzo wysokim poziomie. Z badań tych wynika, że aż 52 proc. mieszkanki Danii padło ofiarą przemocy ze strony partnera (w przypadku Finlandii i Szwecji jest to odpowiednio 47 proc. i 46 proc.). W rzeczywistości to jednak nie jest żaden paradoks. Jeżeli bowiem przyjmujemy perspektywę genderową, według której kobiety i mężczyźni toczą ze sobą odwieczną wojnę, to samo to założenie wprowadza między płcie wrogość. Dużą rolę odgrywają tu także różnice kulturowe. Tam, gdzie więzi rodzinne są wciąż relatywnie silne – jest tak głównie w państwach katolickich – odsetek przemocy jest niski. Według wspomnianych badań Agencji Praw Podstawowych UE w Polsce stwierdzono w 2014 r., gdy konwencja stambulska wchodziła w życie, najmniejszy odsetek przemocy wobec kobiet – 19 proc. Na ten argument zwolennicy genderowej perspektywy walki z przemocą nie potrafiają jednak odpowiedzieć w poważny sposób.

Instytut Ordo Iuris przekazuje też, że treść konwencji stoi w sprzeczności z polską konstytucją. Które przepisy są najbardziej kontrowersyjne w tym kontekście?

Przede wszystkim jest to wprowadzenie do polskiego porządku prawnego definicji „gender” – płci społeczno-kulturowej. Na marginesie warto zaznaczyć, że już samo oficjalne tłumaczenie konwencji na język polski budzi zasadnicze wątpliwości. Z niejśnych przyczyn przetłumaczono w nim – wbrew intencjom samych autorów konwencji – pojęcie „gender” jako „płeć”. Jest to mocno zastanawiające, skoro „gender” i „płeć” to kompletnie różne pojęcia. Takie tłumaczenie wprowadza czytelnika w błąd.

Polscy parlamentarzyści głosowali za ratyfikacją ten konwencji, właśnie opierając się na tym tłumaczeniu.

I w związku z tym rodzi się pytanie, czy procedura ratyfikacyjna była przeprowadzona poprawnie. Gender wprowadza niepewność w najbardziej podstawowej dla porządku prawnego sprawie – co tak naprawdę oznacza płeć? Jak w takim razie mamy formułować politykę wobec kobiet i mężczyzn?

Pojęcie to jest sprzeczne z artykułem 18 polskiej konstytucji, która chroni małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Konwencja uderza też wprost w instytucję rodziny, skoro naturalne struktury społeczne postrzegane są jako źródło dyskryminacji. Rodzina, podstawowa komórka społeczna, jest w świetle tego dokumentu zagrożeniem jako miejsce, gdzie w pierwszej kolejności utrzymywany jest podział ról na kobiece i męskie.

Kolejnym ewidentnie niezgodnym z polską konstytucją punktem jest przepis, który mówi o obowiązku nauczania o „niestereotypowych rolach płciowych”. Jest to sprzeczne z zawartym w konstytucji prawem rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnym systemem wartości.

Wreszcie samo wprowadzenie do polskiego systemu prawnego ideologicznych pojęć i wizji walki z przemocą jest całkowicie niezgodne z zasadą neutralności światopoglądowej państwa. Wątpliwości konstytucyjnych jest tu znacznie więcej. Trybunał Konstytucyjny nie powinien mieć większych wątpliwości – konwencja stambulska jest jawnie sprzeczna z polską konstytucją.



Marek Grabowski

Przemoc domowa często związana jest z alkoholem i narkotykami. Żeby ograniczać zjawisko, trzeba się skupić na używkach i na przemyśle pornograficznym, a nie na rozbijaniu wzorca rodziny

Współczesne definicje opisują przemoc bardzo szeroko. Jedną z nich widzi ją jako „intencjonalne działanie lub zaniechanie działania jednej osoby wobec drugiej, które wykorzystując przewagę sił, narusza prawa i dobra osobiste jednostki, powodując cierpienia i szkody”. W myśl takiej definicji pewnie większość z nas doświadczyła i doświadcza przemocy z tytułu nierównowagi sił w miejscu pracy, relacjach towarzyskich czy rodzinnych.

Bardziej klasyczne definicje odnoszą się do użycia siły fizycznej dla zranienia, nadużycia, uszkodzenia lub zniszczenia.

W koncepcji Maxa Webera monopol na przemoc posiada państwo. To ono i tylko ono dysponuje środkami kontroli nad używaniem siły oraz wymuszaniem porządku przez siłę.

Badania naukowe wykazały istnienie związku między narażeniem na oglądanie scen przemocy w środkach masowego przekazu a różnymi problemami z zakresu zdrowia fizycznego i psychicznego dzieci oraz młodzieży, w tym z zachowaniami agresywnymi i brutalnymi, zastraszaniem, brakiem wrażliwości na przejawy przemocy, ze strachem, z depresją, kosztownymi sennymi oraz zaburzeniami snu.

Przemocy doświadczamy, zapoznając się z materiałami informacyjnymi, oglądając programy rozrywkowe, media społecznościowe. Przemoc sący się nie tylko z mediów głównego nurtu, lecz także z potężnego pornobiznesu. Jak zauważa stowarzyszenie Twoja Sprawa, „pornografia brutalizuje się”.

W dobie upowszechniania czy wręcz banalizacji przemocy każdy z nas szuka miejsc, które byłyby od niej wolne. Taką naturalną przestrzenią jest dom rodzinny. To w nim chcemy czuć się bezpiecznie, budować relacje rozwijające naszą osobowość, chroniące naszą intymność, dające

wytnienie w natłoku nieraz wrogich zdarzeń ze świata zewnętrznego.

Niestety, dom również bywa miejscem, w którym nie czujemy się bezpiecznie, a nawet w którym doświadczamy przemocy. Psychicznej oraz fizycznej.

W tym miejscu zdecydowana większość z nas podpisze się pod tym, że przemoc domową należy ograniczać i zwalczać. Możemy zadać sobie pytania o to, jakie są przyczyny przemocy oraz jak ją zwalczać. I tutaj pojawia się znacząca różnica zdań.

Konwencja stambulska wychodzi z założenia, że już sam fakt bycia kobietą przyczynia się do bycia ofiarą, a każdy mężczyzna to potencjalny agresor. Taka perspektywa wprost gryzie się ze zdroworozsądkową obserwacją i narzuca pytanie o faktyczne przyczyny przemocy pojawiającej się w niektórych polskich domach.

PRAWDZIWE PRZYZCZYNY

Kim są sprawcy i dlaczego dopuszczają się przemocy? Jak pokazują dane zachodnie, sprawcy mogą odczuwać potrzebę kontrolowania swojego partnera z powodu niskiej samooceny, skrajnej zazdrości, trudności w regulowaniu gniewu i innych silnych emocji lub gdy czują się gorsi od drugiego partnera pod względem wykształcenia i pochodzenia społeczno-ekonomicznego.

Inni mogą mieć niezdiagnozowane zaburzenie osobowości lub zaburzenie

psychiczne. Jeszcze inni mogli nauczyć się tego zachowania, dorastając w domu, w którym przemoc domowa była akceptowana jako normalny element wychowania w rodzinie.

Dominacja partnera może przybrać formę przemocy emocjonalnej, fizycznej lub seksualnej. Badania sugerują, że agresywne zachowania często są spowodowane interakcją czynników sytuacyjnych i indywidualnych. Oznacza to, że sprawcy, dorastając, uczą się brutalnych zachowań od ludzi ze swojej społeczności, rodziny i z innych wpływów kulturowych. Mogli często widzieć przemoc lub sami byli ofiarami. Niektórzy sprawcy przyznają, że gdy dorastali, sami byli maltretowani.

Alkohol i narkotyki mogą przyczyniać się do agresywnych zachowań. Osoba pijana lub pod wpływem narkotyków lub dopalaczy będzie miała mniejsze szanse na kontrolowanie swoich gwałtownych zachowań w stosunku do partnera. Ograniczenie konsumpcji alkoholu i środków psychoaktywnych jest kluczowe dla ograniczania przemocy domowej.

Daniel Brookof, analizując zjawisko przemocy domowej, wskazuje, że alkohol jest najsilniejszym czynnikiem wpływającym na męską przemoc domową wobec kobiet. Co więcej, alkohol pojawia się również jako sposób radzenia sobie przez kobiety z traumą przemocy domowej.



Przemoc w rodzinie – fakty i mity



FOT. ADRIEN STOCK

wpływem alkoholu. Polskie statystyki nie podają informacji o osobach pod wpływem narkotyków lub dopalaczy, lecz można przypuszczać, że brak danych nie oznacza, iż sprawcy nie są również „na haju”.

Tymczasem konwencja stambulska w żadnym stopniu nie odnosi się do tak oczywistego czynnika ryzyka, jakim jest alkohol, a źródła przemocy upatruje w kulturze i religii. Co więcej, w art. 12 zadeklarowano: „Strony podejmą działania niezbędne do promowania zmian wzorców społecznych i kulturowych dotyczących zachowania kobiet i mężczyzn”. Punkt ten stanowi olbrzymie pole do nadużyć i tworzenia programów mających na celu wykreowanie nowego człowieka pozbawionego wszelkiej tożsamości płciowej.

Już obecnie w polskim dyskursie polityczno-społecznym obserwujemy nie tylko kwestionowanie macierzyństwa czy ojcostwa, lecz także manipulację płciowością, płeć deklaratywną czy konstrukt osób niebinarnych lub interpłciowych mogących w zależności od potrzeb, chwili, nastroju i swojego widzimisię opisywać się i żądać od otoczenia nazywania kobietami, mężczyznami lub którąś z kilkudziesięciu innych „płci”.

Na konwencję stambulską trzeba patrzeć szerzej. Jest ona produktem mającym na celu nie tyle walkę z patologią, ile walkę z naturalnym pojmowaniem bycia kobietą i mężczyzną, niszczeniem prawdziwej kobiecości i męskości.

– W Polsce jest wyższy poziom ochrony kobiet niż zawarty w konwencji, która ma drugą część, która dotyczy ideologii, która uderza w interesy kobiet i interesy rodziny – wskazywał minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro na konferencji 27 lipca 2020 r. – Ideologia ta sprowadza rolę płci nie do płci biologicznej, ale do zaprzeczenia znanej od zawsze klasyfikacji dzielącej mężczyzn i kobiety. Sprowadza ją do płci kulturowej. Ideologii, która kwestionuje rodzinę, małżeństwo, kulturę, religię, upatrując w tych instytucjach główną przyczynę przemocy i patologii. To jest oczywista nieprawda i zbiór postulatów, który jeśli zostałyby realizowane, to przyczyniłby się do wzrostu patologii, wzrostu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – oceniał. I dodawał, że niektóre zapisy konwencji są sprzeczne z polską konstytucją.

Warto zaznaczyć, że w grudniu wchodzi w życie ustawa antyprzemocowa. Zapewni ona jedną z najlepszych form ochrony ofiar przed sprawcami przemocy w Europie.

Sprawcy przemocy domowej będą natychmiast izolowani od ofiar.

JAK OGRANICZAĆ PRZEMOC?

Konwencja stambulska nie stanowi remedium na przemoc. Jej prawdziwym celem jest dalsze wdrażanie neomarksistowskiej wizji społeczeństwa, w którym nie ma prawdziwych kobiet ani mężczyzn. Polska wprowadza bardzo mocną ochronę kobiet przed przemocą domową. Na jej efekty trzeba będzie poczekać od roku do dwóch lat.

A co można zrobić? Przede wszystkim ograniczyć podaż i promocję alkoholu. To alkohol i alkoholizm są głównymi czynnikami odpowiedzialnymi za bardzo wiele negatywnych zjawisk społecznych, w tym za przemoc domową.

Być może warto wzorem krajów nadbałtyckich (Litwa, Łotwa, Estonia) ograniczyć jego sprzedaż od godz. 19 lub 20. Warto zwrócić uwagę, że wprowadzenie tych rozwiązań u naszych sąsiadów ograniczyło zjawisko przemocy domowej.

Polska jest jednym z nielicznych krajów, w których alkohol dostępny jest wszędzie i non stop. Przemodelowanie wzorów konsumpcji, ale i podaży alkoholu jest czynnikiem kluczowym dla ograniczenia bardzo negatywnego społecznie zjawiska, jakim jest przemoc domowa. Zjawiska, które infekuje całe rodziny i otoczenie.

Konieczne jest ograniczenie seksualizacji kobiet poprzez limitowany dostęp do pornografii. Wizerunek kobiety, rozpowszechniany przez pornobiznes, jako obiektu przemocowej zabawy musi raz na zawsze zniknąć z przestrzeni publicznej. Warto też zwiększyć czułość mediów, nie tylko mediów publicznych, na akty przemocy emitowane w programach telewizyjnych i mediach społecznościowych.

Przemoc domowa niszczy życie jednostek, domowników i dzieci. Bez odważnych decyzji dotyczących ograniczenia podaży alkoholu, przekazów medialnych czy limitowania pornografii nie wygramy walki z tą przestępczą patologią. Same działania Ministerstwa Sprawiedliwości bez zmiany otaczającej nas proprzemocowej kultury mogą okazać się niewystarczające.

Musimy przestać się bać silnych lobby i walczyć o polskie kobiety. Jestem przekonany, że tak jak u naszych dzielnych, nadbałtyckich sąsiadów ta walka jest możliwa do wygrania. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest prezesem Fundacji Mamry i Taty, właścicielem Pracowni Badawczej Social Changes, wiceprzewodniczącym Rady Rodziny.

Badania amerykańskie jasno wskazują na uzależnienia jako źródło przemocy domowej. J. Collins w swoim raporcie stwierdza, iż „ofiary i członkowie rodzin deklarują, że 92 proc. napastników użyło narkotyków lub alkoholu w dniu napadu. Poinformowali również, że 67 proc. napastników zażywało połączenie kokainy i alkoholu, co skutkowało wzmożoną intoksykacją. Prawie połowa wszystkich napastników została opisana przez członków rodziny jako zażywająca narkotyki, alkohol lub jedno i drugie, odurzając się codziennie przez ostatni miesiąc. Oznacza to permanentny ciąg alkoholowo-narkotykowy. Co więcej, 9 proc. napastników albo było w trakcie leczenia, albo było wcześniej leczonych z powodu nadużywania substancji odurzających, co pokazuje, jak głębokie konsekwencje ma długotrwałe używanie alkoholu i narkotyków na zachowanie społeczne, w tym przemoc domową. 42 proc. ofiar przyznawało, że w momencie napaści było pod wpływem alkoholu lub narkotyków”.

Jak na tym tle wypadają polskie statystyki? Interwencje policji związane z przemocą domową stanowią 12 proc. wszystkich interwencji policyjnych prowadzonych w domach. Liczba osób podejrzanych o stosowanie przemocy domowej wynosi ok. 75 tys. Przeglądając wieloletnie dane, można stwierdzić, że blisko 70 proc. sprawców przemocy znajdowało się pod



Z ks. prof. Piotrem Roszakiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Czy katolicyzm zagraża kobietom?

TOMASZ D. KOLANEK: Pozwolę sobie zacząć naszą rozmowę od prowokacji. W jaki sposób religia katolicka zezwala na bicie i poniżanie kobiet? W którym miejscu w Piśmie Świętym znajduje się cytata, na który katolik może się powoływać – pobił żonę, bo wiara w Chrystusa mu na to zezwala?

KS. PIOTR ROSZAK: Pyta pan poważnie?

Jak najbardziej, księże profesorze. Za chwilę wyjaśnię, skąd ta prowokacja.

Dobrze więc. W Piśmie Świętym nie ma fragmentów, na które mogliby się powoływać „damscy bokserzy”. W chrześcijaństwie dominuje przykazanie miłości Boga oraz bliźniego i wszystko skupia się na tym, aby tę dobroć Boga, jakiej doświadczała chrześcijaństwo, przekazywać innym. To klucz do rozumienia całego chrześcijaństwa.

Wskazywali na to męczennicy, święci Kościoła katolickiego. Wszystkie przekazy społeczne, które zrodziło chrześcijaństwo, szły w stronę odchodzenia od przemocy i od tego, co drugiego człowieka zniewala.

Każdy, kto sięgnie po Pismo Święte i przeczyta jego pierwsze zdania, zauważy, że kobieta i mężczyzna zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Nie jest

powiedziane, że mężczyzna jest bardziej podobny do Boga niż kobieta! Biblia zwraca uwagę na komplementarność obu płci, które wspólnie wyrażają obraz i podobieństwo do Boga.

Idźmy dalej. Pierwsze zdanie człowieka – mężczyzny, które zostaje wypowiedziane na kartach Pisma Świętego w Księdze Rodzaju, to okrzyk radości na widok kobiety: „Ta dopiero jest kością z mojej kości”.

Najważniejsze wydarzenia z historii zbawienia związane są ze zgodą Najświętszej Maryi Panny na przyjęcie Chrystusa na świat. Powiem więcej: gdyby nie słowo Maryi, która odważnie podjęła się tego, co zwiastował jej Archanioł Gabriel, nie byłoby Nowego Przymierza ani odkupienia grzechów świata przez śmierć Pana Jezusa na krzyżu. To nie był udawany czy ustawiany dialog, ale realne spotkanie dwóch wolności.

Z kolei ostatnia wzmianka o kobiecie w Biblii to fragment mówiący o zwycięstwie Niewiasty obleczonej w Słońce nad szatanem.

Od radości przez współcierpienie z Chrystusem do zwycięstwa – taki jest obraz kobiety w Piśmie Świętym.

W związku z powyższym jestem bardzo ciekaw, skąd pana pytanie.

Pani Marta Lempart, feministka z Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, w jednej z wypowiedzi telewizyjnych stwierdziła, że dzięki temu, iż w Polsce obowiązuje konwencja stambulska, mężczyzna nie może powiedzieć do kobiety: „Ty śmieciu”, powołując się na religię, w domyśle, katolicką...

Tego typu twierdzenia to zwykłe zakłamywanie rzeczywistości. W mojej ocenie jest to tylko element dużo większej, zaplanowanej akcji, która ma na celu pokazać chrześcijaństwo od jakiejś mrocznej, diabelskiej strony, aby maksymalnie je wykrzywić, a nawet obrzydzić.

Od pewnego czasu obserwujemy tendencję, żeby zjawisko przemocy w domu, przemocy w rodzinie sprowadzać do jednego – że jest to wina religii, a zwłaszcza chrześcijańskiej. To absolutna bzdura i przyznam szczerze, że bardzo mocno razi mnie takie stawianie sprawy. Można śmiało powiedzieć, że podany przez pana przykład jak najgorzej świadczy o autorach konwencji stambulskiej i obrońcach tego dokumentu, bo albo są oni ignorantami, którzy nie znają chrześcijaństwa i opie-

rają się na stereotypach, albo po prostu wrogami Kościoła i dlatego celowo lansują jakiś wypaczony obraz chrześcijan.

Powiedzieć, napisać ogólniki niemające w dodatku niczego wspólnego z rzeczywistością jest bardzo łatwo. Takie sprowadzanie wszystkiego do jednej jedynej przyczyny jest może nawet modne, ale mało wyjaśnia. A przecież wystarczy przeanalizować badania socjologiczne, żeby zobaczyć, iż wiara w Chrystusa – mam tutaj na myśli tych, którzy wierzą serio – przyczynia się do większej wrażliwości i troski o drugiego człowieka. Ludzie religijni są bardziej podatni na niesienie pomocy i dostrzegają wartość każdego ludzkiego życia. Właśnie dlatego bronią go od poczęcia do naturalnej śmierci i nie traktują drugiego człowieka w sposób instrumentalny. Potwierdza to też historia, w której chrześcijanie wprowadzali do brutalnych kultur starożytnych element nowej wrażliwości na życie każdego człowieka – ograniczając i eliminując krwawe praktyki społeczne.

Tylko po co, księżo profesorze? Dlaczego konwencja stambulska jest wykorzystywana do walki z chrześcijaństwem? Po co sugeruje się, że wiara w Chrystusa jest równoznaczna z przemocą wobec kobiet, poniżaniem ich etc.?

Być może dlatego, że mamy po prostu do czynienia z antychrześcijańską ideologią, z antychrześcijańskim uprzedzeniem. Kościół po prostu przeszkadza rewolucjonistom w totalnym przeoraniu świata. Atakowanie chrześcijan ma nas zmiękczyć i przestraszyć. Mamy czuć się ludźmi gorszej kategorii, dla których jedynym ratunkiem może być porzucenie Chrystusa i Kościoła.

Takie sygnały przecież nie płyną do wyznawców Chrystusa tylko ze strony radykalnych obrońców dokumentu, o którym rozmawiamy, tylko z wielu kierunków. Nie możemy jednak jedynie oburzać się i lamentować, że wrogowie Kościoła opowiadają bzdury i kłamstwa na nasz temat.

Jakkolwiek to zabrzmiało, w mojej ocenie chrześcijanie stoją teraz przed wielką szansą, aby wyjść z podziemia i pokazać dobro płynące z naszej wiary. Jeśli to my nie pokażemy ogromu wartości, jakie niesie w sobie chrześcijaństwo, to dalej będziemy skazani na kłamstwa i oszczerstwa. Pamiętajmy: moc w słabości się doskonali! Przekujemy zagrożenia na szanse. To trochę tak jak z rzeką, która osłabła, bo wiele gałęzi i niesionych przedmiotów

zatamowało jej nurt – rozwiązaniem, które może pomóc, jest pogłębienie koryta. Nie obrażanie się na kulturę, ale jej pogłębienie. To nasze zadanie. Święty Paweł zachęcał: błogosławcie, a nie złorzeczcie. To znaczy cierpliwie tłumaczcie i umacniajcie własną wiarę. Może wiek XXI to nie tyle czas męczenników, ile wyznawców?

Zgadzam się z księdzem profesorem, ale mimo wszystko boję się, że wojna z Kościołem i chrześcijaństwem wchodzi w decydującą fazę. Na Zachodzie bardzo często pojęcie grzechu jest rozumiane jako „złamanie prawa” i jednocześnie skazanie przez sąd. W Polsce zawrotną karierę robi w ostatnim czasie słowo „praworządność”. Lewica głosi, że aborcja i eutanazja to „podstawowe prawa człowieka”. Czy w związku z tym można powiedzieć, że antychrześcijańska rewolucja wchodzi na wyższy poziom, a prawo ludzkie wypiera ze świadomości społecznej Prawo Boże?

Niezależnie od tego, ile razy i przez jakie przypadki odmienimy słowo „praworządność”, nic nie stanie się bardziej praworządne. Więcej można zyskać, próbując zrozumieć istotę danego zjawiska czy terminu. Tego właśnie brakuje w przedstawionych przez pana działaniach, które wpisują się w rewolucję obyczajową i kulturową.

Ataki na chrześcijan trwają nieprzerwanie od 2000 lat. My, Polacy, przeżyliśmy ich setki, zwłaszcza w ostatnich 200 latach. Kulturkampf, rusyfikacja, pierwsza i druga wojna światowa, komunizm etc. Byliśmy jednak wierni Ewangelii oraz Chrystusowi i pokazaliśmy, że nie zgadzamy się na żadną rewolucję. To my, jak widać, dużo lepiej niż inni wiemy, że ideologie próbujące stworzyć świat bez Boga i Dekalogu są ułudą i czymś nierealnym.

Żyjemy w takich czasach, że części z nas na pewno wydaje się, iż w sumie nic groźnego się nie dzieje, że mamy do czynienia z normalnymi zmianami kulturowymi, które były już wcześniej w świecie. Zwróćmy jednak uwagę na to, co w wierszu „Potwór Pana Cogito” napisał Zbigniew Herbert:

*rozumni mówią
że można współżyć
z potworem
należy tylko unikać
gwaltownych ruchów
gwaltownej mowy
w przypadku zagrożenia
przyjąć formę
kamienia albo liścia
słuchać mądrzej Natury*

*która zaleca mimetyzm
oddychać płytko
udawać że nas nie ma.*

Zbigniew Herbert podpowiada nam, że dowodem na istnienie potwora nie jest to, że go widać, tylko to, że są jego ofiary. My również powoli, ale systematycznie zaczynamy dostrzegać ofiary ideologicznego wzmocnienia ostatnich lat, które ostatecznie – tak jak każda antychrześcijańska ideologia – jest skierowane przeciwko Bogu i przeciwko życiu. To wszystko, o czym mówimy, układa się w konkretny ciąg. To wielka akcja zmiany kulturowej i mentalnościowej, którą w ostatnich latach próbuje się na siłę przymusowo wprowadzić. Konwencja stambulska jest tylko jednym, ale bardzo ważnym elementem całej tej układanki.

Nie jest to wojna wypowiedziana chrześcijanom wprost, tylko raczej wojna o charakterze hybrydowym, w której próbuje się podstawić pod to, co wszystkim kojarzyło się jako coś dobrego, treści, które pod płaszczykiem pięknych haseł niosą śmierć i spustoszenie moralne.

Ksiądz profesor Dariusz Oko i ksiądz profesor Paweł Bortkiewicz nieraz podkreślali, że celem jest de facto próba stworzenia nowego człowieka poprzez jego autodestrukcję. Temu ma służyć m.in. konwencja stambulska. Czy zgodzi się ksiądz z taką oceną?

Tak. Powiem więcej: to wszystko dokonuje się w czasach, które mówią o niemal totalnej wolności. Niby człowiek ma sam stanowić o tym, kim chce być, ale ma to robić według określonego wzorca. Jeśli sprzeciwi się temu wzorcowi, to nie ma dla niego miejsca w danej kulturze ani cywilizacji.

Do czego to doprowadzi? Czas pokaże. Naszym zadaniem jest dostrzeganie destrukcyjnych tendencji i stawianie duchowego oporu, polegającego na wierności prawdzie i dobru, Ewangelii. W przeciwnym razie czekają nas totalny chaos i kultura obciętych kwiatów, szybkie usychających bez korzeni. Cieszą oczy jedynie przez chwilę. Dlatego nie warto zgadzać się na sztuczne idee. Dla chrześcijanina punktem odniesienia powinien być Chrystus, którego nauka jest zawsze nowoczesna, z której płynie dobro i piękno. Nauka, na której zbudowano świat, który znamy. Jeśli Chrystus z nami, któż przeciwko nam?!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

Zwolennicy konwencji stambulskiej przekonują, że ten dokument to cywilizacyjny standard. Tymczasem nie ratyfikowało jej wiele krajów, m.in. Słowacja, Bułgaria, Węgry, a nawet Liechtenstein i Wielka Brytania

Zapowiedź minister pracy i polityki społecznej Martyny Małag o tym, że rząd przygotowuje się do wypowiedzenia konwencji stambulskiej, wzbudziła protesty w gronie feministycznych aktywistek, które wcześniej mocno zabiegały o przyjęcie przez Polskę tego dokumentu.

Feministyczne aktywistki m.in. ze Strajku Kobiet, grupy Dziewuchy Dziewuchom czy Wielkiej Koalicji za Wolnością i Wyborem zorganizowały protesty. W Warszawie piketowały przed siedzibą Stowarzyszenia Ordo Iuris, które wraz z Chrześcijańskim Kongresem Społecznym zbiera podpisy pod projektem „Tak dla rodziny, nie dla gender” zakładającym wypowiedzenie konwencji stambulskiej. – Jestem nie tylko Polką, lecz także Europejką. Nie zgadzam się, żeby polski rząd wypisywał Polskę z europejskiej wspólnoty. Wypowiedzenie konwencji antyprzemocowej będzie takim krokiem – argumentowała podczas wiecu Magdalena Staroszczyk, warszawska aktywistka grupy Dziewuchy Dziewuchom.

Po taką argumentację feministyczne aktywistki sięgają nie po raz pierwszy. Zarówno przed ratyfikacją, jak i teraz podnoszą, że sytuacja, w której nie jesteśmy stroną tej konwencji, jest jednoznaczna z wykluczeniem Polski z grona krajów cywilizacji zachodniej, jest krokiem w stronę mającej poważne problemy z przestrzeganiem praw człowieka Rosji.

– Taka argumentacja to emocjonalny szantaż i rodzaj wytrycha, którego te środowiska używają, mówiąc o konwencji – uważa Lidia Sankowska-Grabczuk, rzeczniczka inicjatywy „Tak dla rodziny, nie dla gender”. – To raczej ratyfikacja stawia nas w sprzeczności do zasad naszej cywilizacji. To, w czym konwencja upatruje przyczyny przemocy, czyli gender based

Inne kraje wobec konwencji stambulskiej

violence, przemocy ze względu na płeć, nie ma potwierdzenia nawet w dokumentach WHO, która jako główne przyczyny przemocy wobec kobiet wskazuje alkoholizm, rozpad więzi rodzinnych, seksualizację wizerunku kobiet i nastolatek w przestrzeni publicznej. Fakt, że wiele państw zachodnich ratyfikowało tę konwencję, nie powinien być dla nas żadnym argumentem za tym, by pozostać jej stroną. Zwłaszcza że to właśnie te kraje mają zdecydowanie większy problem z przemocą wobec kobiet niż Polska – twierdzi Lidia Sankowska-Grabczuk. Wskazuje także na wiele krajów naszego regionu, które nie zdecydowały się na ratyfikację konwencji, a Polska po jej wypowiedzeniu mogłaby być jednym z liderów śródoeuropejskiej koalicji na rzecz ochrony praw rodziny.

BUŁGARIA: NAWET LEWICA NIE BYŁA „ZA”

W marcu tego roku prezydent Słowacji Zuzana Čaputová poinformowała Radę Europy, że jej kraj nie ratyfikuje konwencji stambulskiej. Chociaż sama Zuzana Čaputová była zwolenniczką dokumentu, to przyjęła decyzję słowackiego parlamentu, który 25 lutego zdecydował o jego odrzuceniu. Podczas debaty słowaccy parlamentarzyści zwracali m.in. uwagę na to, że dokument Rady Narodowej stoi w sprzeczności ze słowacką konstytucją, wedle której małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Przedstawiciele słowackiej organizacji rodzinnej Slovenský dohovor za rodinu, która organizowała wiece przed budynkiem parlamentu i przekonywała posłów do odrzucenia konwencji, zwracali uwagę, że dokument nie tylko zawiera sprzeczną ze słowacką konstytucją definicję małżeństwa, lecz także jego ideologiczny charakter ogranicza prawo do wychowywania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami.

Innym krajem, który podpisał konwencję stambulską, ale jej nie ratyfikował, jest Bułgaria. W lipcu 2018 r. bułgarski trybunał konstytucyjny orzekł, że międzynarodowy dokument jest niezgodny z bułgarską konstytucją. Zanim jednak doszło do skierowania konwencji do TK, przez Bułgarię przetoczyła się burza. Rozpętał ją bułgarski premier Bojko Borisow, który ratyfikację konwencji zapowiedział w Parlamencie Europejskim. Napotkał gwałtowny sprzeciw ze strony własnego koalicjanta (partii Zjednoczeni Patriotci),



FOT. AUBREY STOK

Ocenili, że konwencja zaciera różnice między płciami, a jej treść wychodzi poza deklarowane przez nią cele i nadany tytuł. „Termin »płeć« występuje w Konwencji jako odrębna kategoria od płci jako bytu biologicznego. Konwencja oddziela biologiczne i społeczne wymiary płci i wykracza poza pogląd na seksualną binarność gatunku ludzkiego” – orzekli sędziowie, uznając, że wymagania związane z konwencją zmusiłyby Bułgarię do stworzenia procedur gwarantujących prawne uznanie płci różnej od biologicznej, co jest sprzeczne z konstytucją tego kraju.

ŁOTYSZE CZEKAJĄ NA ORZECZENIE TK

Konwencji dotychczas nie ratyfikowały dwa spośród krajów bałtyckich – Litwa i Łotwa. Na Litwie prezydent Lidia Grybauskaitė przedłożyła parlamentowi wniosek o ratyfikację konwencji w czerwcu 2018 r. Parlament zagłosował jednak przeciw włączeniu tego punktu do porządku obrad. Większość parlamentarna uznała dokument za kontrowersyjny, podnosiła, że problem stanowi m.in. to, iż pierwszoplanowym terminem w tej konwencji jest „gender” definiowany za art. 3 c jako „społecznie skonstruowane role, zachowania, działania i atrybuty, które dane społeczeństwo uznaje za odpowiednie dla kobiet lub mężczyzn”. Wobec braku politycznego poparcia dla konwencji (jej ratyfikacji dopominają się jedynie socjaliści i liberałowie) proces zawieszono.

Na Łotwie w sprawie konwencji stambulskiej wypowie się trybunał konstytucyjny. W sierpniu tego roku z takim wnioskiem do TK zwróciła się część deputowanych do łotewskiego parlamentu. Kwestia ratyfikacji konwencji spotkała się na Łotwie z burzliwą dyskusją. Podobnie jak w innych krajach w debatach tych podnoszono, że za prawniczą terminologią konwencji kryją się sztucznie stworzone pojęcie płci społeczno-kulturowej i ideologiczna agenda. Ponieważ spór toczył się wokół tego, czy konwencja jest w ogóle zgodna z łotewską konstytucją, ostatecznie ma to rozstrzygnąć Trybunał Konstytucyjny. Rząd ma czas na złożenie wyjaśnień przed TK do 5 października.

W maju tego roku parlament Węgier przyjął deklarację polityczną, w której wzywa rząd do powstrzymania się od ratyfikacji Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej,

argumentując m.in., że nie chce do krajowego porządku prawnego wprowadzać pojęcia „gender”. Parlamentarzyści w swojej uchwale podkreślili także, że na Węgrzech obowiązuje już prawo służące zapewnieniu kobietom ochrony przed przemocą.

Konwencji dotychczas nie ratyfikowały także Czechy. Rada Rządowa ds. Równości Kobiet i Mężczyzn omawiała ratyfikację w lutym. Kwestia ta miała zostać poddana pod obrady parlamentu, ale zostało to odłożone. Nie ma jednak pewności, czy parlament zgodzi się na ratyfikację konwencji. Zorganizowane w czeskim parlamencie seminarium na ten temat pokazało, że deputowani są podzieleni.

Wśród krajów, które nie ratyfikowały konwencji, są również: Armenia, Mołdawia, Ukraina, a także Liechtenstein i Wielka Brytania.

POLSKA NA CHŁUBNYM KOŃCU

Polscy zwolennicy konwencji stambulskiej zwykli argumentować, że ten, kto opowiada się przeciwko temu dokumentowi, de facto opowiada się za przemocą wobec kobiet. – Takie argumenty to wspomniany wytrych i kłamstwo. Owszem, konwencja stambulska pośród całej rzeszy genderowych zapisów zawiera też niektóre z tych, które mają chronić kobiety przed realną przemocą, ale takie regulacje mamy już w naszym Kodeksie karnym – mówi Lidia Sankowska-Grabczuk. Dodaje, że w kwestii konwencji stambulskiej nie musimy ślepo podążać za zachodnią Europą. – Zwłaszcza że badania pokazują, iż to właśnie w państwach zachodnich, a w szczególności w Skandynawii, gdzie ideologię gender, na której opiera się konwencja stambulska, wdraża się w różnych obszarach życia publicznego coraz bardziej od lat, jest największy problem z przemocą wobec kobiet. Z opartych na indywidualnych wywiadach badań Europejskiej Agencji Praw Podstawowych wynika, że pod względem przemocy wobec kobiet Polska jest na chlubnym końcu. Te statystyki wskazują również u nas na dużo wyższy odsetek zgłaszania przemocy przez kobiety, niż to się dzieje w wielu zachodnich państwach. Z kolei badania Eurostatu pokazują, że nawet luka płacowa między kobietami a mężczyznami jest u nas dużo mniejsza niż na Zachodzie.

Inżynieria płci

– człowieka – społeczeństwa



ks. prof. Paweł Bortkiewicz

Kontekst historyczny jest ważny, by zrozumieć pewną genezę odsłaniającą projekt konstrukcji nowego człowieka i nowego społeczeństwa. I by zrozumieć, że ten projekt jest dzisiaj z całą konsekwencją realizowany

Potrzeba [...], żeby najlepsi mężczyźni obcowali z najlepszymi kobietami jak najczęściej, a najgorsi z najgorszymi jak najrzadziej i potomków z tamtych trzeba chować, a z tych nie, jeżeli trzoda ma być pierwszej klasy. A o tym wszystkim nie ma wiedzieć nikt,

tylko sami rządzący. [...] Ilość małżeństw każemy regulować rządzącym, aby jak najbardziej zachowali stale tę samą ilość mężczyzn – to słowa Platona z jego „Państwa” (t. I, ks. V, VIII). Zdaniem greckiego myśliciela dzieci lepsze powinny być oddane do urzędu mamek, do ochronki,

a gorsze miały być porzucane lub zabijane. Jakkolwiek trwają dyskusje na temat interpretacji platońskich słów – na ile trzeba je odczytywać jako zapis projektu totalitarnego, na ile jest to ilustracja stanu rzeczy greckiej polis, nieprzystającej do wizji nowoczesnego państwa – można powiedzieć, że owe projekty przybrały jednoznacznie totalitarny charakter w XX w. W momencie, gdy różnymi środkami podjęto działania z zakresu inżynierii społecznej.

To jedna z ważnych tez stawianych przez autorów monografii „Gender. Projekt nowego człowieka?”. Gender stało się i jest narzędziem inżynierii społecznej. Monografię rozpoczynają konkretne ilustracje tej tezy. Artykuł Piotra Juskiewi-



ta, gdzie „Krasnyj ugoł – miejsce kontaktu z transcendencją, został zastąpiony krasnym ugołkiem, ideologicznym kąciakiem, oświetlonym zamiast świecami »lampą llicza«, czyli elektryczną żarówką” (s. 25). Rozplanowanie życia rozpoczęte od procesu umieszczania dzieci w osobnych strefach i budynkach w sposób zdumiewająco konsekwentny prowadziło do wyparcia transcendencji przez nowy kult i nową religię. Jerzy Kaczmarek, pisząc „Niemieckie komuny pokolenia '68. Eksperymenty z ludzką płciowością”, odsłania fundamentalnie ważny element w procesie inżynierii społecznej XX w. Być może najważniejszy. W całym procesie uwalniania od złej przeszłości szczególnie krytykowanym obiektem stała się rodzina. Dla komunistów niemieckich jawił się jako bezwzględnie oczywisty radykalny postulat zniszczenia rodziny przez kolektywne formy życia (dzisiaj określane jako „związki poliamoryczne”).

Narzędziem tego procesu destrukcji stało się tytułowe „eksperymentowanie z płciowością”. Eksperymentowanie właściwie nieograniczone, niewahające się przed czynami pedofilskimi, na dodatek ujawnianymi jako chwalebne i wręcz modelowe.

PREHISTORIA GENDER

Eksperymenty z płciowością, prowadzone w Rosji sowieckiej w latach 20. XX w. i w Niemczech ok. roku 1968, to swego rodzaju prehistoria gender. Nie sposób nie zauważyć, że ta prehistoria ma ścisłe proveniencje marksistowskie. Ale czyż może dziwić to, co było i jest marksistowską wiernością przesłaniu Fryderyka Engelsa: „Pierwsze przeciwieństwo klasowe, jakie występuje w historii, zbiega się z rozwojem antagonizmu między kobietą a mężczyzną w małżeństwie pojedynczej pary, a pierwszy ucisk klasowy – z uciskiem żeńskiej płci przez męską”? Ten kontekst historyczny jest niezbywalnie ważny, by zrozumieć pewną genezę odsłaniającą projekt konstrukcji nowego człowieka i nowego społeczeństwa. I by zrozumieć, że ten projekt jest dzisiaj z całą konsekwencją realizowany.

Realizacja tego projektu nabrała przyspieszenia. Można to dostrzec z całą wyrazistością, spoglądając na pięcioletnie sporządzone kalendarium wydarzeń naukowych i społecznych, które stanowiły o kolejnych etapach rozwoju ideologii gender i jej postępach w instytucjonalnym świecie nauki oraz w społeczeństwach

Zachodu. Zostało ono przygotowane przez Andrzeja Margasińskiego i Bognę Białecką.

Ukazuje pewien ciąg zdarzeń, zainicjowanych owym tekstem Engelsa, ale skupionych na wydarzeniach na wskroś współczesnych. Tym bardziej nie sposób nie dostrzec dynamiki zachodzących procesów, choćby od ogólnej konstatacji Engelsa do propozycji Jana Hartmana, postulującego w 2014 r. wszczęcie publicznej dyskusji na temat kazirodztwa.

Czytelnik wspomnianego kalendarium może odnieść wrażenie, że wkracza w świat akceleracji nieznanej dotychczas wiedzy, rozpoznającej nową tożsamość człowieka.

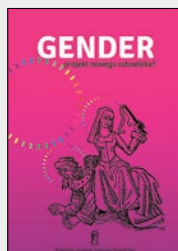
Dlatego ogromnie ważną, wręcz kluczową sprawą staje się konfrontacja teorii gender z nauką.

GENDERYŚCI KONTRA NAUKA

Pozwala to na rzetelną konfrontację wygłaszanych przez genderystów tez z faktami naukowymi. Niewątpliwie bowiem konfrontacją tez z faktami jest dyskusja na temat genetycznych uwarunkowań orientacji seksualnych. Z jednej strony pojawia się teza o determinizmie genetycznym, tak bardzo obecna choćby w popularnym nurcie socjobiologii, a z drugiej strony jest genetyka. Alina Midro w dyskusji z owymi deterministami używa jako narzędzia pojęcia seksomu, na który składają się geny służące formowaniu szlaków sygnałowych w ciągu rozwoju człowieka, „różnicujące organizm kobiecy i męski i ich charakterystyczny sposób zachowania, a także predysponują do odmiennej częstości występowania różnych schorzeń” (s. 112–113), oraz oprogramowania epigenetycznego, które wpływa na odczyt tych genów i pozostaje pod wpływem czynników środowiskowych. Analiza ludzkiego seksomu wyraźnie zaprzecza rzekomo wyłącznie genetycznym uwarunkowaniom homoseksualizmu. Ostatnio wzmocnieniem tezy o pozagenetycznych uwarunkowaniach stał się głośny artykuł opublikowany w „Science” – wynik badań zespołu pod kierunkiem Andrei Ganny z Massachusetts General Hospital i Harvard Medical School.

Omawiana monografia porusza zarazem temat zaburzeń tożsamości płciowej „Gender Identity Disorder”, a zatem podejmuje tak bardzo niepopularną w postmodernizmie debatę nad normami i patologiami, normami i zaburzeniami. Za sprawą Bogny Białeckiej czytelnik może zapoznać się z definicją i etiologią zaburzeń, by

cza „Awangarda, urbanistyka i rewolucja antropologiczna” dotyczy awangardy architektury doby sowieckiej. Jej zadaniem stało się choćby nowe rozplanowanie i organizacja nowego życia, co powodowało nie tylko wyznaczenie podziałów przestrzennych i sposobów lokowania w nich jednostek, lecz także reorganizację wnętrza mieszkania. Opisując ten proces, prof. Juskiewicz zwraca uwagę na znamieny szczegół: „Jak zwykle zaczynało od zmiany pojęć – »przytulność«, »wygoda« miały zostać zastąpione przez »ujut«, zdefiniowany jako schłodność, prostota, jakaś mała przyjemność, na którą stać proletariusza” (s. 24). Drobne kroki rewolucji semantycznych prowadziły do zmian fundamentalnych, takich jak



**RED. B. BIAŁECKA,
J. KOWALSKI,
W. MIEDZIAK**
**„GENDER.
PROJEKT NOWEGO
CZŁOWIEKA?”**
**WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIEGO
TOWARZYSTWA
PRZYJACIÓŁ
NAUK, POZNAŃ
2020**

■ Ostatecznie stanąć w obliczu wyboru: „Możliwe są dwa rozwiązania: zaakceptować non-konformizm płciowy dziecka i wychować je na osobę, którą chce być, lub wspierać rozwój dziecka w kierunku akceptacji własnej płci” (s. 124).

Prezentowane poglądy terapeutyczne, propagowane przez Josepha i Lindę Nicolosi, są zarówno unikalne, jak i napiętnowane w świecie szerczącym hasła pluralizmu i tolerancji (z wykluczeniem jednak myślących niepoprawnie). Zamiast realistycznego i prohumanitarnego podejścia terapeutycznego proponowane są w tym świecie pustych haseł inne standardy. Doskonale widać je poprzez pryzmat ukazany w artykule Zbigniewa Barcińskiego „Ideał wychowawczy »Standardów edukacji seksualnej w Europie«”. Warto nadmienić, że sierpniowy atak aktywistów LGBT w Warszawie na furgonetkę prezentującą zdaniem tych aktywistów nieprawdziwe tezy był faktycznie atakiem na realnie i literalnie brzmiące postulaty „Standardów”. Zbigniew Barciński, po ogólnej prezentacji „Standardów”, przedstawia wnikliwie siedem hipotez celów tej edukacji. Te mogą szokować. Są jednak znakomicie uzasadnione.

O konsekwencjach takich procesów deprawacyjnych najlepiej przekonać się poprzez konkretną egzemplifikację. Może jej dostarczyć artykuł Piotra Bernatowicza „»Jak tresuje się dziewczynki?» Zbigniewa Libery przypadek genderowej manipulacji”. Tytułowa praca Libery jest filmem z 1987 r., który „ukazuje nie tyle proces uczenia się kobiecości przez małą dziewczynkę, której kulturowym atrybutem w naszej kulturze jest biżuteria i makijaż, ale proces, którego wymiarem jest ukryta przemoc” (s. 189). Wnikliwa i krytyczna analiza filmu Libery nie może być jednak odczytana tylko jako komentarz interpretatora dzieła filmowego. Jest to ważny głos w procesie kształtowania zafałszowanego i zmanipulowanego przekazu na temat rzekomej tresury, opresji, reżimu prawdy i innych pojęć, które służą do zbudowania narracji o przemocy wobec kobiety, a w konsekwencji budują – zasadne w tej perspektywie – pragnienie walki z przemocą. Niestety, diagnoza owej przemocy jest absurdalna, a analiza przyczyn zupełnie fikcyjna, tak jak to widać w konfrontacji nieomawianej w monografii

tw. konwencji antyprzemocowej, która ignorując przemoc wynikającą z alkoholizmu, narkomanii, seksualizacji wizerunku kobiety, rozpadu małżeństw, upatruje źródła przemocy w kulturowo i religijnie określonym sztafażu małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny.

ZAKŁAMANIE

Fałszywa narracja musi korzystać z fałszywych bądź zakłamanych pojęć. Lidia Banowska w artykule „Nowomowa gender: język jako narzędzie (r)ewolucji kulturowej” ukazuje wnikliwie zakres, charakter i metody manipulacji językowej. To niezwykle

ważne refleksje. Czyż bowiem nie zdarza się nam wszystkim ulegać pewnemu zwątpieniu, gdy uświadamia się nam, że podejmując walkę z tą ideologią, walczymy lub usiłujemy walczyć z miłością, wolnością i indywidualnością (którą głosi np. Partia na rzecz Miłości Bliźniego, Wolności i Różnorodności)? Czyż nie możemy czuć się zakłopotani, gdy okazujemy się jako przeciwnicy ideologii gender nie tylko homofobami, lecz także myślozbrodniarzami? Ostatecznie dlaczego my, popierający „związki kobiety i mężczyzny”, nie chcemy zgodzić się na „małżeństwa homoseksualne”? W tej atmosferze ewentualnego zwątpienia pomocą pozostaje zachęta Lidii Banowskiej: „remedium pozostaje to samo: demaskacja manipulacji, świadome odrzucanie genderowej nowomowy oraz posługiwanie się językiem adekwatnym” (s. 235). I czyniąc to, odnajdziemy samych siebie w świecie ludzkim, to znaczy racjonalnym.

Fundamentalnie ważnym pytaniem, które pada niemal pod koniec monografii, jest pytanie postawione w artykule Zbigniewa Pańpucha „Gender – czy nowa filozofia płci i rodziny?”. Artykuł jest intelektualnym itinerarium poprzez dzieje ludzkiej myśli, zaintrygowanej takimi fenomenami jak osoba, natura, płciowość, wolność, miłość... Poprzez wieki człowiek miał aspiracje poznawania rzeczywistości, wraz z przełomem kartezjańskim (jak go określał Jan Paweł II) w filozofii przestał cenić rzeczywistość, skupiając się na świadomości. Ta zaś współcześnie wykazuje nikłą kondycję, czego dowodem są bełkotliwe wywody narratorów gender. Im bardziej czytelnik wgłębia się w lekturę prezentowanej monografii, tym bardziej może czuć się zadziwiony tym, że teoria

oderwana od rzeczywistości, przecząca zdrowemu rozsądkowi, destrukcyjna i demoralizująca ma popyt. To słowo „popyt” odsyła poniekąd czytelnika do kwestii dla wielu najbardziej intrygującej: Skąd są na to pieniądze?

Być może pomocą w odpowiedzi na to pytanie będzie artykuł zamykający tom Natalii Zimniewicz „Ekonomiczne aspekty medialnej promocji homoseksualizmu i innych zagadnień światopoglądowych”. Z pewnością posłuży do przemyslenia, tym bardziej że w mediach światowych ekspansja coraz bardziej agresywnych i obscenicznych reklam o treści homoseksualnej jest faktem.

Na zakończenie warto jeszcze dopowiedzieć – habent sua fata libelli, książki mają swoje losy... Jeden z redaktorów publikacji, prof. Jacek Kowalski, przypomniał, że książka ta jest swego rodzaju pokłosiem debat w Instytucie Historii Sztuki UAM, które toczyły się we wzorcowej wówczas akademickiej atmosferze, przed kilkunastoma laty wśród uczniów i współpracowników prof. Piotra Piotrowskiego. O jakości tych debat świadczyć może to, że współcześnie ich uczestnicy zajmują szacowne pozycje po obu stronach sporu. W latach 2013 i 2014 atmosfera sporów uniwersyteckich przybrała zgoła inny kształt. Działacze gender byli skłonni w grudniu 2013 r. przerwać wykład pisańczego te słowa na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu, by kilka dni później skierować skargę do ówczesnej minister Kozłowskiej-Rajewicz na temat opresji i zagrożeń, których doświadczają.

W tej atmosferze w 2014 r. na Wydziale Historycznym UAM została zorganizowana naukowa konferencja interdyscyplinarna, która stała się merytorycznym głosem krytycznym wobec gender. Materiały z tej sesji, z 2014 r., ukazały się niedawno w poznańskim wydawnictwie naukowym PTPN w postaci prezentowanego tomu: „Gender. Projekt nowego człowieka?”. Ten dystans sześciu lat odstania z jednej strony niezwykle dynamizm zdarzeń, coraz bardziej ekspresywnych i agresywnych. A z drugiej strony pokazuje chyba, że żaden z argumentów i żadna z uwag krytycznych, które padają w tej publikacji, nie doczekały się merytorycznej krytyki. I to jest chyba najlepszą recenzją monografii „Gender. Projekt nowego człowieka?”.

© 2021 Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej, profesorem nauk teologicznych, członkiem Komitetu Nauk Teologicznych PAN, wykładowcą akademickim.

Kalendarium LGBT

1970: GAY PRIDE

To być może najbardziej rozpoznawalne hasło („Duma gejojska”) politycznego ruchu homoseksualnego. Według przekazów miało pojawić się już w roku 1969, podczas zamieszek, do których doszło w barze dla homoseksualistów w nowojorskim Stonewall. Jeden z uczestników miał je wykrzyczeć, jednocześnie rzucając butelką w nacierających policjantów. Z czasem hasłem tym zaczęto określać wydarzenia odbywające się dla upamiętnienia początku homoseksualnego ruchu afirmatywnego w Stanach Zjednoczonych. Zanim jednak hasło „Gay Pride” się upowszechniło, pojawiały się też inne propozycje. Jeden z najbardziej znanych pionierów-aktywistów ruchu Frank Kameny zaproponował slogan „Gay is Good”, analogiczny do popularnego pod koniec lat 60. „Black is Beautiful”, czyli „Czarne jest piękne”, ogłoszonego przez Stokely’ego Carmichaela i skierowanego przeciwko rasizmowi.

Za pierwszą paradę „dumy gejojskiej” uważa się nowojorski przemarsz 28 czerwca 1970 r., w pierwszą rocznicę starć homoseksualistów i policji w Stonewall. Ekspansja parad była bardzo dynamiczna. W kolejnych dwóch latach marsze „Gay Pride” odbyły się najpierw w Bostonie, Dallas, Milwaukee, Londynie, Paryżu, Berlinie Zachodnim, Sztokholmie, a następnie w Atlancie, Brighton, Buffalo, Detroit, Waszyngtonie, Miami, Filadelfii i San Francisco.



FOT. TSMUR KHASANA/ADOBE STOCK



Tomasz Rowiński

W tym czasie zmieniła się też strategia aktywistów homoseksualnych, którzy przeszli od akcji perswazyjnych do działań o charakterze politycznym, których pierwszym znaczącym efektem była zmiana klasyfikacji homoseksualizmu przez amerykańskich psychiatrów.

Z czasem Gay Pride rozrastało się nie tylko na kolejne miasta, lecz także w czasie. – Dzisiaj można mówić o czerwcu w USA jako całym miesiącu „dumy gejojskiej” – ogłosił prezydent USA Bill Clinton w roku 1999, podobnie robił Barack Obama w czasie swoich kadencji.

2020: SPRAWA MICHAŁA SZ. „MARGOT”

Sprawa Michała Sz. „Margot”, którą komentowała latem 2020 r. większość mediów w Polsce, choć pozornie wydawała się akcją przynajmniej częściowo sztucznie nadmuchaną, stanowi ważny przykład usprawiedliwiania przemocy politycznego ruchu homoseksualnego. Michał Sz. został w sierpniu aresztowany decyzją sądu w związku z udziałem w napaści na furgonetkę organizacji pro-life, którą jest Fundacja Pro – Prawo do Życia. Aresztowanie stało się pretekstem

dla lewicowych polityków i działaczy do wszczęcia akcji demonstracyjnej w obronie rzekomo dyskryminowanej „osoby niebinarnej”, za jaką podaje się „Margot”. Po wyjściu z aresztu Michał Sz. jeszcze przez chwilę był bohaterem mediów i wyraził przynajmniej jedną myśl, która wyraża stosunek lewicy do porządku publicznego. „Walka o własne interesy uzasadnia przemoc? Absolutnie”.

Można było także zobaczyć, że nie tylko radykalna lewica jest gotowa pójść na rękę rewolucji politycznego ruchu homoseksualnego. Także liberalni publicyści bez dyskusji przyjęli, że „sprawa” wymaga, by na mężczyznę mówić w rodzaju żeńskim. Aby usprawiedliwić bojówkarskie działania „Margot”, odwoływano się do obywatelskiego nieposłuszeństwa czy do prawnej kategorii „zatrzymania obywatelskiego”. Tyle że robiono to w pełnym oderwaniu od tego, co na temat takiego zatrzymania mówi polski ustawodawca. Udostępniony przez policję film z demonstracji, które nastąpiły po aresztowaniu, jednoznacznie wskazywał, że to policja była atakowana, że mienie publiczne niszczone. Takiej postawy bronili na co dzień grzmiący w obronie konstytucji autorzy.

Dla aktywistów politycznego ruchu homoseksualnego prawa człowieka i prawa stanowione mają tylko o tyle znaczenie, o ile mogą służyć jako narzędzie proliferacji ich własnych postulatów. Tak działo się też w innych krajach, tak dzieje się także w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polska tolerancja i zachodnie naciski



Marcin Jendrzyczak

Kraje Zachodu, mające na swym koncie dyskryminację, a nawet prześladowania homoseksualistów, lubują się w pouczeniu Polski i oskarżaniu jej o homofobię. Tymczasem przez stulecia to Polska stanowiła przykład właściwie rozumianej tolerancji, czyli cierpliwego znoszenia tego, czego się nie akceptuje

Zabraniające „sodomii” przepisy na terenie kolonialnej Ameryki istniały już w XVII w. Pod tym terminem nie rozumiano bynajmniej wyłącznie współżycia homoseksualnego, lecz także seks oralny i analny. Jednak o ile małżeństwa, a w niektórych stanach także inne pary heteroseksualne nie podpadały pod stosowne paragrafy, o tyle homoseksualne akty tego typu zawsze wyczerpywały znamiona przestępstw. Szacuje się, że w XVII w. w związku z tego typu regulacjami zginęło 5–10 osób, a w XVIII w. – pięć kolejnych.

Chociaż „antysodomickie” przepisy kojarzą się niektórym z rzekomo ciemnym średniowieczem, to istniały one w Stanach Zjednoczonych jeszcze długo po odzyskaniu niepodległości. Jak zauważa Johan Norberg w książce „Postęp”, „na początku lat 60. XX wieku »czyny homoseksualne« były nielegalne we wszystkich stanach USA. Tamtejsza poczta (państwowa) szpiegowała korespondencję osób podejrzanych w tej materii, aby zdobyć obciążające je dowody. Regularnie organizowano naloty na bary gejowskie; osoby złapane podczas takich akcji trafiały do aresztów, a ich adresy publikowano w gazetach. Władze pokazywały im homoseksualną pornografię i aplikowały elektrowstrząsy, aby »wtłoczyć« do ich mózgów negatywne reakcje na nią. W niektórych przypad-

kach gejów kierowano do placówek medycznych, gdzie byli sterylizowani, a czasem nawet poddawani kastracji czy lobotomii”. W czasach prezydentury Dwighta Eisenhowera setki homoseksualistów „zwolniono z państwowych posad”.

Od 2003 r. (wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Lawrence versus Teksas) stosowanie przepisów o sodomii jest w USA zakazane. Jednak w 2019 r. w 15 amerykańskich stanach wciąż istnieją przepisy zakazujące „sodomskich” praktyk – w tym w trzech wyłącznie homoseksualnych. Chociaż obecnie są to martwe zapisy, to ich pozostawienie w kodeksach pokazuje zakotwiczenie purytyzmu w amerykańskiej moralności.

ANGIELSKA I NIEMIECKA „TOLERANCJA”

Zresztą problem ten nie ograniczał się do Stanów Zjednoczonych. Wszak zgodnie z brytyjską ustawą z 1533 r. za akty homoseksualne należała się szubienica. Wybitny XVIII-wieczny prawnik William Blackstone preferował raczej grzebanie żywcem lub palenie na stosie. Jeszcze w połowie XIX stulecia za praktykowanie homoseksualizmu w Wielkiej Brytanii groziła utrata życia lub zdrowia. W majestacie prawa.

„Dość powiedzieć – 1952 roku Alan Turing (naukowiec, który złamał kod Enigmy) został zmuszony do przyjęcia

kary chemicznej kastracji (alternatywę stanowiło więzienie)” – zauważa Norberg. Chociaż potem przepisy trochę złagodniono, to na legalizację kontaktów homoseksualnych przyszło czekać w Anglii i Walii do 1967 r., w Szkocji do 1980 r., a Irlandii Północnej do 1982 r. Pamiętajmy, że chodzi tu nie o jakieś przywileje w rodzaju związków partnerskich, lecz o prawo do kontaktów seksualnych bez zagrożenia karą. Tego typu kontakty w przestrzeni publicznej jeszcze do 2000 r. pozostawały nielegalne.

Z kolei w Niemczech prześladowanie homoseksualistów powszechnie kojarzy się z narodowym socjalizmem. Słusznie, ale należy pamiętać, że naziści jedynie rozszerzali zakres stosowania paragrafu 175 penalizującego homoseksualizm jako „nierząd przeciwny naturze” (i pochodzącego z 1871 r.). Za rządów nazistów aresztowano ponad 100 tys. homoseksualistów, a 5–15 tys. z nich wysłano do obozów koncentracyjnych. Zachodnie Niemcy zalegalizowały kon-



takty homoseksualne w 1968 r. (wschodnie kilkadziesiąt lat później). Teraz zaś – o ironio – niemieccy zadymiarze z Antify przyjeżdżają do Polski, by uczestniczyć w walce o prawa rzekomo prześladowanych nad Wisłą mniejszości.

Niewiele lepsza okazała się rzeczywistość w Hiszpanii dawnych wieków (groźba ukamienowania, kastracji i śmierci na stosie) oraz we Francji. Nad

W II Rzeczypospolitej nielegalna była jedynie homoseksualna prostytucja. Niepodległość oznaczała więc poprawę sytuacji prawnej homoseksualistów i to w czasach, gdy akty homoseksualne penalizowano choćby w USA czy Wielkiej Brytanii. W PRL doszło wprawdzie do wymierzonej w homoseksualistów akcji „Hiacynt”, jednak była ona dziełem komunistów, a nie wolnej Polski.

W III Rzeczypospolitej akty homoseksualne są legalne i nie istnieje żadna odgórna dyskryminacja. Owszem, nie ma możliwości zawierania „mażeństw” przez homoseksualistów, lecz nie jest to w gruncie rzeczy dyskryminacja. Wszyscy bowiem są równi wobec prawa. Wszyscy dorośli mogą zawierać małżeństwa heteroseksualne, a żaden nie może zawierać homoseksualnego pseudomałżeństwa. Nie dochodzi tu zatem do ograniczania praw jednej grupy. Owszem, pewne osoby pragną zawierać „mażeństwa” homoseksualne, a inne nie, jednak podobnie pewne osoby pragną zażywać narkotyki, a inne nie. Prawo nie rozróżnia osób, lecz czyny. Homoseksualne związki jako z natury niezdolne do spółdzenia potomstwa są czymś fundamentalnie różnym od heteroseksualnych. Dlatego nie można nalegać, by prawo traktowało odrębne kategorie jako identyczne.

Trudno zatem mówić o systemowej dyskryminacji homoseksualistów w Polsce, a pod wieloma względami to aktywiści homoseksualni stanowią grupę odpowiedzialną za prześladowanie innych i przemoc symboliczną. Świadczą o tym choćby głośne wydarzenia ostatnich lat i miesięcy.

KU POLSKIEMU STONEWALL?

Na przykład w czerwcu 2019 r. uczestniczącym w homoparadzie zaprezentowano grafiki szydzące z sakramentu Eucharystii i imitujące procesję eucharystyczną. Z kolei pod koniec lipca 2019 r. dwóch homoseksualistów umieściło w sieci teledysk przedstawiający Matkę Bożą w kolorach tęczy. W teledysku wystąpili Robert Biedroń i prezydent Warszawy Paweł Rabiej. Również w lipcu 2019 r. media poinformowały o decyzji quasi-artystki Dominiki Kulczyńskiej

dotyczącej sprzedaży w Internecie wizerunku Matki Bożej w kształcie kobiecego narządu płciowego.

Z kolei w nocy z 28 na 29 lipca 2020 r. lewacy działacze podpisani jako „Stop bzduram”, „Gang Samzamęt” i „Poetka” umieścili na przypominającym czasy Powstania Warszawskiego pomniku Chrystusa flagi ruchu LGBT. Niekiedy homoseksualni aktywiści dopuszczają się wręcz bezpośredniej przemocy. Pod koniec czerwca 2020 r. furgonetka fundacji pro-life została zatrzymana przez lewackich aktywistów. Są oni podejrzani o wyłamanie lusterek, pomalowanie szyb sprayem oraz pocięcie i zerwanie banerów. Wśród nich znalazł się sławny ze swego chamstwa Michał Sz., uznający się za „osobę niebinarną”.

Czy zatem niektórzy aktywiści homoseksualni dążą do zaognienia nastrojów społecznych i wywołania rzeczywistych aktów przemocy wobec homoseksualistów? Jakież byłoby to wspaniałe dla rewolucji, dla zamieszek, dla zwiększenia uwagi zachodniej jaśnie oświeconej opinii publicznej! Gdyby tak sprowokować prawicowych aktywistów, a najlepiej policję do użycia siły? Do pobicia, a może nawet zabicia homoseksualisty, a następnie wywołania prawdziwie tęczywej rewolucji? Do postawienia rządu pod ścianą i zmuszenia go do nadania homoseksualistom przywilejów. Czy homoseksualiści nie dążą do polskiego Stonewall?

Nawet jeśli tak, to wiele wskazuje na to, że się im nie uda. Polacy są bowiem narodem tolerancyjnym. Inność tolerują dopóty, dopóki ta ich nie atakuje, a jak pokazują ostatnie wydarzenia – nawet wtedy także. W porównaniu z ludźmi Zachodu Polacy są wręcz ultratolerancyjni.

Tak zwany Zachód tego nie potrafi. Jak widzieliśmy, jeszcze dziesiątki lat temu w wielu jego krajach trwały prześladowania homoseksualistów, a nawet ich mordowanie. Dzisiaj być może gnębieni poczuciem winy, a być może po prostu nienawiścią do tradycji popadają w drugą skrajność, a z homoseksualistów czynią elitę ludzkości. Elitę, która może dopuszczać się bezczeszczenia katolickich świętości, sama jednak krytyce nie podlega. Cóż za zdumiewające szybkie przeobrażenie „Zachodu” – od przymusu i przemocy wobec homoseksualistów do używania ich jako tarana przeciw katolikom. Jedno jednak pozostaje constans – nietolerancja.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Loarą występki homoseksualne karano trzystopniowo. Najpierw utratą jąder. Gdy wybryk się powtórzył – obcięciem penisa. Jeśli zaś delikwenta przyłapano na homoseksualnych harcach po raz trzeci, wówczas karano go śmiercią. Jak informuje Norberg, w renesansowej Italii nocni oficjele tropili mężołożców i wytaczali im procesy.

TOLERANCYJNA POLSKA

Jak się do tego ma sytuacja w Polsce? Przez wieki Rzeczpospolita okazywała się znacznie bardziej tolerancyjna od wielu „światłych” krajów Zachodu. Widać tu pewną analogię do braku prześladowań religijnych (kraj bez stosów) i nieistnienia niewolnictwa, w które zamieszane były zachodnie imperia. Wiadomo, że karalność homoseksualizmu istniała w czasach zaborów.



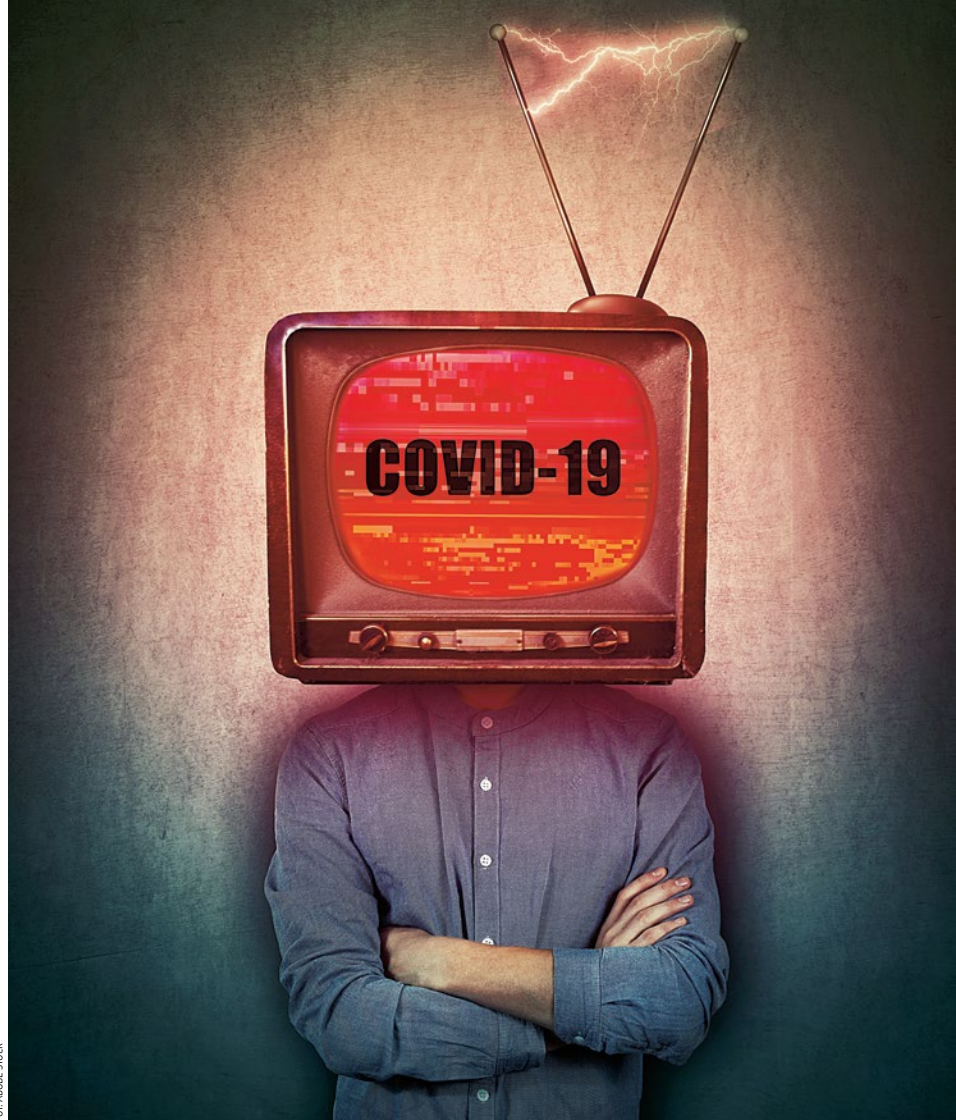
Łukasz Warzecha

Subtelne oddziaływanie i pranie mózgów to coś, z czym najtrudniej walczyć

Przez lata „Gazeta Wyborcza” miała stałą zasadę rozprawiania się z każdym, kto podważał tworzony przez nią obraz rzeczywistości. Taki ktoś był dyskredytowany, najchętniej jako antysemita, po czym grono mędrców z Czerskiej oznajmiało, że przecież z kimś takim się nie rozmawia. Od dawna już „GW” nie sprawuje niepodzielnego rządu dusz, więc i skuteczność tej metody znacząco spadła. Przejęli ją jednak i rozwinęli inni.

W wielu sprawach widzimy ten sam schemat: dana grupa nie ma ochoty wchodzić w dyskusję, więc podpira się opiniami grupy ekspertów (zjawisko ekspertozy), po czym oznajmia, że każdy, kto się z nimi nie zgadza, jest oszołomem, płaskoziemcem i nie powinno się z nim w ogóle rozmawiać. Nie inaczej jest w przypadku pandemii koronawirusa.

W przypadku obecnej pandemii mamy do czynienia ze zjawiskiem tak świeżym, tak dynamicznym i cały czas ewoluującym, że każdy rozsądny człowiek wstrzymuje się przed wyrażaniem definitywnych sądów. Również gdy chodzi o aspekty czysto naukowe, bo od marca tego roku mamy zalew badań i prac, z których wnioski bywają czasami nawet sprzeczne ze sobą. A to dowiadujemy się, że maseczki działają, a to, że nie działają lub nawet szkodzą. A to czytamy o tym, że większość przechodzi chorobę bezobjawowo, a to o tym, że jednak większość objawy rozwija, tyle że nie od razu. A to dowiadujemy się, że bezobjawowi niemal nie zarażają, a to znowu, że zarażają na potęgę. Cóż dopiero, jeśli do tych rozważań dołączyć aspekty społeczny i gospodarczy. Jak niedawno pisałem w „Do Rzeczy”, również w przypadku radykalnie odmiennej od pozostałych strategii szwedzkiej trudno wydawać jednoznaczny wyrok, ponieważ dzisiaj, gdy w większości krajów Europy padają rekordy liczby zakażeń, w Szwecji jest ich wyraźnie mniej, znaczącego wzrostu nie widać, a dziennie umierają najwyżej dwie, trzy osoby (w Polsce 20, 30



FOT. ADRIAN STOLK

W sidłach ekspertozy

przy jedynie niespełna czterokrotnie większej liczbie ludności). Wszystko to nie oznacza natomiast, że nie można zadawać sensownych pytań ani wyrażać wątpliwości.

MEDYCZNI CELEBRYCI

Tymczasem pojawiło się u nas grono medycznych celebrytów, którzy chyba więcej czasu spędzają już na łączach z telewizjami i rozmowach z dziennikarzami niż przy chorych. Celebryci ci

zaczęli bawić się w policję myśli. Dwaj z nich zasługują tu na miano przodowników pracy: prof. Grzesiowski, pediatra i immunolog, oraz prof. Krzysztof Simon, „zakaźnik”.

Wśród polskich lekarzy jest również grupa – niezbyt duża, ale jednak – tych, którzy nie bali się sygnalizować swoich wątpliwości. Przy czym, co ważne, nie są to lekarze zaprzeczający istnieniu koronawirusa czy kwestionujący, że mamy do czynienia z epidemią. Nie są to nawet

lekarze, których zdanie na temat zjadliwości wirusa i zagrożenia jest identyczne. W większości to ludzie korzystający z mediów społecznościowych.

Jest więc Jakub Kosikowski, rezydent pracujący w Lubelskiem, przekazujący bardzo interesujące, ale też często alarmujące i sprzeczne z oficjalnym optymizmem informacje z pierwszej linii w służbie zdrowia. Jest też wspomniany przeze mnie wielokrotnie Paweł Basiukiewicz, sygnalizujący między innymi fatalne skutki obowiązujących za Łukasza Szumowskiego zasad wysyłania ludzi na kwarantannę i domagający się od Ministerstwa Zdrowia informacji, które to niekoniecznie chce ujawniać. Opinie dr. Basiukiewicza kosztowały go już sporo nerwów i donosów kolegów do organów odpowiedzialności zawodowej. Jest wreszcie alergolog prof. dr hab. Ryszard Rutkowski, krytyk maseczkowego przymusu w formie takiej, jaka pojawiła się w Polsce.

Profesor Rutkowski na portalu DoRzeczy.pl tłumaczył: „Od początku polskiego »maski show« twierdzę jedynie, iż w odróżnieniu od maseczek chirurgicznych oraz masek N95 narzucone wszystkim Polakom maski bawełniane są nieskuteczne, a w związku z tym niepotrzebne. [...] Sprzeciwiam się jednak przymusowi noszenia bawełnianych maseczek czy przyłbic w sklepach, autobusach, szkołach lub szpitalach przez ludzi zdrowych, wmawianiu nam wszystkim przez władzę i Ministerstwo Zdrowia, że dzisiaj każdy Polak jest zakażony wirusem SARS-CoV-2, przez co zagraża zdrowiu i życiu innych ludzi. Ani nasz rząd, ani rządy innych państw, w których obowiązuje terror maskowy, nie dysponują bowiem żadnymi dowodami na prawdziwość tak sformułowanej tezy”. Profesor Rutkowski przypomniał również, że CFR, czyli współczynnik śmiertelności, dla COVID-19 w Polsce bez chorób współistniejących wynosi jedynie 0,4 proc., a z chorobami współistniejącymi – 2,4 proc. W przypadku pandemii MERS w 2012 r. CFR wynosił ponad 34 proc.

W liście otwartym skierowanym do nowego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego (również do znalezienia na DoRzeczy.pl) prof. Rutkowski zadał szefowi MZ kilka dość oczywistych pytań, choćby o to, czy polscy wirusolodzy dostali zlecenie zbadania, jaki typ wirusa SARS-CoV-2 występuje obecnie w Polsce i jaka jest jego zjadliwość.

Poparte konkretnymi liczbami, badaniami i bibliografią opinie prof. Rutkowskiego oraz jego pytania do ministra zdrowia bardzo nie spodobały się prof. Grzesiowskiemu, który na Twitterze (dziś jego konto jest już niedostępne dla wielu osób) napisał: „Do wszystkich e-speców – nie ma jakiejś antytrollowej app na TT, aby samoczynnie banowała tę szarańczę. Szkoda trochę czasu na ręczne wyszukiwanie i wycinanie tego chwastu. A jak nie ma to może warto coś takiego wymyślić [pisownia oryginalna]”. Gdy użytkowniczka jako przykład „szarańczy” podała post dr. Basiukiewicza, prof. Grzesiowski napisał: „Mam nadzieję, że nasz samorząd zajmie się kolegami po fachu, którzy myślą naukę z magią”. List prof. Rutkowskiego skomentował zaś tak: „Znam ten list i szczerze wstydzę się, że ktoś z tytułem profesora medycyny mógł coś takiego napisać. Przez szacunek dla wieku nie będę komentował autora, ale treść tego pisma jest stekiem manipulacji, niewiedzy i mowy nienawiści. List spełnia kryterium chwastu, należy go wypieścić”.

ZACIEKŁOŚĆ KLIMATYSTÓW

Apele prof. Grzesiowskiego o cenzurę, wyrywanie „chwastów” i donosy na kolegów, którzy ośmielają się kwestionować sianą przez medialnego celebrytę panikę, nie są niestety odosobnionym przypadkiem. Z podobnymi zjawiskami mamy do czynienia w wielu innych dziedzinach – choćby w dyskusji o zmianach klimatycznych. Tam także środowisko zaprzysięgłych klimatystów – w tym również wywodzących się spośród naukowców – domaga się, aby sceptyków w ogóle nie dopuszczać do debaty jako „denialistów klimatycznych”. Termin „denalista” ma być formą ostatecznej dyskredytacji, odwołuje się bowiem nie przypadkiem do tych, którzy zaprzeczają Holokaustowi.

Gdy jakiś czas temu młody publicysta portalu Biznes Alert Jakub Wiech stworzył projekt cyklu rozmów z przedstawicielami różnych poglądów na sprawę polityki klimatycznej, zapraszając do rozmowy również mnie (czyli przedstawiciela poglądu mocno sceptycznego), spadły na niego gromy ze strony fanatycznych klimatystów, którzy uważali, że rozmawiać wolno wyłącznie z przedstawicielami jedynie słusznego poglądu.

Podobne zjawisko dotyczy polityki miejskiej, którą obsiadły ruchy bardzo hałaśliwe, ale reprezentujące mikroskopijne wręcz grupy obywateli. Niedawno

w Warszawie odbyła się „piesza masa krytyczna”, która zgromadziła niespełna 10 osób. A jednak to tych grupek słuchają lewicowi prezydenci, tacy jak Rafał Trzaskowski w Warszawie czy Jacek Jaśkowski w Poznaniu, i pod ich upodobania kształtują całą przestrzeń miejską, systematycznie ograniczając prawa kierowców, za to budując imponującą infrastrukturę rowerową, choć z rowerów jako środka lokomocji na co dzień korzysta zaledwie kilka procent mieszkańców.

Tutaj wkracza do akcji schorzenie polskiego życia publicznego – ekspertoza. W wielu kwestiach przyjęcie takiej, a nie innej polityki jest sprawą decyzji wyłącznie politycznej. Tak jest z kształtem miast – to wybór polityczny, czy poprzez utrudnianie życia i podnoszenie kosztów zmuszamy obywateli do porzucenia samochodów, czy pozostawiamy im w tej sprawie wolność decyzji. Jednak ruchy miejskie podpierają się – często zresztą fałszując i manipulując – opiniami „swoich” ekspertów, które mają dowodzić, że przerobienie miast na modłę mitycznej Kopenhagi nie jest sprawą polityki, ale jedyne możliwe racjonalne wybranie. Przykładem typowej manipulacji jest zonglowanie kryterium „zadowolenia z życia”, które najwyższe ma być w miastach, gdzie najtrudniej jest korzystać z samochodu. Tymczasem „zadowolenie z życia” to kryterium całkowicie subiektywne, a odpowiadający w ankietach respondenci prezentują w nich oceny wynikające nierzadko po prostu z ich poglądów politycznych. Przyjmując jednak taką postawę, automatycznie wyklucza się z debaty przedstawicieli innego poglądu jako „nieracjonalnych”.

Nie miejmy złudzeń – do tego samego dążą środowiska LGBT. Celem jest spowodowanie, aby krytyczne wobec niego opinie (podkreślam: wobec środowiska i jego celów, nie wobec poszczególnych osób) przestały być w przestrzeni publicznej akceptowane. Wszystko to są odbicia tego samego zjawiska – nieoficjalnej, „miękkiej” cenzury, znacznie w gruncie rzeczy groźniejszej niż cenzura oficjalna. Poglądy uznawane za niepoprawne nie zostają bowiem wyeliminowane z debaty na podstawie ustawy, przeciw której można demonstrować, w przypadku której można apelować o zawetowanie do prezydenta, wokół której można robić szum, ale w wyniku subtelnej oddziaływania i masowego prania mózgów. Z tym walczyć znacznie trudniej.

Istotniejsze jest zbawienie



Tomasz P. Terlikowski

Wywieszenie białej flagi, odmowę uczestnictwa w wojnie kultur, a także przejście na pozycję zachodniej chadecji zarzuca mi Mariusz Dzierżawski w tekście „Jak przegrać wojnę cywilizacji” („Do Rzeczy” 39/2020). Spróbuję więc pokazać, dlaczego moja i Dzierżawskiego diagnoza oraz związana z tym strategia postępowania są radykalnie odmienne

Od jakiegoś czasu, z rosnącym rozbarwieniem, obserwuję, jak rozmaici moi prawnicy znajomi i polemisi próbują przepchnąć mnie na lewą stronę sceny politycznej. A to ktoś zasugeruje, że szukam miejsc na listach wyborczych Wiosny Biedronia czy Partii Razem Zandberga, a to ktoś inny stwierdzi, że wywieszam białą flagę i w istocie przechodzę na pozycję chadeckie, rezygnując z obrony fundamentalnych wartości i uczestnictwa w starciu z ideologią gender i LGBTQ+, a to ktoś jeszcze inny jeszcze mniej delikatnie zasugeruje, że zlewaczyłem się i w istocie zdradziłem wspólną sprawę. Tego rodzaju postępowanie ma oczywiście jeden cel: pozwala pominąć polemikę z poglądami (nie twierdząc, że słusznymi) czy opiniami, a zając się wyłącznie etykietowaniem. A gdy już nowa etykieta przyłgnie, można ze spokojem pominąć dialog, dyskusję i uznać adwersarza za w istocie stojącego na wrogich pozycjach.

Niestety, choć w niezwykle kulturalny sposób, dokładnie tą metodą posłużył się Mariusz Dzierżawski w swoim tekście do tygodnika „Do Rzeczy”. Zamiast polemizować z moimi diagnozami, lider jednego z wpływowych środowisk pro-life postanowił stworzyć sobie „symulakrum” Terlikowskiego, wygodny wizerunek moich poglądów, które można dowolnie krytykować, a który niewiele ma wspólnego z tym, co rzeczywiście głoszę.

Z jego tekstu dowiedziałem się, że gdy sugeruję, iż biskupi, którzy sami są głęboko umoczeni w obronę i krycie przestępstw seksualnych albo którzy przez lata tolerowali na swoim terenie rektora seminarium, prowadzącego podwójne, lawendowe, życie i którzy potem gromią LGBTQ+, są zwyczajnie niewiarygodni, to domagam się, by przestali oni głosić poglądy niewygodne dla mainstreamu. Tyle że każdy, kto zna moje teksty, kto je czytał, ma świadomość, że głoszę coś dokładnie przeciwnego, a mianowicie, że jeśli Kościół ma wiarygodnie głosić własne poglądy w kwestii oceny moralnej aktów homoseksualnych, to musi najpierw załatwić sprawy wewnętrzne i przestać tolerować „lawendowe powiązania” wewnątrz. Jakoś nie wierzę, że Mariusz Dzierżawski tego nie doczytał. Innych przykładów takiego ustawiania adwersarza, by zafałszować jego poglądy i wygodniej w niego uderzać, jest więcej, ale dość o tym. O wiele istotniejsze jest bowiem co innego, a mianowicie diagnoza i związana z tym strategia. To w tej sprawie istotnie się z Mariuszem Dzierżawskim różnimy. Inne kwestie są drugorzędne.

POLSKA CZĘŚCIĄ EUROPY

Zacznijmy więc od tego, że moja diagnoza sytuacji w zachodniej Europie dotyczy również Polski. Owszem, jesteśmy trochę mniej zaawansowani w zmia-

nach, pewne kwestie jeszcze się u nas nie dokonały ani w wymiarze prawnym, ani politycznym, ale zmiany społeczne i obyczajowe już się dokonały. Regularnie praktykujących katolików jest w Polsce niespełna 40 proc., mniej więcej tyle samo wierzy w zmartwychwstanie Jezusa, a wśród młodych – do 30. roku życia – odsetek i regularnie praktykujących, i wyznających katolickie zasady moralne jest jeszcze niższy. Młodzi mężczyźni wprowadzają chętnie deklarują poglądy prawicowe, ale już młode kobiety są raczej liberalne, a jedni i drudzy są o wiele częściej niereligijni niż ich starsi koledzy. Jakby tego było mało, część z niewielkiej części przyjmowanych twardych poglądów moralnych wśród mężczyzn ma raczej źródła lękowe, związane ze zmieniającym się miejscem kobiet w społeczeństwie, brakiem jasnych reguł męskości i kobiecości, a nie z realnie przyjętą religijnością czy choćby konserwatywnymi wzorcami moralnymi. Seminaria duchowne już świecą pustkami, nowicjaty zgromadzeń żeńskich także, tyle że od wielu już lat, a młodzi – także z rodzin katolickich – nie zawierają związków małżeńskich. Radykalnej zmianie podlega także podejście wśród praktykujących katolików do reguł moralnych Kościoła, czego najmocniejszym przykładem jest stosunek – co ciekawe, bardziej kobiet niż mężczyzn – do antykoncepcji.

Wyraźnie widać już również, że w Polsce funkcjonuje już – by posłużyć się tytułem książki Gertrude Himmel-farb – „jedno państwo dwóch narodów”, a może lepiej powiedzieć: jeden naród dwóch plemion. Jeden, spójny język, którym porozumiewali się ze sobą jeszcze opozycjoniści w latach 70. XX w., a który wywodził się z języka chrześcijańskiego,





już nie istnieje. Wyznajemy różne antropologie, mamy różne rozumienia świata oraz religii i wreszcie różne metafizyki, a język – owszem często destrukcyjny czy dekonstruowany – przestał już być nośnikiem wspólnych znaczeń. Gdy chrześcijanin używa terminu „miłość” czy „odpowiedzialność”, to ma na myśli coś innego, niż gdy tych samych słów używa człowiek wychowany we współczesnej popkulturze (często zresztą nominalnie katolik). Świetnie pokazał to w swoim eseju dr Marcin Kędzierski, więc nie będę tego wątku rozwijał.

Ta różnica sprawia, że dialog staje się bardzo trudny, a uzgodnienie stanowisk jeszcze trudniejsze. Naprawdę nie pomaga mu układanie się słowami wytrychami, które nam (po obu stronach) pozwalają budować dobre samopoczucie, ale stygmatyzują drugą stronę i sprawiają, że od razu uznaje się ona za obiekt ataku. Gdy zaś człowiek jest atakowany (albo uważa, że tak jest), to przestaje słuchać, a zaczyna się bronić.

WOJNA NIE SŁUŻY NIKOMU

I ostatni element tej diagnozy jest taki, że w takiej sytuacji – głębokiego podziału, odmiennych wizji nie tylko Polski, lecz także człowieka, religii, rzeczywistości – przyjdzie nam funkcjonować przez najbliższe dziesięciolecia. Ci drudzy (niezależnie od tego, jak ich określimy) nie znikną z naszego świata, nie będziemy funkcjonować bez nich. I konserwatywni katolicy, i liberalni zwolennicy lewicy muszą nauczyć się funkcjonować w świecie, w którym ci drudzy nie tylko są, lecz także

próbują realizować swoje cele. Jeśli więc mamy szukać jakiejś strategii, to nie tyle strategii „uniknięcia realizacji zachodniego scenariusza”, ile wypracowania skutecznego modelu głoszenia naszych poglądów – tych religijnych, moralnych i społecznych – w zmienionej sytuacji, a także budowania przestrzeni normalnego współżycia i współdziałania także z ludźmi, którzy myślą inaczej niż my.

Strategia wojny, wykluczenia inaczej myślących, zakazania aktywnego uczestnictwa w debacie albo obrażania ich za wszelką cenę (pod wygodnym pozorem mówienia im prawdy w oczy) doprowadzi nie do zwycięstwa, ale do nowej wojny trzydziestoletniej. Wojny, która – przynajmniej na tym etapie, i przynajmniej w Polsce – nie zakończy się zwycięstwem żadnej ze stron, a jedynie osłabieniem naszego kraju, naszego Kościoła i zdolności do debaty. Kościół, który prowadzi wojnę kulturową, nie jest w stanie adekwatnie odpowiadać na konieczność bycia „szpitalem polowym”, ale nie jest także w stanie prowadzić realnego życia intelektualnego. I choć pamiętam, że i na polach bitew powstawały wielkie dzieła (czego znakomitym przykładem jest „Gwiazda Zbawienia” Franza Rosenzweiga), to trzeba powiedzieć, że nieustanna wojna wprawdzie utwierdza przekonanych, ale jednocześnie nie tylko przynosi gigantyczne ofiary, lecz także utrudnia rozwój i odpowiadanie na wyzwania.

Zmieniający się świat, kryzys gospodarczy, masowa migracja, z którą niezależnie

od deklaracji polityków nam także przyjdzie się mierzyć, media społecznościowe i związana z nimi rewolucja, a także nowy populizm lewicowy i prawicowy – to wszystko są problemy, które wymagają wspólnych odpowiedzi od ludzi wierzących i niewierzących. Tylko budowa jednego społeczeństwa, które będąc świadome różnic, próbuje odpowiadać wspólnie na część z wyzwań, pozwoli nam przejść bezpiecznie przez trudny czas. Nie, nie jest to proste, ale nie ma innego wyjścia. Jeśli mamy tę drugą stronę przekonać do swoich racji, także tych dotyczących aborcji, nie tylko eugenicznej, to stygmatyzowanie ich, obrażanie, które dokonuje się pod hasłem „twardego głoszenia” własnych racji, jest najgorszą strategią, bo wywołuje tylko agresję i gniew, a co za tym idzie – poranienie i śmierć (na szczęście na razie duchową). Po obu stronach.

JAKI JEST NASZ CEL?

I wreszcie kwestia ostatnia, związana z Kościołem, do którego obaj z Mariuszem Dzierżawskim należymy. Celem Kościoła, dla którego został on założony, jest ewangelizacja, docieranie z prawdą o Jezusie, o Jego bezwarunkowej miłości do wszystkich. Wojna kultur toczy się i będzie się toczyć, spory polityczne będą nas dotykać, ale naszym głównym zadaniem jest ewangelizacja. Jeśli orientujemy się, że pewne postawy, zachowania, modele politycznego działania sprawiają, że staje się ona trudniejsza, że blokuje ona ludzi na Dobrą Nowinę, to warto zastanowić się, czy idziemy dobrą drogą.

Kiedys pewien ksiądz w jednym z krajów postsowieckich wyjaśnił mi, dlaczego nie powiesiłby na terenie parafii bannerów „Stop Aborcji”. – Wie pan, panie Tomku, tu do mnie bardzo często przychodzą kobiety, które spowiadają się z aborcji. I jeśli tylko jedna z nich odeślababy od parafii, zasmucona, zgorzonna, uderzona treścią tych bannerów, to byłaby to największa strata – mówił. A ja dodam, jeśli tylko jeden homoseksualista odchodzi z Kościoła zgorzłoszony bannerami, które uważa on za uderzające w jego godność, to jest to realna strata i nasza za to odpowiedzialność. Od zwycięstwa w wojnie kultur istotniejsze jest zbawienie. Pluralizmowi świata, różnorodności światopoglądowej nie zmienimy. Musimy nauczyć się z nią żyć, w niej funkcjonować, w niej głosić Jezusa, a także wartości moralne związane z prawem naturalnym i Ewangelią.



Z Iwoną Rusek,
autorką słuchowisk Teatru Polskiego Radia
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Teatr Telewizji, Iwona Rusek
„Halo, halo, tu mówi Warszawa”,
reż. Ewa Małecki, obsada: Adam
Cywka, Sambor Czarnota, Sławomir
Grzymkowski, Przemysław Bluszcz
i inni, premiera 5 października,
godz. 21, TVP1 FOT. TVP

Wojna w eterze

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pani sztuka „Halo, halo, tu mówi Warszawa” przekonuje, że Polskie Radio we wrześniu 1939 r. zdało egzamin.

IWONA RUSEK: We wspomnieniach radiowców powraca nieustannie stwierdzenie, że wojna zaskoczyła szefostwo tej instytucji. Chodzi tu o dyrektora naczelnego Konrada Libickiego oraz dyrektora programowego Piotra Góreckiego, którzy byli wpływowymi sanatorami, lecz laikami w dziedzinie radiofonii, co we wrześniu 1939 r. przyniosło fatalne następstwa. W 1940 r. Libicki stanął we Francji przed Wojskowym Trybunałem Orzekającym, który zarzucał mu dopuszczenie się „poważnych zaniedbań w dziedzinie przygotowania Polskiego Radia na wypadek wojny” oraz „jaskrawych uchybień w związku z jego ewakuacją” i został uznany za winnego stawianych mu zarzutów. Jak wspominała Maria Żebrowska, żaden z dyrektorów przed ewakuacją nie zniszczył dokumentów. Zostawili wszystkie: tajne, poufne i zwykłe, więc personel po wyjeździe dykcji spędził całą noc na paleniu papierów, żeby nic nie wpadło w ręce Niemców. Od Joanny Poraskiej możemy się dowiedzieć, że dyrektorzy zabrali też całą kasę radia, która później nijak nie mogła być spożytkowana. Z opisów wynika, że – najdelikatniej rzecz ujmując – nie odznaczali się zbyt eleganckim sposobem bycia, natomiast z zeznań radiowców na

temat zachowania Libickiego we Francji jasno wynika, iż kiedy przyszli prosić go, by zajął się zorganizowaniem Polskiego Radia na obczyźnie, odpowiedział im arogancko, tu cytuję zeznania: „W dupie mam Polskie Radio”.

Taki stosunek Libickiego i Góreckiego wynikał z ich wojskowej przeszłości, a tym samym przekonania, że podczas wojny radiowiec powinien walczyć z bronią w ręku. Stąd ich brak zainteresowania, by przygotować urząd do wojny czy wyreklamować z armii swoich podwładnych. Dokumenty Wojskowego Trybunału Orzekającego głoszą, że: „pracownicy wykazali więcej zimnej krwi i poczucia odpowiedzialności od swego dyrektora i w większości pozostali na swych stanowiskach”.

Komunikat o wybuchu wojny przygotowano wcześniej?

Udało mi się odnaleźć maszynopis wspomnień Józefa Małgorzewskiego. Napisał, że 29 sierpnia 1939 r. ze Sztabu Naczelnego Wodza przysłano do radia komunikat specjalny, zaczynający się od słów: „A więc wojna...” i Małgorzewski go nagrał. Towarzyszący mu podczas rejestracji technik Jan Pilecki miał powiedzieć: „Ta płyta nie pójdzie”, co czytający skomentował krótkim: „Amen”. Trzy dni później o poranku płytę odtworzył na antenie Zbigniew Świętochowski...

W jakich okolicznościach nagrywano przemówienia prezydenta Stefana Starzyńskiego?

Edmund Rudnicki, który mimo nakazu ewakuacji nie opuścił radia, a nawet samorzutnie stanął na jego czele i objął funkcję dyrektora (został na to stanowisko oficjalnie mianowany przez Starzyńskiego 15 września), zdawał sobie sprawę z ogromnej roli, jaką przypadła w udziale rozgłośni. Toteż oddał ją do dyspozycji zarówno prezydenta Warszawy, jak i szefa propagandy płk. Wacława Lipińskiego. Wtedy ci dwaj, jak ich nazywała ówczesna prasa, obrońcy stolicy, mogli swobodnie korzystać z przywileju, jakim było nadawanie przemówień, pogadek czy komunikatów o każdej porze dnia i nocy. Starzyński występował na antenie dwa razy dziennie: rano i wieczorem; bywało, że z radia nie wychodził, tylko w gabinecie Rudnickiego wspólnie z Lipińskim omawiał wiadomości z nasłuchów i zastanawiał się, jak sprawić, żeby mieszkańcy stolicy nie stracili wiary i ducha w zwycięstwo. Wystąpienia Starzyńskiego nagrywano na płyty i emitowano kilkakrotnie w ciągu doby. Uczestniczył w tym wspomniany już Pilecki, który na wniosek Starzyńskiego został przez generała dywizji Juliusza Rómmla odznaczony Krzyżem Walecznych.

5 września 1939 r. część radiowców ewakuowano.

Żołądze powiedziano, że o godz. 16 z pl. Dąbrowskiego ruszy kawalkada aut do Lublina, by kontynuować tam pracę.

Jeremi Przybora wysiadł z autobusu w ostatniej chwili?

Owszem. Wedle jego wspomnień zatytułowanych „Przymknięte oko Opaczności”, wynika, że nadane przez radio 6 września przemówienie płk. Romana Umiastowskiego – nawołujące mężczyzn do podróży na wschód, gdzie miano formować nowe jednostki Wojska Polskiego – wywarło na nim tak piorunujące wrażenie, że zawędrował aż do Celestynowa. Tam Przybora usłyszał, że radiostacja warszawska wciąż działa i wzywa swoich pracowników, a więc wrócił. Pracował jako spiker do 30 września, kiedy to poszedł w eter ostatni komunikat. Po polsku wygłosił go Małgorzewski, po francusku Maria Stpiczyńska, a po angielsku Przybora właśnie. Z jego wspomnień, które miałam możliwość odsłuchać w radiowym archiwum, dowiedziałam się, że po szczęśliwym powrocie z rajzy poznał się na Zielnej z Jerzym Wasowskim, który był wówczas inżynierem i w amplifikatorni puszczał płyty z jazzem. Relację tę uzupełnia maszynopis Nelly Horeckiej: „Pamiętam kiedyś taką szaloną noc w amplifikatorni. Gębczyński zrobił kawę, a Jurek z Pileckim kontynuując niekończące się rozmowy na temat wówczas rodzącego się jazzu, puścili płyty i zaczęli tańczyć jak dwu Murzynów – było bardzo miło i bardzo głośno, aż zgorzeleni lekkomyślnością sąsiedzi przyszli reklamować, że w Radio tak się weselą podczas oblężenia”.

Przyszły Starszy Pan A. też nie opuścił miasta?

Wasowski nie usłyszał tragicznego w skutkach apelu płk. Umiastowskiego i skoro świt 7 września poszedł na swój dyżur do radia. Rozgłośnie zastał otwartą i pustą, zaś amplifikatornię częściowo zdewastowaną. Zabrał się do roboty i po chwili uruchomił Warszawę II, słowa znów powędrowały w eter.

W redakcji muzycznej pracował Władysław Szpilman...

Horecka zapamiętała, że był oczkiem w głowie Rudnickiego. Z kolei Szpilman swój stosunek do dyrektora zawarł w lakonicznym, ale jakże wymownym zdaniu: „Dowiedziałem się, że radio działa pod dyktando Rudnickiego, który nie uciekł, jak inni, lecz zebrał rozproszonych współpracowników i zorganizował rozgłośnie”.

Jedyną ofiarą śmiertelną z redakcji PR był we wrześniu 1939 r. Michał Jaworski?

Kierował redakcją muzyki rozrywkowej, komponował także muzykę do filmów, m.in. sławny walc „Ty dziś mieszkasz w sercu mym”. Jako oficer rezerwy nie został przez dyrektorów wyreklamowany z wojska, wziął udział w walce, został ciężko ranny i zmarł w Szpitalu Ujazdowskim. Z maszynopisu Marii Ponikowskiej dowiadujemy się, że: „na skutek ran odniesionych podczas pełnienia pracy zmarli inż. Andrzej Guttry, technik Dawid, urzędniczka Rojkówna, pełniąca funkcję sanitariuszki”. Dodałabym jeszcze Jadwigę Bogdziewicz, która wśród gradu pocisków dbała o apro wizację radia i wszystkich, którzy znaleźli w nim schronienie, bo Rudnicki nikomu nie odmawiał pomocy. Ta odważna dziewczyna została rozstrzelana przez Niemców w Palmirach 17 września 1940 r.

Budynek radia ucierpiał w oblężeniu Warszawy?

We wzniesiony w 1911 r. przy ul. Zielnej 25 siedmiokondygnacyjny gmach Bractwa Subiektów Handlowych trafiło 25 września sześć bomb. Cztery okazały się niewypałami, pozostałe zniszczyły dwa studia, odczytowe i muzyczne. Poraska wspominała, że podczas tego piekielnego nalotu wszyscy trzymali się za ręce i czekali na śmierć, bo łatwiej było ginąć razem, poza tym uważali, że jest za co umierać, i byli z tego dumni. Dom przetrwał oblężenie 1939 r. i Powstanie Warszawskie. Nie przetrwał, niestety, budowy Pałacu Kultury i Nauki.

Jak zachowali się wobec radiowców Niemcy?

Istnieją różne wersje. Wedle Małgorzewskiego do rozgłośni przybyli inż. Tauber, sierż. Fastenberg z Ministerstwa Poczty oraz kapitan inżynier Marian Suski jako przedstawiciel dowództwa Armii „Warszawa”. Kiedy padło pytanie: „Kto jest dyrektorem radia?”, Rudnicki zgasił papierosa, założył monokl i powiedział: „Ja jestem”. Wasowski podawał, że przybyły niemiecki oficer mówił do zebranych po francusku, chwalał ich dzielność, zaś Horecka zapamiętała, że „wszedł Niemiec, podniósł łapę i powiedział Heil Hitler, nikt mu nie odpowiedział. Po chwili się darł i walił szpicrutą w stół”. Jak było naprawdę, nie wiemy się chyba nigdy.

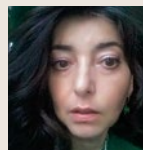
Przedstawienie Teatru TVP odkurza sylwetkę Rudnickiego.

Pochodził z Krakowa, nie miał muzycznego wykształcenia, a stał się najlepszym szefem wydziału muzycznego w Polskim Radiu. To z jego inicjatywy powstały Wielka Orkiestra Symfoniczna, Mała Orkiestra Symfoniczna oraz Chór Polskiego Radia. Świetny organizator, człowiek życzliwy, charyzmatyczny i pełen kultury. Fason stracił tylko raz, tuż po ogłoszeniu przez dyrekcję decyzji o ewakuacji, kiedy z jego ust padło zdanie: „A gównu, nigdzie nie jadę”, co zadecydowało o losach rozgłośni. Był człowiekiem pogodnym, sypał dowcipami, które podczas oblężenia natychmiast rozładowywały atmosferę strachu. Specyficzne poczucie humoru najlepiej oddaje scena z 2 października, kiedy do rozgłośni przyszli Niemcy, a ponieważ właśnie spadł śnieg, więc zaczęli rozmowę z Rudnickim od aury. „U was zawsze taka wczesna zima?” – zagadnął oficer. „Nie, proszę pana, u nas nigdy tak wcześniej nie było zimy, to specjalnie na waszą cześć w tym roku” – odpowiedział śmiertelnie poważnie, a do tego nienaganną niemczyzną, Rudnicki. Niestety, po wojnie nie dane mu było wrócić do pracy w radiu.

Pozostali bohaterowie spektaklu kontynuowali radiową przygodę?

Podczas Powstania Warszawskiego w radiostacji Armii Krajowej „Błyskawica” spikerami byli Przybora i Świętochowski, a w skład zespołu wchodził: Rudnicki, Horecka i Ponikowska. Po wojnie Polskie Radio zasilili: Małgorzewski, Świętochowski, Wasowski, Przybora oraz Szpilman. Niektórzy wrócili do zawodów wyuczonych, jak Poraska, która powróciła do teatru. Zaskakująco potoczyły się losy Stpiczyńskiej – została sekretarką Edwarda Osóbki-Morawskiego i Józefa Cyrankiewicza.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Iwona Ruśka – doktor hab., znawczyni twórczości Władysława Berenta; autorka słuchowisk Teatru PR (m.in. „Odyseja Xiecia”, „Cisza”, „Warszawski wrzesień”, „Widziałem śmierć wszystkich, co kocham”, „Ostatni list”, „Słowo honoru”). Za adaptację dramatu „Lilla Weneda” Juliusza Słowackiego otrzymała Grand Prix XVII Festiwalu „Dwa Teatry – Sopot 2017”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Żydówka w niemieckim domu

Życie pisze najbardziej niesamowite scenariusze. Chana Marcus była Żydówką, która w samym środku okupacji znalazła się w Krakowie. Co robić? Gdzie się schronić? Jak się ratować przed zagładą? Marcus uznała, że „najciemniej jest pod latarnią” i... odpowiedziała na ogłoszenie prasowe: „Niemiec szuka gospodyni domowej”.

Ponieważ mówiła znakomicie po niemiecku – pracę otrzymała bez problemu. Niemiec przyjął ją pod swój dach razem z jej matką córeczką. Pracodawcą okazał się Sepp Wirth. Cwaniak, który dorobił się fortuny na spekulacjach mieniem zagrabionym Żydom. Był to człowiek o wybuchowym temperamencie i skłonności do używania przemocy.

Marcus – która podawała się za żonę polskiego oficera Annę Kwiatkowską – traktował jednak z wielkim respektem. Obserwując jej nienaganne maniery, doszedł bowiem do wniosku, że pochodzi z polskich wyższych sfer, co bardzo mu imponowało. Pani Marcus przeżywała jednak duchowe katusze, podając do stołu Wirthowi oraz odwiedzającym go niemieckim oficerom i dygnitarzom. W każdej chwili obawiała się, że zostanie zdemaskowana.

Gdy Wirth sprowadził sobie

z Niemiec swoją Frau, pani Marcus zatrudniła się w kolejnym niemieckim domu. Tym razem u psychiatry wojskowego Hellmuta Soppa i jego oszałamiająco pięknej żony Toni. Swojemu państwu serwowała na kolację rybę po żydowsku, którą się zjadali. Sama przestrzegała zaś ściśle zasad koszeru. Gdy Toni zapytała ją, dlaczego nie je wieprzowiny, odparła, że jest wegetarianką.

Mimo że w końcu wyszło na jaw, iż Marcus jest Żydówką, dr Sopp nie zadenuncjował jej na gestapo. Ona zaś po wojnie wysyłała mu paczki do więzienia. Sopp został bowiem skazany na 10 lat za to, że w okupowanym Krakowie sterylizował chorych psychicznie.

Pani Marcus po wojnie odwiedziła również Toni. Piękna Niemka rozwiódła się z siedzącym za kratami mężem i zaręczyła z amerykańskim majorem White'em. Wkrótce razem wyjechali do USA. Z kolei Chana Marcus wyemigrowała do Palestyny.

Niesamowite wspomnienia Marus vel Kwiatkowskiej przeczytałem w nowym, bardzo ciekawym, numerze „Karty”. Po zakończeniu lektury utwierdziłem się w opinii, że w historii najciekawsze są indywidualne ludzkie losy. ©©



★★★★★
„KARTA”
104/2020



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pogrzeb Marii Konopnickiej

Z czterech najważniejszych polskich nekropolii dwie znajdują się poza dzisiejszymi granicami kraju (wileńska Rossa i lwowski Łyczaków). Szczególnie ten ostatni idealnie się wpisał w wyznaczoną rolę, na co miało wpływ zarówno ukształtowanie terenu (cmentarz leży na wzgórzach), jak i doskonali twórcy, wśród których nie brakowało najlepszych rzeźbiarzy tamtych lat. W niezliczonych wariantach powtarzają się postacie zasmuconych aniołów, kobiet obejmujących sarkofagi, cierpiących płaczek, symbole smutku, żalu, pociechy, ukojenia i wiary.

Renomę nekropolii tworzyli jednak przede wszystkim ludzie tam pochowani, a lista wybitnych postaci spoczywających na Łyczakowie jest niezwykle długa. Pogrzeby wybitnych rodaków organizowano zresztą z wielką starannością i cieszyły się ogromnym zainteresowaniem.

„Wyrabia się u nas specjalność jedyna w swoim rodzaju – zauważał ironicznie satyryk, Jan Lam. – Oto człowiek może lepiej urodzić się gdzie indziej, lepiej się ożenić, lepiej ochrzcić dzieci, ale nigdzie nie może mieć piękniejszego pogrzebu. Weszło już nawet w modę zapraszać znakomitych ludzi, aby przyjeżdżali umierać we Lwowie”.

Tak też było w przypadku Marii Konopnickiej, której pogrzeb odbył się 11 października 1910 r. Uroczystość przerodziła się w wielką demonstrację

patriotyczną, ale nie obyło się bez nieprzyjemnego zgrzytu. Hierarchowie katolicyści uznali bowiem, że związek zmarłej z malarzką Marią Dulębianką wykluczał katolicki pogrzeb, i zakazali udziału w nim duchowieństwa. Stworzyło to bardzo niezręczną sytuację, trumna ze zwłokami była bowiem wystawiona w krypcie kościoła Bernardynów, a z całego kraju nadchodziły informacje o planowanych nabożeństwach żałobnych podczas lwowskiego pogrzebu. Przy okazji jednak prasa przedrukowywała także listy kondolencyjne napływające do Dulębianki.

Lwowscy hierarchowie pozostali nieprzejeđnani i msza żałobna się nie odbyła. Duchowieństwo nie wzięło udziału w pogrzebie, a jeden z obserwatorów zanotował tylko, że gdy trumnę wynoszono z kościoła, miejscowi „braciszkwowie gdzieś z góry ze szczelin wyglądali klasztornych”. Nie przemawiał także bp Bandurski, natomiast pod pomnikiem św. Jana z Dukli naprzeciwko kościoła zmarłą pożegnał wiceprezydent miasta, Tadeusz Rutowski. Według ostrożnych szacunków w uroczystościach wzięło udział ok. 50 tys. osób, ale najwyraźniej nasze wybitne pisarki tamtej epoki nie miały szczęścia ani w życiu prywatnym, ani do pogrzebów. Wystarczy przypomnieć wcześniejszy o pół roku pochówek Elizy Orzeszkowej w Grodnie. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Wstrząsający wywiad
z białym farmerem z RPA,
którzy przeżył pogrom**

Robert Hasselbusch – **Piekło więzienia Pawiak**

Jerzy Hagmajer – **Szokująca relacja więziennego lekarza**

Piotr Zychowicz – **Polowanie na Yamamoto**

Radostaw Golec – **Anglik królem Polski?**

Sławomir Koper – **Mroczne tajemnice Nienackiego**

Tomasz Stańczyk – **Prawda o Berezie Kartuskiej**

Sławomir Cenckiewicz – **Odwaga germanofila**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Wojna o Arcach

Atak sił Azerbejdżanu na Górski Karabach, 27 września 2020 r. FOT. SPUTNIK/EAST NEWS



Witold Repetowicz
z Armenii i Arcachu

Arcach, znany bardziej jako Górski Karabach, to armeńskie terytorium, które teoretycznie wciąż jest uznawane przez społeczność międzynarodową za część Azerbejdżanu, ale faktycznie należy do Armenii. Erywań jednak go nie anektował, więc formalnie funkcjonuje jako odrębne państwo

Stepanakert, stolica nieuznawanej Republiki Arcachu może zadziwić przyjeżdżającego. Zamiast siermiężnego krajobrazu i skansenu komunistycznej symboliki widać tu szybko rozwijające się, czyste i ładne miasto. Trochę w tym „zasługi” Azerów, którzy w latach 1991–1993 ostrzeliwali je z góry – jęcej nad Stepanakertem Szuszy, niszcząc w ten sposób poprzednią zabudowę. Sama Szusza, stara stolica tego armeńskiego regionu, w 1920 r. była świadkiem jednej z największych masakr dokonanych przez

Turków na Ormianach. W 1992 r. Ormianie ją odbili, ale 27 września 2020 r. na Stepanakert znów spadły azerskie pociski.

Gdy w sierpniu byłem w stolicy Arcachu, widok zrelaksowanych ludzi spacerujących po centralnym placu oraz bawiących się tam dzieci powodował, że trudno było odnieść wrażenie, iż to strefa wojny. – W takiej rzeczywistości żyjemy już ponad 25 lat, więc czego mamy się bać? – powiedział mi Arajik Harutunian, prezydent tej 150-tysięcznej republiki. Ubrany w koszulkę polo spokojnie przechadzał się wśród swoich rodaków w towarzystwie raptem dwóch ochroniarzy.

Arcach to armeńskie terytorium, które teoretycznie wciąż jest uznawane przez społeczność międzynarodową za część Azerbejdżanu, ale faktycznie od 1991 r. należy do Armenii. Erywań jednak nie anektował go, więc formalnie funkcjonuje jako odrębne państwo. Tamtejsi Ormianie swoje problemy zawdzięczają trzem osobom: Atatürkowi, Leninowi i Stalinowi.

GENERAŁ NYZDEH

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej w traktacie z Sèvres zawartym w 1920 r. z pokonanym imperium osmańskim ustalono, że powstanie niepodległa Armenia. Tak się jednak nie stało. Lenin

i Stalin już w 1920 r. w Moskwie dogadali się w sprawie podziału Kaukazu z twórcą nowoczesnej Turcji Kemalem Atatürkiem, i to na zasadach wyjątkowo niekorzystnych dla Ormian. – Oddali Turcji nie tylko Armenię Zachodnią, lecz także znaczną część Armenii Wschodniej, czyli np. Kars. Nie zostawili nam nawet naszej dawnej stolicy Ani, choć dla Turków to tylko bezwartościowe ruiny – powiedział mi w Stepanakercie Karen, pasjonat historii swego kraju. – Co więcej, częścią układów z Turkami było też przekazanie sowieckiemu Azerbejdżanowi Nachiczewania i Górskiego Karabachu, a w zamian Turcy zgodzili się na przyłączenie do Gruzji Adżarii z portem w Batumi – dodał. Nachiczewan, azerska eksklawa, posiadająca małe, ale strategicznie istotne połączenie z Turcją, przez Ormian uznawana jest również za historyczną część ich kraju, a na początku XX w. Ormianie stanowili tam większość mieszkańców (dziś nie ma ich tam wcale).

Sowieci gotowi byli oddać Turkom jeszcze jedną armeńską prowincję, tj. Zangezur, oddzielającą Karabach od Nachiczewania i łączącą Armenię z Iranem. Nie doszło do tego dzięki gen. Gareginowi Nyzdehowi, którego pomnik stanął kilka lat temu w Erywaniu ku wściekłości Rosji. Nyzdeh proklamował tam Republikę Gór-

skiej Armenii. – Dysponował raptem 500 ochotnikami, którzy skutecznie stawiali opór 15-tysięcznym siłom bolszewików. Sowieci stracili dwie trzecie swojego wojska, a Nyżdeh skapitulował dopiero, gdy zagwarantowali mu na piśmie, że Zangezur nie zostanie przyłączony do Azerbejdżanu – wyjaśnił Karen, dodając, że gdyby nie to, teraz Turcja mogłaby anektować i Nachiczewan, i Karabach, i Azerbejdżan, dochodząc do Morza Kaspijskiego.

Nyżdeh udał się następnie na emigrację, a w czasie drugiej wojny światowej organizował Legion Armeński po stronie Niemiec (niewiele z tego zresztą wyszło, bo Hitler Ormianom nie ufał). – Nyżdeh obawiał się, że jeśli Niemcy zajmą Stalingrad, to Turcja uzna, iż ZSRS padło i wkroczy na Kaukaz. A to oznaczałoby nowe ludobójstwo Ormian, więc Legion Armeński miał do tego nie dopuścić – wyjaśnił Armen, emerytowany pułkownik pochodzący z Karabachu. Po wojnie Nyżdeh zwrócił się z propozycją współpracy do Stalina, gdyż ZSRS rozważał wojnę z Turcją i anektowanie terenów oddanych Turcji w 1920 r., czyli m.in. Karsu. Sowieci uwięzili go jednak i w końcu zamordowali, bo wojny z Turcją ostatecznie nie było.

TRAGEDIA ORMIAN

Woltom Nyżdeha trudno się dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę tragiczną historię armeńskiego narodu. W rezultacie prześladowań, mordów i przesiedleń, a w końcu ludobójstwa dokonanego na nich przez Turków w 1915 r., w granicach dzisiejszej Armenii (obejmującej mniej niż 20 proc. terytorium przyznanego według traktatu z Sèvres) pozostało tylko niespełna 3 mln mieszkańców, podczas gdy diaspora ormiańska liczy ok. 12 mln.

Od XVII w., gdy zlikwidowane zostały wasalne wobec Persji armeńskie księstwa na Kaukazie, takie jak obejmujące teren dzisiejszego Arcachu księstwo Chaczen, nowi islamscy władcy zaczęli wysiedlać Ormian i sprowadzać ludność muzułmańską. Efektem tych zmian demograficznych było to, że na początku XIX w., w przededniu przejęcia kontroli nad Armenią Wschodnią przez Rosję, w wyniku jej wojen z Persami i Osmanami w wielu częściach Armenii, w tym w samym Erywaniu, większość stanowili muzułmanie. Sto lat później sytuacja uległa już jednak radykalnej zmianie na korzyść Ormian, którzy powrócili na swoje ziemie.

– Azerowie twierdzą, że nie tylko Górski Karabach, lecz także nawet Erywań jest

ich miastem i go nam odbiorą, bo rzekomo Rosjanie sprowadzili tu Ormian z Syrii w XIX w. Jednak to, do kogo te ziemie zawsze należały, pokazują historyczne budowle, czyli nasze monastypy i chaczkary. A w XIX w. nie było jeszcze żadnych Azerów, tylko Tatarzy kaukaski. Nazwa „Azerbejdżan” powstała dopiero w XX w. – podkreślił Armen. Chaczkary to kamienne płyty z wykutymi na nich krzyżami i pamiątkowymi napisami.

Pierwsze ormiańskie protesty zaczęły się w Górskim Karabachu w 1988 r., co szybko doprowadziło do walk. Eskalacja i w rezultacie regularna wojna zaczęły się w 1991 r., gdy w odpowiedzi na deklarację niepodległości Azerbejdżanu i ogłoszenia przez to nowe państwo likwidacji autonomii obwodu Górskiego Karabachu ten również ogłosił niepodległość.

– Azerbejdżan nie może powoływać się na prawo do integralności terytorialnej, bo Górski Karabach nigdy nie był częścią niepodległego Azerbejdżanu. Ani przed powstaniem ZSRS, ani po jego rozpadzie – podkreślił Karen, gdy wjechaliśmy do Arcachu nową drogą prowadzącą znad jeziora Sewan do Stepanakertu. W czasach przynależności Karabachu do Azerbejdżanu władze tej sowieckiej republiki celowo zaniedbywały infrastrukturę te tereny, by skłonić Ormian do ich opuszczenia. Jednak gdy wybuchła wojna, ponad 70 proc. mieszkańców wciąż stanowili Ormianie. Sowiecki Azerbejdżan szczególnie dbał o to, żeby nie było żadnych połączeń między sowiecką Armenią a Górskim Karabachem. – Z Erywania do Stepanakertu trzeba było jechać okrężną drogą, wjeżdżając do niego od strony wschodniej z Azerbejdżanu. A teraz mamy dwie nowe drogi, wszyscy Ormianie się na nie składali, a już budujemy trzecią – dodał Karen.

Drogi te wiją się serpentynami, ciągnąc się przez malownicze góry. Tuż za oficjalną granicą Armenii pojawia się bajeczny krajobraz potężnych skał otaczających małe wioseczki. Nazwa każdej z nich zaczyna się od słowa „nur”, czyli po armeńsku „nowy”. Ten region to Kelbadżar–Laczin i przed 1991 r. nie był on częścią autonomicznego obwodu Górskiego Karabachu, choć historycznie był częścią armeńskiego księstwa Chaczen. – Gdyby Nyżdeh nie doprowadził do utrzymania Zangezuru w granicach sowieckiej Armenii, to powstanie w Karabachu zakończyłoby się klęską – podkreślił Karen, pokazując mi mapę. Region Kelbadżar–Laczin wciska się między Armenię

oraz Arcach i tylko na południu zwęża się do zaledwie kilkukilometrowego pasa dzielącego Arcach i Zangezur. W latach 20., by jeszcze bardziej skomplikować relacje etniczne, Stalin postanowił stworzyć Czerwony Kurdystan, tj. autonomiczny okręg kurdyjski z siedzibą w Laczin. Twór ten był jednak taką efemerydą, że pomysł został zarzucony. To właśnie przez Zangezur i „drogę życia” przechodzącą przez Laczin trafiało wsparcie z Armenii do Górskiego Karabachu. Ponadto przebiegająca tędy granica z Iranem była przez jakiś czas dla Ormian jedynym oknem na świat, bo pogranicze gruzińsko-armeńskie było zamieszkane przez Azerów. A poza tym Armenia graniczy już tylko z Turcją i Azerbejdżanem.

POWTÓRKA Z 1920 R.?

Ormianie wojnę wygrali, wypierając Azerów nie tylko z Karabachu, lecz także Kelbadżar–Laczin oraz kilku innych azerskich dystryktów istotnych z punktu widzenia strategicznego. W 1994 r. zawarto rozejm, ale konflikt się nie skończył. Zaczęły się ciągnące się w nieskończoność negocjacje pod auspicjami Grupy Mińskiej OBWE. Problem w tym, że Azerbejdżan nie zgadza się na uznanie odłączenia się Górskiego Karabachu, prawa tamtejszej ludności do samostanowienia, w zamian za zwrot pozostałych terenów z wyjątkiem Kelbadżar–Laczin. – Arcach musi mieć połączenie z Armenią, a poza tym tam teraz mieszkają Ormianie, którzy po wybuchu wojny z Azerbejdżanem musieli z niego uciekać przed nowymi pogromami – stwierdził Armen. Władze Arcachu nie zasiedlają natomiast terenów zajętych przez Ormian na wschód od Górskiego Karabachu, co świadczy o gotowości Ormian do ich zwrócenia, jeśli Azerbejdżan pogodzi się ze stratą Karabachu.

Tyle że jest to teraz mało prawdopodobne, zwłaszcza po tym, jak 27 września Azerbejdżan znów zaatakował Górski Karabach. Sytuację komplikuje też bezpośrednie zaangażowanie się Turcji po stronie Azerbejdżanu oraz zbliżenie między Ankarą a Moskwą, która teoretycznie zobowiązana jest do udzielenia pomocy Armenii. Ormianom grozi to powtórką z 1920 r. – Rosja to prostytutka, już w 2016 r. chciała nas sprzedać, dając Azerbejdżanowi zielone światło na atak na nas – powiedział mi jeden z weteranów wojny karabaskiej.



BRUDNA BIELIZNA NETANJAHU

Benjamin i Sara Netanjahu w zagraniczne podróże mają zabierać walizki z brudnymi rzeczami, by w hotelach robić pranie na koszt przyjmującego ich kraju – taką tezę postawił „Washington Post”. Gazeta dotarła do pracownika pensjonatu w Białym Domu, w którym zatrzymali się premier Izraela i jego małżonka podczas ostatniej wizyty. Według tego pracownika są oni jedynymi gośćmi przynoszącymi walizki z brudną bielizną do wyprania. Według raportu gazety także wcześniejsi pracownicy administracji Obamy potwierdzali incydenty dotyczące „masowego” prania. Izraelska ambasada w USA zaprzeczyła tym doniesieniom.

FOT. ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

ENCYKLIKA DYSKRYMINUJĄCA

Papież Franciszek jeszcze nie zdążył opublikować swojej najnowszej encykliki „Fratelli tutti”, a już jest problem. Z tytułem, który w przekładzie znaczy „Wszyscy bracia”. Protestują przeciw takiemu tytułowi m.in. włoska dziennikarka i feministka Franca Giansoldati (protestują też wykładawczyńie, teolożki i inne feministki). Ich zdaniem papież posłużył się językiem „nieinkluzywnym”. Bo napisał tylko o „braciach”, czyli jednocześnie – zdaniem feministek – pominął „siostry”.

OBYWATELU, ZDEJMIJ SPODNIĘ!

W stanie Australii Zachodniej znolizowano prawo, by lepiej radzić sobie z pandemią COVID-19. Ustawa pozwala funkcjonariuszom policji i innym „upoważnionym osobom” na używanie tzw. rozsądnej siły. Mogą więc zatrzymać kogoś, kogo trzeba przebadac lub zaszczepić. Mogą nawet – w celu umożliwienia obserwacji lub badań lekarskich – zdjąć obywatelowi ubranie, a nawet bieliznę, jeśli będzie to konieczne do wykonania szczepienia.

UMARŁ I WYGRAŁ

Pogrobowy sukces w Rumunii. Niejaki Ion Aliman po raz trzeci startował w wyborach na burmistrza miejscowości Deveselu. Zmarł 10 dni przed wyborami. Zgodnie z prawem, skoro żył jeszcze, gdy drukowano karty, to jego nazwisko pozostawiono wyborcom. I tak Aliman zebrał 1020 z 1600 możliwych głosów. Teraz zostaną przygotowane wybory uzupełniające, a do tego czasu rządzić będą zastępcy burmistrza.

SKRYTYKOWAŁ HOTEL I GO ZAMKNĘLI

W Tajlandii trzeba być bardzo ostrożnym. Krytykować monarchy nie wolno – bo za to ludzi się wsadza. Nie wolno nawet skrytykować hotelu. Przekonał się o tym mieszkający tam Amerykanin. W kilku miejscach w sieci opublikował negatywną recenzję hotelu znajdującego się na wyspie Koh Chang. Po kilku dniach został aresztowany. Przewieziono go na wyspę, oskarżono i zamknięto w areszcie. Wydo stał się dopiero, gdy uiścił w przeliczeniu ponad 12 tys. zł kaucji. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Namiestnik Mosbacher

Prawa człowieka to nie ideologia – są one uniwersalne – poucza Polaków Georgetowne Mosbacher w liście otwartym opublikowanym na stronie ambasady USA, a podpisanym przez 50 ambasadorów w Polsce. Wprost pojawia się w nim zwrot o „uświadamianiu opinii publicznej”, jakby Polacy wymagali specjalnego szkolenia z nowoczesnego myślenia. Pani ambasador w skandalicznym wywiadzie dla WP grozi też tubylcom zabranianiem paciorków: albo Polska zaakceptuje zachodnią wersję „postępu”, albo pożegna się z wojskami USA czy inwestycjami.

Za ciągle strofowanie rządu i narodu polskiego szef naszego MSZ powinien wezwać na dywanik Mosbacher, by nakazać jej porzucenie beczelnego postkolonialnego tonu. Warto uświadomić dyplomatkę-amatorce o zapisach konwencji wiedeńskiej, a także pouczyć ją, że w kraju, w którym przez dekady zaborcy i ambasadorzy obcych mocarstw próbowali narzucać swą wolę siłą, próba wymuszenia zachowań poprzez prymitywne szantaż jest złą strategią. USA mogą przez nią stracić jednego z ostatnich wiernych sojuszników w Europie.

Polska powinna też wreszcie wprowadzić podatek cyfrowy, aby

wszyscy „inwestorzy” z USA mogli nie tylko zarabiać na Polakach, lecz także płacić tu podatki.

Dobrze byłoby też poinformować panią Georgetowne, a także np. brytyjską ambasador Annę Clunes – która swą misję zaczęła od pouczenia kraju gospodarzy – że istniejąca od ponad tysiąca lat Polska w przeciwieństwie do USA czy Wielkiej Brytanii (w której w połowie XX w. kary za homoseksualizm odsiadywało ponad tysiąc osób) nigdy nie miała w swych kodeksach kar przeciw gejom czy lesbijkom. I od wieków traktuje osoby homoseksualne z szacunkiem. Szacunkiem należnym wszystkim Polakom. ©

NA KONCERT GINTROWSKI

*A ja mam
ci po was
coś wstać*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU





Jacek Przybylski

Takiej oferty publicznej warszawska giełda jeszcze nie widziała. Do inwestorów trafi w sumie 213,5 mln akcji Allegro. Cenę jednej akcji podczas zapisów wyznaczono na 43 zł. Pod względem kapitalizacji Allegro zdetronizuje więc zapewne dotychczasowego lidera: spółkę CD Projekt

Największa w Polsce internetowa platforma handlowa – umożliwiająca konsumentom robienie zakupów, a kolekcjonerom i zawodowym handlarzom sprzedawanie najróżniejszych przedmiotów – na warszawskim parkiecie ma zadebiutować już 12 października. W ofercie publicznej jej akcje sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Już pierwszego dnia budowania tzw. księgi popytu zgłosili się chętni na całą pulę przy cenie maksymalnej. Po kilku dniach – jak donosił PAP Biznes – liczba chętnych była zaś 10-krotnie wyższa niż liczba oferowanych akcji. Allegro zwiększyło więc liczbę udziałów sprzedawanych w pierwotnej ofercie publicznej o 26,83 mln sztuk do 214 658 285 akcji.

Po zakończeniu zapisów 28 września spółka uplasowała więc wszystkie oferowane akcje po cenie maksymalnej (widełki wynosiły 35–53 zł). Inwestorzy detaliczni otrzymają ponad 9,3 mln akcji. Poza tym – również po cenie 43 zł za akcję – inwestorom instytucjonalnym przypadnie 236,2 mln sztuk akcji. To oznacza, że całkowita wartość IPO wyniesie rekordowe 10,6 mld zł (lub 9,2 mld zł, jeżeli nie zostanie wykonana opcja dodatkowego przydziału). Wcześniej miano rekordowego debiutanta na warszawskim rynku należało do spółki PZU, która w roku 2010 sprzedała swoje akcje za 8,07 mld zł. Do największych IPO należały także m.in.: oferty PGE (5,97 mld zł w 2009 r.), JSW (5,37 mld zł w 2011 r.), Play (4,37 mld zł w 2017 r.) czy Tauronu (4,21 mld zł w 2010 r.).

NA GIEŁDOWYM PODIUM

W wolnym obrocie znajdzie się 20,9 proc. akcji handlowego giganta. Ka-



Debiut wszech czasów

pitalizacja debiutanta obliczona na podstawie ustalonej ceny wynosi 44 mld zł. Spółka już w dniu debiutu może więc wyprzedzić dotychczasowego lidera, czyli spółkę CD Projekt. Wartość popularnego wśród inwestorów producenta gier komputerowych w zeszłą środę wynosiła 40,476 mld zł.

Dopiero za Allegro i CD Projekt znajdują się tacy giganci jak PGNiG (kapitalizacja: 29,365 mld zł), PKO BP (26,412 mld zł), KGHM (23,040 mld zł), Dino (22,3 mld zł), PZU (21,41 mld zł), PKN Orlen (19,61 mld zł) czy Cyfrowy Polsat (17,28 mld zł).

Niewykluczone więc, że władze GPW zdecydują się na nadzwyczajną korektę i spółka już w dniu debiutu znajdzie się w indeksie WIG20, skupiającym największe firmy notowane na warszawskim parkiecie. Jeżeli tak się nie stanie, wówczas spółka może znaleźć się w indeksie WIG20 później, np. w ramach grudniowej korekty kwartalnej lub po lutowej rewizji rocznej.

Nerwowy czas na giełdach, a także stosunkowo wysoka wartość wskaźnika cena/zysk sprawiają, że nie wiadomo, czy spółka da zarobić na debiucie i jak potoczą się losy kursu Allegro w ciągu najbliższych miesięcy. Wiadomo jednak, że wiodący akcjonariusze są zainteresowani wzrostem wartości kursu, ponieważ nie mogą sprzedać na parkiecie swoich akcji przez 180 dni od debiutu. Kupnem akcji polskiego giganta branży e-commerce mogą być także zainteresowani zarządzający funduszami akcji, w tym funduszami zagranicznymi. Zagrożeniem dla wyceny akcji jest z kolei rosnąca konkurencja ze strony Amazona, a także polskich serwisów takich jak Auchka.com, Merlin.pl etc.

W najbliższych tygodniach nie można również wykluczyć wystąpienia potężnej korekty na światowych parkietach związanej z obawami inwestorów o wynik listopadowych wyborów w Stanach Zjednoczonych czy o rozwój pandemii (ta może być jednak korzystna z punktu widzenia zysków podmiotów e-commerce).

Na giełdowym debiucie Allegro zyskać mają też pracownicy handlowego giganta – każdy zatrudniony ma otrzymać akcje o wartości ok. 10 tys. zł.

OD START-UPU DO LIDERA

Podobnie jak w przypadku wielu amerykańskich gigantów giełdowych również historia Allegro zaczęła się

w piwnicy (w USA piwnic jest mniej, więc rolę start-upowych piwnic odgrywają przydomowe garaże). Pomysłodawcą polskiej platformy internetowego handlu był Arjan Bakker, a programistą Tomasz Dudziak. Poznańska firma Surf Stop Shop założona została w grudniu 1999 r. Serwis miał się nazywać Zatoka, ale ponieważ nazwa ta była już zastrzeżona, powstało Allegro.

44 mld zł

**TYŁE WYNOSI KAPITALIZACJA ALLEGRO
OBLICZONA NA PODSTAWIE USTALONEJ CENY**

Początkowo firma mieściła się w piwnicy hurtowni komputerowej, a następnie w dwóch mieszkaniach na poznańskich Jeżycach. W początkowym okresie działalności platformy w ofercie było mniej niż pół tysiąca przedmiotów, a każdego dnia rejestrowało się zaledwie kilku nowych użytkowników. Potrzebne do działania serwisu oprogramowanie mieściło się zaś na dyskietce. W 2003 r. liczba użytkowników odwiedzających platformę przekroczyła milion miesięcznie. Obecnie Gemius/PBI ocenia, że serwis każdego miesiąca odwiedzany jest średnio przez ok. 18 mln użytkowników. Liczba odsłon szacowana jest na ok. 1,5 mld miesięcznie, a co minuta na platformie pojawia się niemal 100 nowych produktów: od butów do perfum.

Pierwszym produktem wystawionym na Allegro była kamera internetowa. W ciągu 20 lat działalności w serwisie pojawiło się też wiele nietypowych aukcji – od roztopionego bałwana w butelce za 30 zł przez słoik powietrza z Podlasia za 150 zł, młotek do wybijania głupich pomysłów za jedyne 8,99 zł do woreczka powietrza, którym na koncercie w Łodzi w 2013 r. oddychał idol nastolatek Justin Bieber. W 2016 r. na aukcję trafił też pasztet białostocki, który odbył 10 lotów, był w pięciu państwach (w tym w Brazylii, we Włoszech, w Argentynie i w Chile) i został sprzedany na licytacji za 485 zł.

W marcu roku 2000 polski serwis aukcyjny za 75 tys. dol. kupiła brytyjska spółka QXL.com PLC. Początek XXI w. obfitował w różnego rodzaju zmiany wła-

ścielskie. Na początku 2011 r. powstała zaś Grupa Allegro, skupiająca spółki QXL Poland, OtoMoto, Ceneo, Bankier oraz Internet Service. W roku 2016 Grupa Allegro za 3,25 mld dol. (równowartość ok. 13 mld zł) kupiły fundusze Cinven, Permira oraz Mid Europa Partners.

W ciągu dwóch dekad spółka przekształciła się z lokalnego start-upu w gracza e-commerce europejskiego formatu, przygotowanego do konkurencji z takimi gigantami e-handlu jak brytyjski eBay, amerykański Amazon czy chińska Alibaba.

Allegro bardzo dobrze radzi sobie także podczas pandemii koronawirusa. W pierwszym półroczu spółka odnotowała wzrost sprzedaży o 13 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku 2019. Zakupy za pośrednictwem tej platformy e-commerce zrobiło aż 12,3 mln osób, liczba aktywnych sprzedawców wyniosła zaś nieco ponad 117 tys. Skonsolidowany zysk netto Allegro.eu w pierwszym półroczu 2020 r. wyniósł 289,7 mln zł wobec 195,7 mln zysku w pierwszej połowie roku 2019.

REANIMACJA RYNKU PIERWOTNEGO?

Zyski spółki mają szansę nadal szybko rosnąć, ponieważ polska platforma handlowa wciąż dynamicznie się rozwija. Październikowy debiut Allegro daje też szansę warszawskiej giełdzie na przyciągnięcie nowych inwestorów, poprawę fatalnej statystyki wartościowych debiutów. Niemal zamarły one, gdy skończyły się wielkie i głośnie prywatyzacje spółek należących do Skarbu Państwa, przez co wśród 20 spółek w indeksie WIG20 jedynie cztery pojawiły się w drugiej dekadzie obecnego wieku.

Plany giełdowych debiutów już ogłosiło kilka kolejnych dużych spółek. Prospekt emisyjny, a więc dokument, który otwiera drogę do wejścia na warszawski rynek, do Komisji Nadzoru Finansowego wysłali już w lipcu obecnego roku przedstawiciele spółki Canal+ Polska, której wycena może oscylować w okolicach 4 mld zł. Jest więc szansa na rozbudzenie rynku pierwotnego na głównym rynku GPW i ponowne przyciągnięcie do warszawskiej giełdy większej liczby drobnych polskich inwestorów. Zwłaszcza że zerowe stopy procentowe i nadmuchane ceny mieszkań mogą skłaniać Polaków do rozważenia giełdowych inwestycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Minister rolnictwa już kilka miesięcy temu musiał odpowiadać dziennikarzom na pytania o ewentualną dymisję. „Powieм szczerze, że nie powoduje to u mnie palpitacji serca” – mówił „Do Rzeczy” na początku sierpnia pytany o pogłoski o dymisji. „Może to wyświechtany slogan, ale bycie ministrem to pewien etap, zmiany w rządzie zachodzą, są rekonstrukcje wynikające z nowych sytuacji, np. szukania koalicjanta. Jeśli więc będzie decyzja premiera czy partii, że mam zostać przesunięty do jakichś innych zadań, to zajmę się czymś innym” – uciął. Chociaż jednocześnie podkreślał już wówczas, że miał swój wkład w to, iż Andrzej Duda ponownie wygrał wybory prezydenckie.

Nie jest więc przypadkiem, że pojawiły się spekulacje, iż po dymisji, która nastąpiła w ubiegłym tygodniu, ten polityk przejdzie do Kancelarii Prezydenta.

Nie jest też tak, że to sprawa tzw. piątki dla zwierząt zachwiała pozycją Ardanowskiego, choć jawne przeciwstawienie się własnemu obozowi z pewnością go nie wzmocniło. Został przecież, jako jeden z 14 posłów głosujących przeciw nowelizacji de facto likwidującej możliwość hodowli zwierząt futerkowych, zawieszony w prawach członka PiS. Jednak już wcześniej miał kłopoty we własnej partii. I wiązały się właśnie z podejściem do zwierząt.

DZIKIE KROWY I „EKOTERRORYZM”

Zapewne niewiele osób pamięta sprawę zdziczałego stada krów z Deszczna w województwie lubuskim. Ich właściciel nie dbał o zwierzęta i nic sobie nie robił z nakazów inspekcji weterynaryjnej. Krowy latami żyły więc, jak chciały, zdziczały i rozmnożyły się – stado liczyło blisko 200 sztuk. Formalny właściciel prawny dostał nakaz uboju, ale nie miał na to pieniędzy. Te znalazły się w ubiegłym roku w resorcie rolnictwa. I wybuchła burza. Opinia publiczna mocno sprzeciwiała się ubojowi.

Pod koniec maja Jan Krzysztof Ardanowski wystąpił w TVP i ogłosił, że stado nie pójdzie pod nóż. – Podjąłem ryzyko i krowy będą żyły – zapewnił. Dodał, że na jego decyzję wpłynęły prośby Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy. Za kulisami mówiło się, że nie były to prośby, ale nakaz prezesa PiS. Miał się przejąć losem krów do tego stopnia, że



Łukasz Zboralski

Jan Krzysztof Ardanowski bronił rolników przed „ekoterrorystami”, a teraz chciał ich obronić przed własnym rządem. Stracił stanowisko

Rolnik na froncie

Ardanowskiemu już wówczas groziła dymisja ze stanowiska.

Podejście do zwierząt zdecydowanie różni ministra rolnictwa od szefa jego partii. Być może dlatego, że Ardanowski sam jest rolnikiem. Wraz z żoną w Korbie niedaleko Torunia prowadzi 14-hektarowe gospodarstwo (dwa lata temu wycenił je w oświadczeniu majątkowym na 1,6 mln zł). Jest też rolnikiem

z wykształcenia – ukończył studia rolnicze na Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy. W latach 90. był szefem Krajowej Rady Doradztwa Rolniczego, a od 2003 r. szefował Krajowej Radzie Izb Rolniczych w Warszawie.

Twierdzi, że człowiek ma religijnie umotywowane prawo podporządkowywania sobie zwierząt, w tym ich używania. „Osobiście uważam, że każdy gatunek



zwierząt można hodować i człowiek ma prawo z tego gatunku robić użytek. To jest biblijne prawo czynienia sobie ziemi poddaną i przekonanie, że człowiek jest panem stworzenia. Oczywiście trzeba zwierzęta hodować tak, żeby żyły w adekwatnych do swoich wymagań warunkach” – mówił w rozmowie dla „Do Rzeczy”.

To zresztą szersze podejście do całej przyrody. To właśnie Ardanowski wraz z grupą posłów zaproponował nowelizację, do której przyłgnęła potem nazwa od nazwiska ówczesnego szefa Ministerstwa Rolnictwa, czyli „lex Szyszko”. Wówczas umożliwiono ludziom wycięcie drzew na własnej działce bez wcześniejszego pozwolenia o to urzędników i bez groźących wielkich finansowych kar. Jan Krzysztof Ardanowski był w 2016 r. sprawozdawcą tego projektu przed Senatem. Tłumaczył tam wówczas: – Poczucie bardzo mocno zakorzenione w polskim społeczeństwie: „My home is my castle” jest wystawiane

na ciężką próbę w związku z tym, że nie można dysponować w określonych granicach swoją własnością.

Pod naciskiem mediów, w których roilo się zresztą od zmanipulowanych informacji o „rzezi drzew”, PiS potem wniósł poprawkę, która znów nakazuje zgłaszanie urzędnikom zamiaru wycięcia własnego drzewa.

Ardanowski twardo stawał też po stronie rolników w sporach z organizacjami prozwierzęcymi. Nie podoba mu się, że „ekoterrorysty” potrafią zastraszać rolników tylko dlatego, że ich zdaniem zwierzęta źle wyglądają. Przytaczał anegdoty o problemach hodowcy krów mlecznych, które aktywiści uznali za zagłodzone, tymczasem ogólna wizerunkowa „chudość” i wystające kości są po prostu cechą charakterystyczną takich gatunków. „Właściciele zwierząt w Polsce są jedyną grupą społeczną, której nie policja, nie jakaś służba państwowa, ale inny obywatel może zabrać własność – psa, kota, krowę. To jest niedopuszczalne” – mówił „Do Rzeczy”, gdy tłumaczył powołanie w resorcie pełnomocnika ds. ochrony zwierząt. To on miał analizować zarzuty organizacji zajmujących się zwierzętami oraz wypracować nowe prawo certyfikowania takich organizacji.

TRAMPOLINA I PUŁAPKA

Jan Krzysztof Ardanowski polityką zajął się jeszcze na studiach w latach 80. Działal w NZS i brał udział w studenckim strajku. Po upadku PRL wkroczył do samorządu, wiążąc się najpierw z PSL-Porozumieniem Ludowym, a potem z AWS. W 2001 r. wstąpił do PiS i gdy cztery lata później partia ta wygrała wybory, jego polityczna kariera nabrała rozmachu – w rządzie PiS-LPR-Samoobrona został wiceministrem rolnictwa. Po kolejnych, przegranych przez PiS wyborach Ardanowski odnalazł się jako doradca ds. wsi i rolnictwa ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W 2011 r. dostał pierwsze miejsce na lokalnej liście PiS w wyborach do parlamentu i został posłem.

Kiedy minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel zaczął spisywać się słabo – wytykano mu brak działań w sprawie choroby ASF zagrażającej polskim świniom, a rolnicy byli wściekli na organizację wypłat uniijnych dopłat i brak wsparcia podczas suszy – w czerwcu 2018 roku zastąpił go właśnie Jan Krzysztof Ardanowski.

Ze sprawą „futerkową” Ardanowski pierwszy raz zmierzył się jeszcze

jako poseł i był przeciwny nowelizacji. W 2017 r. publicznie opowiadał, że dla niego hodowanie zwierząt po to, żeby je zjeść, nie różni się od hodowania ich po to, by wykorzystać ich futra w przemyśle odzieżowym. Bronił też możliwości uboju rytualnego. Przypominano wówczas, że „Newsweek” ujawnił, iż razem z innymi politykami Ardanowski był ekspertem Fundacji Wsparcia Rolnika „Polska Ziemia”. Szefem tej organizacji jest hodowca norek Szczepan Wójcik. Ardanowski zarzekał się, że nie wie nawet, do kogo należała fundacja, i że tylko poproszono go o wyrażenie opinii – robił to nieodpłatnie.

Trzy lata temu Ardanowski i inni przeciwnicy zakazu hodowli zwierząt futerkowych w PiS triumfowali. Nowelizacja nie została przyjęta, hodowcy z tej branży odetchnęli. Nie jest ich wprawdzie wielu, bo według najbardziej aktualnych szacunków takich ferm jest w Polsce ok. 800 (w tym czasem wiele należy do jednego właściciela), ale Polska jest i tak drugim w Europie producentem skór zwierząt futerkowych.

Tym razem, choć Ardanowski nie zmienił swoich zapatrywań, to zmieniła je partia, dzięki której dotarł aż do fotela ministra. Po dokumentalnym filmie „Krwawy biznes futerkowców” Janusza Schwertnera z Onetu nowelizacja zakazująca takich hodowli została szybko przepchnięta przez Sejm. PiS uznał, że Polska tak jak wiele krajów wcześniej musi zakazać takiej hodowli. Zrobiły to m.in. Wielka Brytania, Austria, Holandia, Serbia, Słowacja, Słowenia, Norwegia, Czechy (są też kraje, które wprowadziły takie obostrzenia, że hodowla norek jest nisko opłacalna, i fermy zaczęły znikać – to Niemcy, Szwajcaria, Szwecja i Włochy).

Oliwy do ognia wewnątrz obozu władzy dołało na pewno ujawnienie przez Onet listu Ardanowskiego rozesłanego do polityków PiS w sprawie tzw. piątki dla zwierząt. Przywołał w nim sukces Andrzeja Dudy na wsi i straszył, że po zmianie prawa prawica wyrządzi sobie takie szkody na prowincji, których nie da się już politycznie odrobić przed kolejnymi wyborami.

Jego ostrzeżeń w PiS nikt nie posłuchał. A w ubiegłą środę, gdy w Warszawie trwał protest rolników, na nowego ministra rolnictwa i leśnictwa wyznaczony został Grzegorz Puda. To poseł PiS, który popierał ustawę „antyfuterzarską”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy specjalny podatek od mięsa?

Nie wiem, czy ustawa znana pod nazwą „Piątka dla zwierząt” okaże się wstępem do próby wyeliminowania mięsa także z naszych, polskich jadłospisów, co przecież niewykluczone – tym bardziej że akcja przeciw jego smakoszom trwa już w najlepszym, a raczej w najgorszym. Uderzenie idzie z różnych stron, w tym z dwóch głównych – z jednej szturm przypuszczają wyznawcy religii globalnego ocieplenia, wskazujący na produkcję mięsa jako na jeden z głównych czynników emisji CO₂, z drugiej atakują miłośnicy opacznie rozumianego dobra zwierząt, mający dziwną skłonność do ich humanizowania, wręcz nadawania im cech (a więc i praw?, praw bez obowiązków?) bez mała ludzkich.

Pierwszym krokiem do osiągnięcia celu długofalowego – usunięcia mięsa z naszych talerzy – jest postulowane coraz częściej obłożenie jego produkcji specjalnym podatkiem – na wzór podatku cukrowego, który w 2021 r. zacznie obowiązywać również w Polsce. Organizacje zrzeszone w inicjatywie True Animal Protein Price już zgłosiły w europarlamencie pomysł wprowadzenia takiego specjalnego podatku od mięsa. Inne domagają się rezygnacji ze wspierania przez UE produkcji zwierzęcej i przekierowania unijnych dopłat wyłącznie na produkcję roślinną; jak wprost deklaruje europoseł Sylwia Spurek – musimy odejść od

finansowego wspierania produkcji mięsa, mleka i jajek. Jeszcze inne organizacje żądają obłożenia produkcji mięsa takimi samymi opłatami od emisji CO₂, jakimi obłożone jest wydobywanie węgla – tak horrendalnymi, że właśnie, na naszych oczach, wykańczają górnictwo w UE, w tym w Polsce. I w dodatku UE nie byłaby w tym przypadku pionierem – w Nowej Zelandii już zdecydowano, że opłaty za emisję CO₂ od produkcji mięsa będą tam obowiązywać od roku 2025.

Sygnałem, że sądne dni dla smakoszy pieczeni, schabowego, sznycła, rumsztyku i golonki naprawdę nadciągają, niech będzie wiadomość, że z ogłoszonej w połowie roku strategii Komisji Europejskiej, zatytułowanej „Od farmy do stołu”, podobno dosłownie w ostatniej chwili usunięto zapis o potrzebie zaprzestania wspierania produkcji i konsumpcji mięsa. Zapis na razie dość ogólny, czyli jeszcze bez najpierw sugerowanych, a krótko potem – unijnym zwyczajem – niemal siłą narzucanych rozwiązań. Wszelako znając determinację ekoszańców i tradycyjną – w stosunku do nich – uległość eurokratów, można uznać, że noga w drzwi została już włożona. I że jesteśmy na drodze do wypowiedzenia wojny totalnej wszystkim, którzy mięso produkują, i którzy je – z apetytem! – zjadają.

A że głód jest złym doradcą, nie warto czekać na wydaną nam – mięsożercom – walkę o pustym żołądku; pora szybko „wrzucić coś na ruszt”! ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Koniec z węglem – i co dalej?

Stara teza głosi, że jeśli istnieje poważny problem, to rozwiązać może go tylko ktoś – polityk, rząd, decydent – uznawany za jastrzębia w danej sprawie. Na przykład jeśli dwa państwa są na krawędzi wojny, to jedynie dwaj najbardziej asertywni politycy mogliby się w tej sytuacji trwale dogadać.

Być może prawdziwości tej tezy dowodzi porozumienie o zamknięciu kopalń Polskiej Grupy Górniczej, które rząd PiS wynegocjował właśnie z górnikami PGG. Sprawa zniknęła gdzieś w tle rządowych przetarasowań, a przecież jest naprawdę przełomowa. Ale też naprawdę kosztowna.

Nagłówki, mówiące o końcu polskiego górnictwa do 2049 r., są trochę przesadzone – mowa bowiem tylko o PGG, co prawda największym górnym koncernie w Polsce. Faktycznie jednak pierwszy raz pojawiła się konkretna data. Prawda jest zaś taka, że rząd za nasze pieniądze spokój górników po prostu kupił. Kopalnie PGG nie staną się w cudowny sposób opłacalne. Skończy się udawanie, że sobie radzą. Owszem, mają działać, ale będą dotowane, a zatrudnienie i wydobywanie systematycznie zmniejszane. Rząd chce przekonywać Brukselę, która musi się na taką pomoc publiczną zgodzić, że do czasu wygaszenia traktujemy górnictwo jako branżę zapewniającą Polsce bezpieczeństwo energetyczne. Gdybyśmy bowiem przestawili się jak najszybciej na gaz, stalibyśmy

się energetycznie całkowicie zależni od zagranicznych dostawców. Symboliczne jest jednak, że Ostrołęka C, która miała być ostatnim budowanym w Polsce energetycznym blokiem węglowym, będzie blokiem gazowym.

Wszystko świetnie, ale skądś przecież prąd czerpać musimy

Wszystko świetnie, ale skądś przecież prąd czerpać musimy. Trzeba być kompletnie nieświadomym, żeby sądzić, że da się go w Polsce produkować w większości ze źródeł odnawialnych, które zresztą też nie są środowiskowo neutralne: i panele słoneczne (w naszym klimacie na dużą skalę wątpliwe, sensowne zaś jako energetyka prosumencka), i siłownie wiatrowe niszczą krajobraz. Czyli pozostaje atom. Ten sam atom, którego lokalizacji przez osiem lat swoich rządów nie wyznaczyła Platforma Obywatelska i, jak dotąd, przez pięć lat Prawo i Sprawiedliwość.

Jak to się skończy? Nie chcę być złym prorokiem, ale będę: gdy zmuszeni będziemy z powodu Zielonego Ładu zamykać nasze elektrownie węglowe, będziemy musieli zacząć kupować „zieloną” energię u sąsiadów. A ceny poszybują jeszcze bardziej w górę. ©

Dobra wiadomość dla polskiej gospodarki

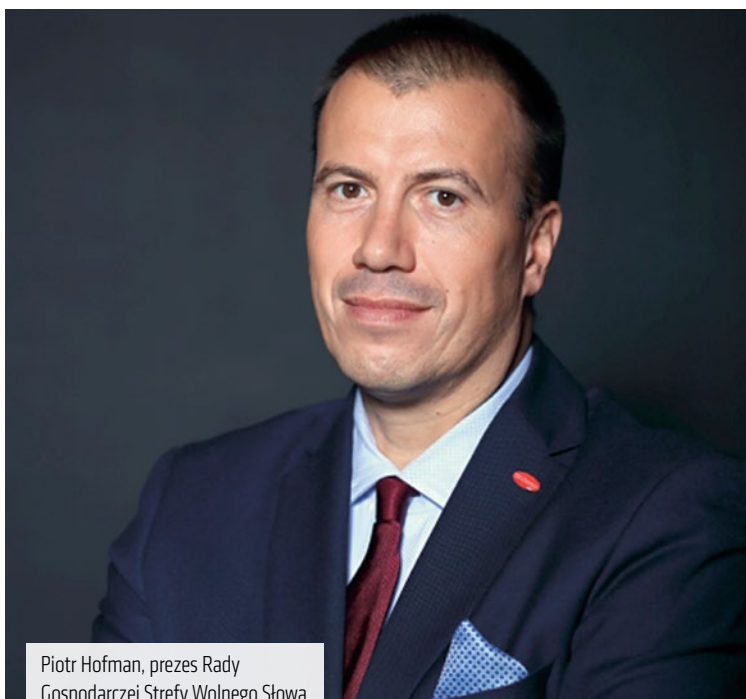
Wzalewie negatywnych informacji gospodarczych, jakie od czasu wybuchu pandemii koronawirusa nieustająco pojawiają się w różnych serwisach, na szczęście są i pozytywne. Być może w ostatnim czasie nie ma ich zbyt wiele, więc tym bardziej warto zauważyć i docenić te, które do nas docierają. Jedną z takich pozytywnych informacji

Polskiej gospodarki nie ominęły rzecz jasna skutki wiosennego światowego lockdownu. Niemniej analitycy z Fitch Ratings przewidują, że choć w całym 2020 r. PKB Polski spadnie o 3,5 proc., to już w 2021 r. nasza gospodarka powróci na ścieżkę wzrostu z dynamiką PKB w wysokości 4,5 proc. oraz 3,3 proc. w 2022 r., czemu sprzyjać będą wzrost inwestycji oraz konsumpcja prywatna.

możliwość ponownego zamrożenia gospodarki. Po wielokrotnych zapewnieniach przedstawicieli rządu możemy śmiało założyć, że drugi lockdown już nam nie grozi. To bardzo dobrze. Drugą niezwykle istotną kwestią jest to, by rząd nie popadł teraz w pułapkę fiskalizmu i przykręcania przedsięwzięciom śruby. A to, że takie pomysły pojawiają się w przestrzeni medialnej, nie jest żadną tajemnicą. Ovatowanie usług finansowych, wprowadzenie CIT-u dla spółek komandytowych, pełne oskładkowanie umów-zleceń, zapowiedź kolejnych podwyżek akcyzy, podatek od usług cyfrowych, tzw. opłata cukrowa, podatek od deszczu... To przykłady z ostatnich tygodni. A przecież temat poluzowania gospodarczego, którym „grali” politycy wszystkich opcji podczas kampanii prezydenckiej, nie pojawił się znikąd. To coś, co w perspektywie stawiania na nogi polskiej gospodarki po koronakryzysie wydaje się czymś niezbędnym. Dodatkowo regulacje, zwiększanie obciążeń podatkowych i dokręcanie śruby sprawią, że pozytywny klimat przysnie jak bańka mydlana.

Wielu ekonomistów oraz przedsiębiorców podkreśla, że reset po pandemii to doskonała okazja, by w podatkach wprowadzić wreszcie realne zmiany. Korzystne nie tylko dla ludzi biznesu, lecz także dla wszystkich podatników. Liczymy, że rząd dostrzeże tę okazję. Co więcej, mamy nadzieję, że kwestia wprowadzenia SLIM VAT czy zapowiedź tzw. estońskiego CIT zwiastują pozytywne zmiany w tym obszarze. Kierunek jest jak najbardziej słuszny i pożyteczny.

**Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarczej-sws.pl
www.fpg24.pl**



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

dla całego polskiego biznesu jest wiadomość, że agencja Fitch Ratings poinformowała o podtrzymaniu ratingu Polski na obecnym poziomie A-. Jego perspektywa także została utrzymana na poziomie stabilnym.

– Rating A- Polski odzwierciedla jej zdyspersyfikowaną gospodarkę z historią stabilnego wzrostu i ram polityki gospodarczej wraz z członkostwem w UE. Przeciwwagą jest niższy poziom PKB per capita oraz stosunkowo wysokie (choć malejące) zadłużenie zagraniczne netto w porównaniu z innymi krajami z grupy porównawczej kategorii A- – informuje Fitch Ratings.

To jest bardzo ważny komunikat puszczony w świat biznesu – że mimo wzrostu zadłużenia i kłopotów związanych z zamrożeniem gospodarki Polska powinna w miarę szybko wrócić na tory stabilizacji. To sygnał dla inwestorów, którzy w obecnej sytuacji poturbowanej koronakryzysem mogą śmiało rozważać rozwój biznesu nad Wisłą. Ci inwestorzy, czemu trudno się dziwić, patrzą na całokształt. Na rankingi czy nagłówki w serwisach informacyjnych. I na tej podstawie analizują bezpieczeństwo inwestycji i klimat dla przedsiębiorcy...

Wśród największych zagrożeń agencja Fitch Ratings wskazuje

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG JET 90 PREMIUM

Brak płaczącego się kabla, niewielka waga oraz niezła moc ssania, zwłaszcza w trybie maksymalnym – to największe zalety pionowego bezprzewodowego odkurzacza marki Samsung.

Pandemia sprawiła, że wiele osób dużo więcej czasu spędza w domu. I nagle odkrywa, że domowe biuro połączone z tradycyjnym mieszkaniem wymaga częstego sprzątnia. Dlatego do naszych testów trafił najnowszy model Jet 90 premium, który – np. obok Dysona V11 Absolute Extra Pro – uznawany jest za jeden z najlepszych bezprzewodowych odkurzaczy dostępnych obecnie na rynku.

Samsung Jet 90 Premium waży 2,7 kg i jest wyposażony w solidny zestaw dodatkowych szczotek i nakładek, które pozwalają dotrzeć do trudno dostępnych zakamarków. Ich składanie i rozkładanie jest bajecznie proste. Dobrą wiadomością dla alergików jest zastosowanie zaawansowanego pięciowarstwowego systemu filtracji HEPA, który – według deklaracji producenta – jest w stanie zatrzymać nawet 99,999 proc. alergenów i cząstek kurzu. Filtr można regularnie myć pod bieżącą wodą.

Pionowy odkurzacz może sprzątać w trzech trybach pracy: minimalnym, pośrednim oraz maksymalnym. W tym ostatnim dzięki mocy ssącej wynoszącej 200 W oraz minimalizującej straty ssania technologii Jet Cyclone testowany odkurzacz zaskakująco przyzwoicie radzi sobie również z czyszczeniem dywanów, a także z szybkim



wciąganiem bezpośrednio do pojemnika włosów, sierści etc. Przełączanie między trybami jest bardzo proste: wystarczy nacisnąć przycisk „+” lub „-”. I już.

Czas ładowania wymiennej baterii od 0 do 100 proc. wynosi ok. 3 godzin. Całkiem niezłe.

Minusy? Chociaż deklarowany przez producenta czas pracy na jednym ładowaniu wynosi godzinę, to w trybie o największej mocy silnika czas sprzątnięcia spada do zaledwie 6 minut. Jeżeli więc ktoś ma w domu trzy psy i pięć kotów, to koniecznie powinien dokupić oddzielny akumulator (w zestawie znajduje się pełniący funkcję stojaka wolno stojąca stacja ładująca, która może zasilać dwie baterie jednocześnie). Brakuje również szczotki przeznaczonej specjalnie do dywanów. Posiadaczom średnich i dużych domów przydałby się też nieco większy pojemnik na śmieci (w testowanym modelu jego pojemność wynosi 0,5 l).

Mimo tych wad Samsung Jet 90 Premium stanowi udany kompromis między dużą mocą odkurzaczy przewodowych a wygodą modeli bez ciągnącego się za nimi kabla. Niewielka waga sprawia, że można sprzątać częściej, dzięki czemu sprzęt ten może dać radę jako jedyny odkurzacz w domu. Ci, którzy mają zbyt wiele obowiązków i czas na sprzątnięcie mają nie częściej niż raz w tygodniu, będą go mogli wykorzystać w roli dodatkowego odkurzacza. Cena wynosi 2649 zł – sporo, ale i tak nie najgorzej w porównaniu z brytyjskim konkurentem. © ©

Jacek Przybylski

LATAJĄCY MONITORING

Always Home Cam to latająca kamera stworzona z myślą o inteligentnych domach. Gadżet należącej do Amazona marki Ring składa się z ładującej

stacji dokującej oraz niewielkiego drona, którego można zdalnie poderwać do góry, gdy tylko chce się sprawdzić, czy okna są pozamykane, a piekarnik wyłączony. Urządzenie można też zaprogramować do odbywania w pełni autonomicznych lotów patrolowych, np. od sypialni do kuchni przez salon. Latający system monitoringu, który nagrywa obraz tylko podczas lotu, ma wejść do sprzedaży w przyszłym roku. Cena: 249,99 dol. (równowartość 980 zł).



ROWER WEZWIE POMOC

Elektryczne rowery belgijskiej firmy – modele Cowboy 2 i Cowboy 3 – zostaną wyposażone w system wykrywania wypadków. Dzięki specjalnym czujnikom rower wykryje upadek i jeżeli w ciągu 60 sekund użytkownik nie potwierdzi, że wszystko jest z nim w porządku, system automatycznie zadzwoni pod dwa wybrane wcześniej numery telefonów alarmowych, a dodatkowo wykorzystując dane GPS, wyśle dokładną informację o miejscu zdarzenia. Podobne systemy typu eCall były dotąd montowane głównie w samochodach oraz w niektórych modelach motocykli. Innowacyjne rozwiązanie ma być dodane bezpłatnie do wymienionych modeli rowerów. © ©



Jacek Przybylski



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020





Radosław Wojtas

Co czwarty żyjący dziś w Europie żubr zamieszkuje teren Polski. Populacja rośnie nam szybko, ale nowych stad przybywa powoli. Najbliższa zima będzie wyjątkowa – żubry pojawią się w dwóch nowych lokalizacjach: Puszczy Rominckiej i Lasach Janowskich



112, Puszczy Augustowskiej 9, a tzw. stado zachodniopomorskie (jedyne, które nie mieszka na wschodniej ścianie Polski) liczyło 305 osobników.

Na tej mapie niebawem zostaną zaznaczone dwa kolejne punkty: Puszcza Romincka i Lasy Janowskie.

Utworzenie nowego wolno żyjącego stada to projekt wart miliony złotych i rozpisany na lata. Grupa, która docelowo ma liczyć ok. 40 osobników, potrzebuje 50–70 km kw. przestrzeni, którą wcześniej trzeba odpowiednio zagospodarować. Połacie łąk i leśnych polan wymagają odkrzaczenia i obsiania trawami, które najbardziej smakują królów puszczy. Nadleśnictwo Janów Lubelski, do którego zimą trafi maksymalnie 10 żubrów, już przygotowało na ich potrzeby 32,5 ha śródleśnych polan, łąk i pastwisk. Każdego roku z myślą o nowych lokatorach Lasów Janowskich koszonych będzie ok. 20 ha łąk. Od okolicznych mieszkańców wydzierżawione zostanie ok. 7,5 ha łąk znajdujących się w pobliżu zagrody adaptacyjnej, czyli ostoi stada.

Zadbać należy także o wodopoje, a na koniec wybudować zagrodę adaptacyjną. Dopiero wtedy, czyli po kilkuletnim okresie przygotowawczym, przywozi się od ośmiu do dziesięciu zwierząt, które po etapie socjalizacji w zagrodzie zostaną wypuszczone na wolność i utworzą nowe stado.

Osobna rzecz to praca z „lokalsami”. – Nie można wypuścić żubrów i powiedzieć ludziom „macie teraz żubry”, bo się okaże, że wszyscy zaczną protestować – i mieszkańcy, i rolnicy, i turyści, a i gospodarze, czyli leśnicy, nie będą zadowoleni. Może się wtedy okazać, że za bardzo nie ma kto się tymi żubrami zajmować – mówi „Do Rzeczy” prof. dr hab. Wanda Olech, dyrektor Instytutu Nauk o Zwierzętach Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, prezes Stowarzyszenia Miłośników Żubrów. – Za każdym razem staramy się pracować z leśnikami, żeby przyjęli żubry z otwartymi ramionami, i z mieszkańcami, aby się ich nie bali – dodaje.

POWRÓT KRÓLA

Żubr to największy dziko żyjący ssak lądowy w Europie (dorosły byk może mierzyć w kłębie prawie 190 cm i ważyć ponad 900 kg), a przy tym jeden z najstarszych gatunków zwierząt na ziemi.

Wschód żubra

Kiedy 100 lat temu w Puszczy Białowieskiej kłusownik strzelił do ostatniego wolno żyjącego żubra nizinnego, przyszłość tego gatunku stała pod dużym znakiem zapytania. Niedługo potem, przygotowując plan ratowania żubrów, przeprowadzono inwentaryzację tych zwierząt. Na całym świecie doliczono się wtedy 54 osobników. Żaden nie żył na wolności, wszystkie znajdowały się w zagrodach.

Dzisiaj tylko w Polsce, tylko w dziko żyjących stadach, na świat przychodzi

kilkaset młodych rocznie. Tworzenie kolejnych stad w nowych miejscach to jednak wciąż rzadkość. Żubry żyjące w Polsce na wolności (jest ich 2048 osobników) rozlokowane są w sześciu miejscach. Największą ostoją tych zwierząt jest Puszcza Białowieska. Po jej polskiej stronie doliczono się ostatniej zimy (stan na koniec 2019 r.) 770 osobników (po stronie białoruskiej były wtedy 593 żubry). W Bieszczadach żyło w tym czasie 668 żubrów, w Puszczy Knyszyńskiej 184, Puszczy Boreckiej

Ma tego samego przodka co amerykański bizon i – podobnie jak on – niemal zupełnie wyginął.

Najbliżej tego było w trakcie pierwszej wojny światowej i tuż po niej. Jeszcze w 1915 r. wolno żyjące stado żubra nizinnego w Puszczy Białowieskiej liczyło 785 osobników. W roku 1919 skłusowano ostatni okaz. W 1923 r. na świecie żyły tylko 54 żubry czystej krwi. Wszystkie żyjące dziś żubry, a jest ich w całej Europie (poza naszym kontynentem żyje tylko kilka sztuk) ok. 8,5 tys., pochodzą od 12 osobników.

Polacy byli wśród inicjatorów utworzenia Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra i ratowania gatunku. Sercem obecności żubra w Polsce, ale także w Europie, stała się Białowieża. To tam prowadzona jest europejska Księga Rodowodowa Żubrów. Do dziś każdemu urodzonemu w niewoli żubrowi nadaje się imię, którego pierwsze litery są swego rodzaju „tablicą rejestracyjną”. Żubry nizinne z hodowli w Polsce noszą imiona zaczynające się od liter PL lub PO, wszystkim z linii białowiesko-kaukaskiej (w naszym kraju występują w zagrodzie i na wolności tylko w Biesz-

czadach) nadaje się imiona zaczynające się od liter PU.

NIEWIELE STAD

Większość jest jednak bezimiennych, bo przychodzi na świat na wolności. Roczny przyrost netto żubrów dziko żyjących (urodzenia pomniejszone o straty) to ok. 7–10 proc. Zwierzęta te w zasadzie nie mają naturalnych wrogów. Nawet wilki mają kłopot z przegryzieniem grubej skóry żubra. Liczba żubrów na wolności w Polsce zwiększa się o ok. 200 osobników rocznie. – Taki przyrost populacji bardzo nas cieszy, ale martwi nas, że tempo tworzenia nowych stad w Polsce jest zbyt wolne – mówi prof. Wanda Olech. – To prowadzi do zagęszczania populacji w miejscach, gdzie dziś żyją żubry. A czym większe zagęszczenie, tym łatwiej przenoszą się choroby i pasożyty – dodaje.

Jednym z idealnych modeli ochrony żubra jest tworzenie wielu mniejszych, rozproszonych stad. Gdzie w Polsce mogłyby jeszcze żyć żubry? – Na razie patrzymy wyłącznie na wschód Polski, bo ten obszar wskazały opiekujące się żubrem Lasy Państwowe. Marzę o Magurskim Parku Narodowym, pięknym miejscu dla

żubrów. Poza tym mamy m.in. Pogórze Przemyskie, Puszcze Piską, Roztocze... Założenia mamy takie, żeby tworzyć wiele mniejszych, liczących do 50 zwierząt stad. Tylko jest jeden warunek – nadleśniczy, który dostaje żubry pod opiekę, powinien mieć gwarancje utrzymywania ustalonej wielkości populacji, czyli zezwolenie na odstrzał słabych, starych i zbędnych osobników, jeśli populacja zacznie przyrastać poza ustalony limit. Znam przynajmniej 50 nadleśniczych, którzy ustawiają się w kolejce po żubry, jeśli im to zagwarantujemy – mówi prof. Olech.

I dodaje: – Od lat 70. usuwaliśmy zbędne osobniki, np. cielęta, które urodziły się zbyt późno i nie miały szansy wyrosnąć na duże osobniki, czy stare żubry, które nie miały już żadnego znaczenia dla populacji. Kilka lat temu to się zmieniło, bo decydenci wystraszyli się reakcji „facebookowej opinii publicznej”, która cieszy się, gdy żubry umierają ze starości. Tylko że one tak naprawdę zdychają wtedy z głodu. Bo tak właśnie odchodzą stare przeżuwacze – z głodu, choćby obok była góra pożywienia. Nie mają już bowiem zębów, żeby przeżuwać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Auschwitz w relacjach świadków



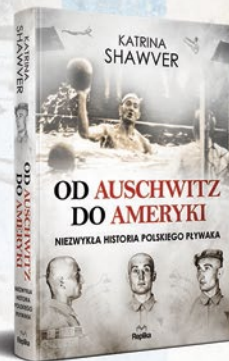
Auschwitz to otchłań.
Ciągnie w głąb wspomnień
wszystkich, którzy nad tą
przepaścią zawiśli.

Jerzy Ptakowski



Pierwsze dni wolności nazwałem „rajem”.
Przeżyłem bowiem tego, co przez pełne
cztery lata przeżywałem, nie mogło
pomieścić się w ludzkiej wyobraźni.

Stanisław Głowa



Jedynie nadzieja
pozwalała przeżyć
w Auschwitz.

Henryk Zguda

ZOBACZ!



DARMOWA WYSYŁKA ZAMÓWIEŃ JUŻ OD 50 ZŁOTYCH!
Książki Wydawnictwa Replika kupisz m.in. na www.replika.eu

Replika
wydawnictwo



Katarzyna Pinkosz

Mamy polski lek na koronawirusa – ogłosiła kilka dni temu polska firma farmaceutyczna, wzbudzając kolejny raz nadzieje pacjentów na koniec koszmaru pandemii. Czy te nadzieje się spełnią?

Kandydat z referencjami

Chociaż przebieg epidemii COVID-19 w Polsce na razie wydaje się łagodniejszy niż w krajach Europy Zachodniej, to liczba zakażeń rośnie, podobnie jak liczba zajętych miejsc w szpitalach i respiratorów. – Nauczyliśmy się już trochę leczyć pacjentów, robimy wszystko, by im pomóc, jednak dochodzi też do zgonów, także młodych osób, które nie miały chorób współistniejących – mówi prof. Krzysztof Tomaszewicz, kierujący Katedrą i Kliniką Chorób Zakaźnych UM

w Lublinie. Mimo że epidemia trwa już ponad pół roku, wciąż nie ma skutecznego leku ani szczepionki, dlatego nic dziwnego, że niedawne informacje o „leku, który zabija koronawirusa”, zostały przyjęte z nadzieją. Zwłaszcza że miałyby to być „polski lek”, bo wtedy jest większa nadzieja na jego szybką dostępność.

OSOCZE OZDROWIEŃCÓW

Polski „kandydat na lek” – bo tak właściwie należałoby mówić – to preparat

z osocza ozdrowieńców, czyli osób, które przechorowały COVID-19. W ich osoczu przez pewien czas – nie wiadomo jak długi – utrzymują się przeciwciała przeciw SARS-CoV-2, które go neutralizują. – Podawanie osocza ozdrowieńców to metoda immunizacji biernej, znana i wykorzystywana już wcześniej w leczeniu wielu chorób zakaźnych – wyjaśnia prof. Grażyna Rydzewska, pomysłodawczyni takiego leczenia pacjentów z COVID-19 w szpitalu MSWiA w Warszawie.

Osocze ozdrowieńców próbowano podawać niemal od początku epidemii COVID-19 osobom najczęściej chorującym: w Chinach, we Włoszech, w Hiszpanii, Stanach. W niektórych krajach (także w Polsce) toczą się badania kliniczne, które mają odpowiedzieć na pytanie, na jakim etapie choroby jest sens podawania osocza i ile powinno znajdować się w nim przeciwciał, by leczenie było skuteczne. – To nie jest panaceum dla każdego chorego, ale jeszcze jedna szansa. Osoby, których organizm nie wytworzył odpowiedniej ilości przeciwciał przeciw koronawirusowi, dostaną je gotowe, co da im czas na pokonanie wirusa. To ważne – dajemy pacjentom czas. Poza tym to nie jest terapia „zamiast” innego leczenia, tylko „oprócz”, taka „nakładka” do już stosowanych terapii – wyjaśnia prof. Rydzewska. – My rekomendujemy podawanie osocza ozdrowieńców, uratowało ono wielu naszych pacjentów – dodaje prof. Rydzewska.

PREPARAT Z OSOCZA

W osoczu każdej osoby, która wyzdrowiała z COVID-19, znajduje się jednak różna liczba przeciwciał. Oprócz nich w osoczu są też m.in.: białka, witaminy, związki nieorganiczne i metabolity, które teoretycznie mogą spowodować niepożądaną reakcję u biorcy. W przypadku leku składającego się z samych immunoglobulin (przeciwciał) tych dodatkowych składników nie ma, a w każdej ampułce znajdować się powinna taka sama liczba przeciwciał. Dla lekarzy gotowy preparat to wygoda – wystarczy po niego sięgnąć.

O pomysł leku z osocza ozdrowieńców zrobiło się głośno, gdy kilka miesięcy temu Agencja Badań Medycznych zdecydowała się dofinansować badanie kliniczne z preparatami z osocza, które miała wyprodukować firma Biomed, mająca doświadczenie w produkcji immunoglobulin w leczeniu innych chorób. Dzisiaj gotowy preparat jest już po wstępnych badaniach in vitro. – Sprawdziliśmy, na ile wyizo-

lowane przeciwciała faktycznie hamują namnażanie się wirusa. Wyniki badań pokazują, iż aktywność jest bardzo wysoka, co pozwala mieć nadzieję, że przygotowany preparat spełni oczekiwania – mówi prof. Krzysztof Pyrc z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ w Krakowie. Podkreśla, że ogromnym plusem jest to, iż nie budzi wątpliwości bezpieczeństwo preparatu, bo podawanie immunoglobulin to znany sposób leczenia.

Z dużą nadzieją na preparat patrzy też prof. Krzysztof Tomasiewicz, który będzie kierował badaniem klinicznym. – To może być jeden z najbardziej efektywnych sposobów terapii COVID-19. Wstępne wyniki są bardzo obiecujące, jesteśmy na dobrej drodze – podkreśla. Badanie kliniczne ruszy za kilka tygodni, zostanie nim objętych ok. 500 chorych w czterech szpitalach w Lublinie, Warszawie, Białymstoku i Bytomiu. Celem jest określenie, na jakim etapie choroby COVID-19 immunoglobuliny mogą pomóc. – To cenny preparat, pochodzi z bezcennego „materiału”, jakim jest krew osoby, która wyzdrowiała, musimy wiedzieć, ile go podawać, by się nie zmarnował – dodaje prof. Tomasiewicz. Jego zdaniem najbardziej efektyw-

ne będzie zastosowanie preparatu na wczesnym etapie infekcji, zanim pojawi się burza cytokinowa, zespół niewydolności oddechowej i wielonarządowej.

O wstępnych wynikach badania klinicznego będzie można mówić najwcześniej za kilkanaście tygodni. Jeśli będą pozytywne, to można przechodzić do etapu rejestracji leku. Sam lek dla pacjentów w szpitalu ma szansę pojawić się najwcześniej za kilka, kilkanaście miesięcy. Oczywiście pod warunkiem, że wyniki badania klinicznego będą pozytywne, lek zostanie zarejestrowany oraz nadal będą osoby po przechorowaniu COVID-19, chętne do oddawania osocza.

LECZENIE INDYWIDUALNE

Chlorochina, remdesivir, tocilizumab, osocze ozdrowieńców ogłaszano jako kolejne przełomy w leczeniu COVID-19. Nadal jednak nie ma leczenia celowanego, wymierzonego na wirus SARS-CoV-2. – Nie czekamy jednak z założonymi rękami. Gdy widzimy, że stan pacjenta pogarsza się, próbujemy pomóc. Leczenie musi być zindywidualizowane: za każdym razem to lekarz w szpitalu decyduje, jaki lek dostanie pacjent, czy

O wstępnych wynikach badania klinicznego będzie można mówić najwcześniej za kilkanaście tygodni.

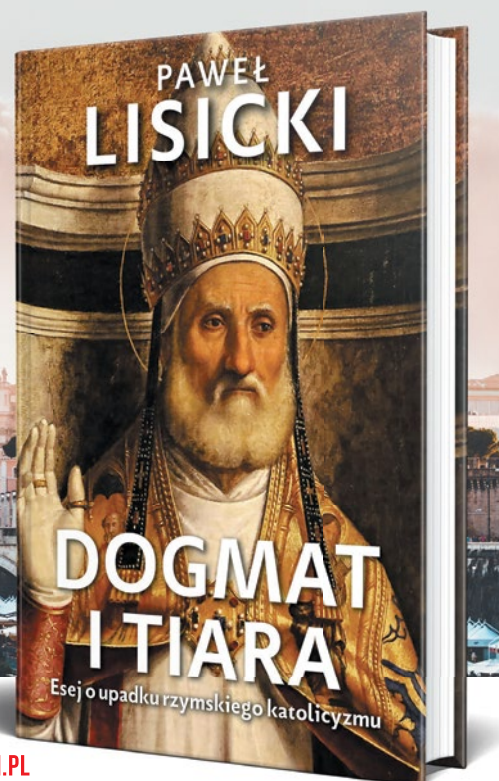
Jeśli będą pozytywne, to można przechodzić do etapu rejestracji leku

będzie to osocze ozdrowieńców, chlorochina, remdesivir czy tocilizumab, w zależności od tego, jaki to etap choroby – mówi prof. Tomasiewicz. Przypomina o DDM (dystans, dezynfekcja, maseczki), by chronić siebie i innych przed zakażeniem, i apeluje do pacjentów i lekarzy, by nie bagatelizować zakażenia. – Niestety, zdarza się, że pacjenci trafiają do nas do szpitala za późno, gdy już zaczyna się burza cytokinowa. Wtedy zaczyna się piorunujący przebieg choroby, łatwo dochodzi do niewydolności oddechowej, wielonarządowej i najtrudniej jest pomóc – mówi prof. Tomasiewicz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu



PATRONAT
MEDIALNY:



KSIAŻKA

DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL

KATARZYNA PINKOSZ: Panie profesorze, czy miał pan pacjentów po zawale serca, którzy nie wiedzieli, że mają za wysokie stężenie „złego” cholesterolu?

PROF. KRZYSZTOF J. FILIPIAK: Niestety, większość. Świadomość trzech pozostałych kluczowych czynników ryzyka zawału serca (nadciśnienie tętnicze, cukrzyca, palenie papierosów) jest o wiele większa niż zbyt wysokiego stężenia cholesterolu (hipercholesterolemii). Być może wynika to też z tego, że górną granicę stężenia tzw. złego cholesterolu (LDL) ustala się dla każdej osoby indywidualnie, stąd trudno ją zapamiętać, zresztą normy zmieniały się kilkakrotnie w ostatnich dziesięcioleciach. Dlatego nawet jeżeli pacjent miał w przeszłości oznaczone stężenie LDL, to odpowiada sakramentalnym: „Nie pamiętam, ale było w normie”.

Co pan myśli, widząc przed sobą pacjenta z bardzo wysokim LDL? Jak wyglądają jego tętnice i jakie są tego konsekwencje?

Wysokie stężenie cholesterolu to czynnik ryzyka zawału serca, udaru mózgu, by-passów, amputacji, zgonu... Powikłań jest bardzo wiele. Teoria „ładunku cholesterolowego” mówi, że obciążenie ściany tętnic zbyt wysokim stężeniem krążącego we krwi cholesterolu można wyobrazić sobie jako iloczyn stężenia cholesterolu i czasu oddziaływania na ścianę naczyń. Pacjenta z bardzo wysokim stężeniem cholesterolu pytam o jego wiek i czas trwania hipercholesterolemii. Czas trwania – ponieważ nawet gdy przez 5–10 lat stosował statyny, to już zmniejszył ten „ładunek cholesterolowy”, bo przez kilka lat miażdżycy rozwijała się wolniej. Każdy dzień na statynie (leku zmniejszającym produkcję cholesterolu w wątrobie) jest swoistym подарunkiem dla tętnic. Obniżając stężenie cholesterolu, zmniejszamy tempo starzenia się naczyń, ryzyko zawału serca i udaru mózgu.

Skąd właściwie bierze się zbyt wysokie stężenie LDL? I dlaczego jest on taki zły?

Cholesterol ma pochodzenie zarówno egzogenne (dostarczany jest z pokarmem, zwłaszcza tym tłustym, pochodzenia zwierzęcego), jak i endogenne (produkowany jest w wątrobie niezależnie od tego, co jemy, dlatego osoby z pewnym typem obciążenia genetycznego mają tak bardzo wysokie stężenia cholesterolu niezależnie od diety). Spośród wielu różnych frakcji cholesterolu najbardziej niebezpieczny jest LDL, ponieważ to on, po utlenowaniu,



Z prof. Krzysztofem J. Filipiakiem, kardiologiem rozmawia Katarzyna Pinkosz



FOT. ADARSTOCK

Nowa era walki z miażdżycą

przedostaje się do ściany naczyniowej tętnic i zaczyna budować blaszki miażdżycowe. Rozległa miażdżycy doprowadza do choroby wieńcowej, zawałów serca, udarów mózgu i innych powikłań. Co do normy LDL, to obowiązuje zasada „im mniej, tym lepiej”. W badaniach laboratoryjnych nie podaje się już dolnych granic stężeń LDL, a górne zależą od ryzyka sercowo-naczyniowego każdej osoby. Wszystkich pacjentów możemy przyporządkować do grupy: niskiego, średniego, dużego, bardzo

dużego i ekstremalnie dużego ryzyka sercowo-naczyniowego. Dla tych grup górna norma LDL-cholesterolu to obecnie odpowiednio: 115, 100, 70, 55, 35 mg/dl.

Można się spotkać z opinią, że normy są wciąż obniżane po to, żeby więcej osób musiało przyjmować leki, co przynosi zyski firmom.

Tak, to popularny element wiedzy spiskowej. Powodem obniżania w ostatnich dziesięcioleciach norm cholesterolu są wyniki znakomicie przeprowadzanych ba-



Wiele osób bardziej obawia się statyn niż lekko podwyższonego stężenia cholesterolu. Niesłusznie?

Działania niepożądane mogą wystąpić po każdym leku. W przypadku statyn są one tak rzadkie, że kilka krajów zdecydowało się już na ich sprzedaż w aptekach bez recepty. Statyny to jedne z najlepiej przebadanych leków na świecie, przedłużają życie. Wysokie stężenie cholesterolu zabija, miażdżycy nie jest mitem, Ziemia nie jest płaska, nie rządzą Reptilianie, szczepionki nie powodują autyzmu. Codziennie walczymy z takimi fake newsami.

Powiedzmy o zaleceniach: kiedy powinno się przyjmować leki i jakie?

Zalecenia są proste i bazują na celu leczenia. Wyobraźmy sobie pacjenta tuż po zawale serca. Ma bardzo duże ryzyko kolejnego zawału, dlatego stężenie LDL powinno wynosić u niego <55 mg/dl. Jeżeli ma wyjściowo LDL 150 mg/dl, to czym go leczyć? Rutynowo podane statyny w najwyższej dawce dają obniżenie o ok. 50 proc., tak więc maksymalnie da się obniżyć LDL do ok. 75 mg/dl. Gdy do statyny dodam swoisty „wzmocniacz” – dodatkowy lek zmniejszający wchłanianie cholesterolu z jelit (ezetimib) – pozwala to obniżyć LDL-cholesterol o 60 proc., czyli do ok. 60 mg/dl. Nadal nie jest to <55 mg/dl, a przecież wielu pacjentów po zawale serca „startuje” z jeszcze wyższych stężeń LDL. Dlatego u pacjentów najwyższego ryzyka nieodzowny jest trzeci lek – zastrzyk podawany raz na dwa tygodnie albo raz na miesiąc – z grupy inhibitorów PCSK9. Aktualnie zaledwie 15 proc. pacjentów po zawale serca jest prawidłowo leczonych pod względem LDL. Co z pozostałymi 85 proc.? Odpowiedź jest prosta: powinni mieć zapewniony dostęp do najnowocześniejszych leków hipolipemizujących – inhibitorów PCSK9. W ostatnio przeprowadzonym rejestrze europejskim DA VINCI mówi się wprost, że czterech na pięciu Europejczyków z grupy bardzo dużego ryzyka sercowo-naczyniowego (czyli np. po zawale serca) będzie wymagać podawania inhibitorów PCSK9 oprócz statyn. Zwróćmy uwagę: czterech na pięciu, czyli 80 proc. – dokładnie tyle, ilu pacjentów po zawale serca w Polsce nie osiąga celu terapii.

Inhibitory PCSK9. Co to za leki i kto powinien je stosować?

Inhibitory PCSK9 działają w innym mechanizmie niż statyny – zwiększają liczbę receptorów wychwytyjących „zły” cholesterol z krwi do wątroby, dlatego

są tak skuteczne, tak szybko zmniejszają „ładunek cholesterolowy”, przyczyniają się do uwolnienia ściany naczyniowej od postępu miażdżycy. Działania niepożądane występują rzadziej niż w przypadku statyn. Te leki są już w Polsce dostępne w programie leczenia hipercholesterolemii rodzinnej. Niestety, kryteria włączenia do tego programu są takie, że... mało kogo udaje się do niego włączyć. W Polsce prawdopodobnie ok. 150 tys. osób ma hipercholesterolemię rodzinną, a do programu włączono trochę ponad 100 osób, czyli poniżej 0,1 proc. potrzebujących! A to dopiero początek. Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne zaleca stosowanie tej grupy leków u wszystkich chorych bardzo dużego ryzyka sercowo-naczyniowego (m.in. stan po zawale serca, rewaskularyzacji wieńcowej, operacjach naczyniowych), u których nie udaje się statyną i ezetimibem dojść do zalecanych stężeń LDL, czyli <55 mg/dl.

Pamięta pan pacjenta, któremu te nowe leki pomogły, a wcześniejsze leczenie było nieskuteczne?

Pamiętam wielu takich pacjentów; cała rodzina finansowała te nowoczesne leki, aby pacjent mógł sobie pozwolić na dwa zastrzyki w miesiącu. Po raz pierwszy zastosowałem ewolokumab (jeden z dwóch inhibitorów PCSK9) w 2016 r. Pacjentem był 45-latek z hipercholesterolemią rodzinną, który pomimo przyjmowania zalecanych leków w maksymalnych dawkach miał LDL-cholesterol 164 mg/dl. Bardzo dobrze wykształcony człowiek, świadomy występowania zawałów serca u najbliższych w rodzinie w młodym wieku. Po pierwszym zastrzyku jego LDL spadł do 23 mg/dl, czyli o 85 proc. Teoretycznie wiedziałem, że leki te mogą być aż tak efektywne, ale... z wrażenia powiedziałem, iż musimy powtórzyć badanie, bo to chyba błąd laboratoryjny! Dzisiaj bym już tego nie zrobił... W powtórnym badaniu miał LDL 22 mg/dl. Do takich właśnie wartości możemy obniżyć „zły” cholesterol za pomocą inhibitorów PCSK9. To nowa era walki z miażdżycą, a także antidotum na wysokie stężenie cholesterolu u pacjentów z nietolerancją nawet najmniejszych dawek statyn.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

dań na setkach tysięcy pacjentów. Każde z przeprowadzonych badań kończyło się wnioskiem, że należy mieć niższe stężenie LDL, niż poprzednio sądzono. Właśnie dlatego zmieniano normy. Co więcej, nadal nie udało się określić na tyle niskiego stężenia LDL, przy którym nie ma już korzyści, jeżeli chodzi o zmniejszenie ryzyka zawału. Początkowo, gdy obniżaliśmy stężenie LDL, fascynowała nas możliwość spowolnienia starzenia się naczyń (przrostu miażdżycy). Gdy jeszcze bardziej obniżaliśmy LDL, osiągnęliśmy zatrzymanie procesów miażdżycy. Dzisiaj przy LDL o wartościach <30–40 mg/dl mówi się o odwracaniu miażdżycy: po raz pierwszy obserwujemy cofanie się blaszek miażdżycowych u niektórych pacjentów.

Ma pan pacjentów po zawale serca, którzy nie stosowali statyn, choć mieli je zalecane?

Tak, spotkałem nieraz takich pacjentów – z reguły przy ich drugim zawale serca, udarze mózgu czy operacji rewaskularyzacyjnej.



prof. dr hab. med. Krzysztof J. Filipiak – kardiolog, internista, hipertensjolog, farmakolog kliniczny, I Katedra i Klinika Kardiologii WUM.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wiślana autostrada

Wisła była w XVII w. prawdziwą wodną autostradą spajającą ziemie zachodniej Rzeczypospolitej; tą drogą transportowano zboże, drewno i inne płody polskiej ziemi do Gdańska, a także towary i zaopatrzenie do miast leżących w pobliżu rzeki. Na wodzie ruch był znacznie większy niż dzisiaj, ale i sama rzeka – co pokazują choćby obrazy Bernarda Belotta Canaletta – szersza i głębsza, kapryśna i nieprzewidywalna.

W każdym mieście znajdował się port rzeczny, w którym cumowały ogromne statki, galery i łodzie; niektóre tak wielkie jak szkuta Zygmunta III Wazy, która po dopłynięciu do Gdańska mogła bez przeszkód wyjść w morze i dotrzeć do Szwecji. W Warszawie port znajdował się u wylotu dzisiejszej ul. Mostowej. Adam Jastrzębski opisujący miasto – rezydencję królewską w latach 40. XVII w. – podaje, że cumowała tutaj galera króla Władysława, ogromny statek poruszany żaglem i „pojazdami”, czyli wiosłami, uzbrojony w działa, mający kilka pokładów, na nich zaś urządzone pokoje królewskie i „ganki wkoło do chodzenia”. Oprócz tego stał tutaj także drugi statek określany jako „bat”, mniejszy, do zażywiania spacerów po Wiśle lub wyjazdów na polowania – do Nieporętu, ulubionego miejsca odpoczynku króla. Poza tym przybijały tutaj statki handlowe należące do kupców warszawskich i przyjezdnych.

Najważniejszym, najczęściej spotykanym statkiem była szkuta – ogromna, płaskodenna łódź mająca do 30 metrów długości i ok. 6 metrów szerokości. Ta znaleziona i odkopana pod Czerniechem, pochodząca z końca XV w., była dłuższa od statków... Krzysztofa Kolumba, chociaż należy pamiętać, że jej niskie burty uniemożliwiały żeglugę morską. Szkuta charakterystyczna była dzięki wygiętemu w górę, ostremu



FOT. WIKIPEDIA



dziobowi i długiemu sterowi. Poruszana była zwykle żaglem lub wiosłami, jej ładowność wynosiła ok. 48 łasztów zboża, co dawało ok. 90 ton ciężaru. Bardzo podobnym, ale mniejszym stateczkiem był dubas, który zabierał o połowę mniej zboża. Jeszcze mniejsza miniaturka szkuty to koza – stateczek z żaglem, zabierający do 10 łasztów zboża.

Kolejną kategorią wiślanych batów były takie, które budowano na podobieństwo tratw; zwykle po przybyciu do Gdańska były rozbierane i sprzedawane na drewno. Największym z nich była komiega – płaskodenna, napędzana wiosłami, przewożąca do ok. 30 łasztów zboża. Konstrukcję lepszą od niej stanowił galar – z uniesionym w górę, płaskim dziobem i podobny do niego, ale mniejszy – byk, który był używany do transportu ludzi i towarów jeszcze przed drugą wojną światową. Poza tym spławiano Wisłą różnego rodzaju tratwy – ze spławianych pni drzew zbitych poprzecznymi listwami. Na nich także dodatkowo transportowano towary.

Co przewożono na statkach? Przede wszystkim zboże do Gdańska, gdyż jego transport

końmi i wozami na duże odległości był kompletnie nieopłacalny. Prawdopodobnie wysypywano je do wielkich skrzyń na pokładzie, chociaż niektóre widoki Warszawy pokazują, że usypywano z nich stopy na pokładach tratw – zapewne po to, aby wysuszyć ziarno. Poza tym spławiano wszelakie płody polskiej ziemi – potaż powstający z wypalania drewna, smołę w beczkach, suszone śliwki, sól z Wieliczki i Bochni, wino węgierskie i mołdawskie, saletrę, wosk, skóry i wszystko, co tylko las, pole i folwark zdołały wyprodukować.

Każda szkuta lub galar należały albo do kupców, albo do tzw. frochtarzy, właścicieli statków wynajmujących je do spławu towarów. Kapitanem był szyper, będący równocześnie pełnomocnikiem właściciela towaru, a także rotman – który podążał przed tratwą w małej łódeczce, wytyczając szlak wiślany. Zwykle miał on przy sobie ogromny pęk prostych gałęzi zakończonych liśćmi. Tam, gdzie była woda dobra, głęboka, wbijał je w dno. Tam zaś, gdzie płytko, grożąca, że tratwa wejdzie na mieliznę – łamał na wierzchu kołek. Oprócz tych dwóch ludzi na tratwie pracowali także: sternik, rufnik, czyli starszy wiosłarz, wreszcie flisacy zwani orylami, którzy odpowiedzialni i według komend napierali na wiosła – pojazdy, manewrując ciężkim pojazdem na rzece.

Jak duży był ruch na Wiśle? Z dzisiejszej perspektywy – ogromny. Dość przytoczyć za Jerzym Lilejką i jego „Życiem codziennym w Warszawie za Wazów” raporty warszawskiej komory celnej. W 1618 r., w ciągu samych tylko dwóch tygodni od 15 do 31 marca, kiedy po ziemi ruszyła żegluga wiślana, odprawiono 268 różnych statków. A przecież były to tylko zwykłe jednostki kupieckie, bo szlachta zwolniona była z płacenia cła za własne towary. ©

Oczami absolwenta

Stypendium działającej już od dwóch dekad Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”, to o wiele więcej niż miesięczne wsparcie finansowe. Myślę, że te słowa potwierdzą wszyscy absolwenci programu stypendialnego. Życie prawdopodobnie każdego z nas wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie spotkanie z Dziełem.

Na najlepszych uczelniach w Polsce wciąż studiuje niewiele osób z niezamożnych rodzin, z małych miast i wsi. Nie tylko ekonomiczne, ale też psychologiczne bariery utrudniają im zdobycie wykształcenia. Chociaż sesja egzaminacyjna – ze względu na posiadane zdolności – pewnie nie byłaby dla nich problemem, to nie mają oni szansy do niej przystąpić. To wielka strata nie tylko dla tych młodych ludzi, ale w szerszej perspektywie, dla całego społeczeństwa, które nie zyska kolejnych dobrych lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy czy prawników. Ten problem doskonale zdiagnozował św. Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki do Polski w 1999 r. W trudnym czasie transformacji papież zwrócił uwagę na nierówności społeczne. Odpowiedzią na jego apel było powołanie przez Episkopat Polski fundacji, która od 2000 r. wspiera materialnie i duchowo zdolną młodzież z niezamożnych rodzin z małych miejscowości. Szybko okazało się, że wsparcie materialne jest jedynie punktem wyjścia do fantastycznego doświadczenia, którym jest bycie częścią tej wspólnoty.

Fundacja potrafi szczerze wypełnić kalendarze swoim podopiecznym, szczególnie studentom. Daje możliwość zaangażowania się w szereg działań charytatywnych i ciekawe przedsięwzięcia organizacyjne, takie jak Dzień Papieski czy obozy stypendystów. Zachęca do aktywności i ośmiela do podejmowania wyzwań. Przede wszystkim jednak pomaga w pogłębianiu wiary i zaprasza do formacji w duchu nauczania św. Jana Pawła II.

Fundacji zawdzięczam możliwość studiowania na Uniwersytecie Warszawskim oraz fascynujące doświadczenie wolontariatu w jej biurze prasowym. Dzięki pomocy tej organizacji odbyłem staż w Sekcji Polskiej Radia Watykań-

skiego w Rzymie. Przede wszystkim jednak zyskałem wspaniałych przyjaciół. Nigdy wcześniej nie spotkałem tak dużej grupy ufających sobie wzajemnie ludzi. Wiele razy byłem świadkiem, jak stypendyści dzielili się z innymi dobrem, które w sobie rozwinięli.

Obecnie Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” wspiera w całej Polsce ok. 2 tys. uczniów szkół podstawowych i średnich oraz studentów. Dzięki dobroczyńcom organizacja przeznacza rocznie na stypendia i formację ponad 10 mln zł. Wsparcie można okazać, wysyłając SMS

o treści STYPENDIA pod numer **74265** (4,92 zł z VAT), a także biorąc udział w październikowych obchodach. Jubileuszowy XX Dzień Papieski – obchodzony pod hasłem „TOTUS TUUS” – odbędzie się w niedzielę 11 października. W całej Polsce będziemy wspominali życie i nauczanie św. Jana Pawła II. Będzie to też okazja do pomocy zdolnej i niezamożnej młodzieży podczas ogólnopolskiej zbiórki przy kościołach i na ulicach. Więcej o fundacji i jej stypendystach można przeczytać na www.dzielo.pl

Daniel Kociółek



XX Dzień Papieski, 11 X 2020

TOTUS TUUS

FUNDACJA
„DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA”
www.dzielo.pl

Pomóż zdolnej i niezamożnej młodzieży z małych miejscowości.
Wyslij SMS „STYPENDIA” pod numer **74 265.**
(4,92 zł z VAT)

KREWETKI W TEMPURZE

BARTKA MARSZAŁKA

Uwielbiam krewetki w każdym wydaniu: na maśle czy z makaronem albo na zimno, w sałatce, natomiast moimi ulubionymi są krewetki w tempurze – niezwykle aromatyczne, chrupiące i smaczne, często przyrządzam je na przystawkę bądź na kolację dla moich bliskich. Ze sportowego punktu widzenia krewetki to superodżywczy produkt bogaty w białko, a właśnie tego potrzebują nasze mięśnie po treningach.

Składniki:

- ok. 20 surowych krewetek – im większe, tym lepsze
- ok. 0,5 l zimnej wody (może być gazowana)
- 3/4 szklanki mąki pszennej
- 3/4 szklanki mąki ziemniaczanej lub kukurydzianej
- 1 żółtko
- szczypta soli
- ok. 1,5 l oleju ryżowego do smażenia (można go zastąpić olejem używanym na co dzień w kuchni, np. rzepakowym)

Przygotowanie:

Najważniejsze dla mnie w tym daniu jest, aby owoce morza były surowe – wcześniej ugotowane krewetki po usmażeniu w oleju będą gumowate i twarde. Przed panierowaniem obieram je z łusek i usuwam czarną nitkę jelita. Ciasto na tempurę przypomina naleśnikowe i jest równie proste do zrobienia. Gdy czasu brak, kupuję gotową mieszkankę mąk do tempury.

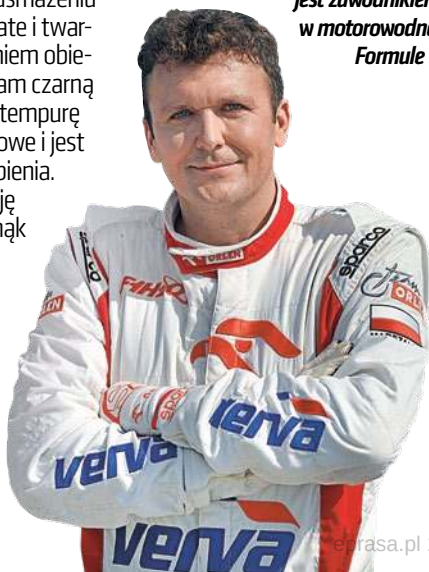
Tempura to nic innego jak płynne w konsystencji ciasto, w którym zanurzamy krewetki i natychmiast smażymy. Ważne dla dobrego

smaku jest to, aby przygotować ciasto tuż przed smażeniem. Do wymieszanej mąki pszennej i kukurydzianej dodajemy stopniowo lodowatą wodę i mieszamy, aby uzyskać konsystencję podobną do śmietany. Można do niego wrzucić kostki lodu, żeby pozostało jak najzimniejsze.

Krewetki przed zanurzeniem w cieście dobrze osuszam, pozostała woda mogłaby niepotrzebnie rozmiękczyć panierkę i strzelać podczas smażenia. Tempurę najlepiej smażyć w dużej ilości oleju. W głębokiej patelni rozgrzewam olej do ok. 175 st. C. Krewetki dobrze namaczam w tempurze i wrzucam do rozgrzanego oleju, aby z tempury powstała skorupka na całej krewetce. Krewetki wkładam pojedynczo lub po dwie, trzy sztuki – tak, aby całe były zanurzone. Gdy już się zezłocą, należy je wyjąć, odsączyć z nadmiaru oleju na papierowym ręczniku i od razu podawać. Najlepiej smakują z kwaśno-słodkim sosem tajskim, sosem majonezowym oraz sosem sojowym z odrobiną świeżo posiekanej kolendry.

Smacznego! ☺☺

*oprac. raw
Bartek Marszałek
jest zawodnikiem
w motorowodnej
Formule 1.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Karczoch

W ciągu ostatnich kilkunastu lat do Polski trafiło wiele nowych warzyw, ale karczoch to wciąż u nas rzadkość. Łukasz Modelski, poważny dziennikarz kulinarny, powiedział mi, że w Warszawie świeże karczochy można znaleźć tylko w jednej restauracji (za to faszerowane zapiekany jajkiem). Czyżby dlatego, że jest to warzywo trochę trudne w obróbce?

Tej zimy widziałam na Sycylii karczochy sprzedawane prosto z ciężarówka na ulicy, pięć euro za cztery sztuki. Trochę jak u nas buraki czy marchew, coś najzwyczajszego. We Włoszech i we Francji karczochy nie mają statusu gourmet – to tanie i w sezonie popularne jedzenie.

U nas to warzywo nie wzbudza zainteresowania. Parę razy widziałam przywiezione do supermarketu. Znane jest tylko ze stoika: serca karczochów w oliwie lub w marynacie octowej. Bardzo dobre, ale jednak to nie to samo co świeże.

Jak się z tym obchodzić, pokazała mi francuska ciotka lata temu. A to wcale nie takie proste. Najpierw gotowanie: karczochowi (powinien być zielony, nie zwiędły i zbrązowiały) należy przyciąć lekko główkę, obciąć końce listków, posmarować go z zewnątrz cytryną i gotować pół godziny, najlepiej na parze. Potem na gorąco obrywać listek po listku i jeść, maczając

w sosie winegret. Po oberwaniu wszystkich liści na sam koniec czeka najlepsze – serce. Dostępu do serca broni włochata czapka – tę obcinamy. Serce karczocha to naprawdę przysmak. Ale tylko świeży! Polecam spróbować.

Tym bardziej że kwiat karczocha to warzywo zdrowe i niskokaloryczne. W rejonie Morza Śródziemnego stosowano go od dawna na niestrawność, pro-

blemy z wątrobą i nerkami. Całkiem niedawno w wyciągu z karczocha włoscy naukowcy odkryli cynarynę, związek

o dobroczynnym działaniu na funkcjonowanie wątroby, dróg żółciowych, trawienie, poziom cholesterolu... Podobno jest dobry także na odchudzanie i dobre samopoczucie. Wiadomo – skutkiem pierwszego jest zawsze drugie... Jest w nim również inulina, dobra dla cukrzyków i także na odchudzanie.

Oprócz cynaryny i inuliny w liściach karczocha znajdziemy pełno flawonoidów, garbników, witamin, minerałów; magnezu, potasu, wapnia, fosforu, żelaza. Dużo błonnika, mało tłuszczu.

Na dowód, jak powszechnie nie znane było kiedyś to warzywo, mamy jego częstą obecność w malarstwie i architekturze. Na holenderskich martwych naturach, na budowach Egiptu i Włoch. W Warszawie: pałac Pod Karczochem w Alejach Ujazdowskich i kolumny pałacu w Wilanowie. ☺☺



FOT. ADRIE STOCK

Polska

NA DZIEŃ
DOBRY

od poniedziałku
do soboty
7:30

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Człowiek zbuntowany

Mamy psa. Przymierzaliśmy się do tego od dawna, ale nie było łatwo o porozumienie. Każdy z naszej trójki chciał innego stwora. Różniliśmy się co do rasy, sierści, wielkości, wszystkiego. O imię toczyła się prawdziwa wojna trzynastoletnia. Ale kilka dni temu moja żona znalazła ogłoszenie, że do wzięcia jest dwumiesięczny maluch. Spojrzeliśmy na jego zdjęcie i się zakochaliśmy.

Maluch będzie w przyszłości wielki, bo jest mieszańką malamuta z husky. Po tacie jedno oko ma ciemne, a drugie po mamie niebieskie. Daje sporo radości nie tylko nam, lecz także ludziom, którzy mijają go na ulicy. Mordki im się cieszą na jego widok. Dzieci pielgrzymują do niego i błagają, by go pogłaskać. Zresztą dorośli też. Ogromna jest siła małego pieska.

Ponieważ wszystko odbyło się dość nagle i niepodziewanie, byliśmy na psa żałośnie nieprzygotowani. Dotychczas głównie się o niego kłóciliśmy. Nawet miski na wodę nie mieliśmy. Zaczęliśmy gorączkowo szukać wiedzy o tym, jak obchodzić się z maluchami. Poczytaliśmy trochę blogów, zakupiliśmy przez Internet kilka książek. I zaczęło się. Zostaliśmy osaczeni.

W młodości czytałem sporo książek Philipa K. Dicka. W jednej z nich, bodaj w „Simulakrze”, opisuje świat, w którym reklamy przypominają niewielkie stworzenia (ja wyobrażałem je sobie jako skrzyżowanie szczura i komara) – wdzierają się za

człowiekiem na przykład do samochodu i bombardują go reklamowymi sloganami. I teraz za sprawą psa poczułem się trochę jak w powieści Dicka.

Nagle zostałem zalany wirtualnymi reklamami zwierzęcych sklepów, psich gadżetów, kynologicznych wynalazków, milusińskich gadżetów i wszechwiedzących behawiorystów. Owszem, algorytm już nieraz wziął mnie na cel, gdy tylko ośmieliłem się poszukać w Google czegoś, co da się sprzedać albo wynająć. Ale wcześniej nie było to aż tak namolne. Reklama pojawiała się tu i ówdzie, a po jakimś czasie zniknęła. Teraz runęło na mnie reklamowe tsunami. Algorytm przyczepił się do mnie jak – nomen omen – rzep do psiego ogona.

Zaskakujący jest efekt tego szturm. Jego skala i nachalność wywołały u mnie reakcję, z której reklamodawcy chyba nie będą zadowoleni. Otóż na uszach stanę, a nie kupię nic w sklepach, które pchają mi się przed oczy. Poczucie osaczenia wywołało w nas (bo i moją żonę dopadli) prężne pragnienie buntu. No cóż, nie wyrzucimy naszych smartfonów, nie zbojkotujemy Google, bo nie jesteśmy amizami. I lubimy sobie ułatwiać życie. Ale do Kielc będziemy jeździć na psie zakup, nawet do Sieradza, byle tylko nie korzystać z tego, co nam wmusza algorytm.

Wytresujemy algorytm jak psa. Musi pojąć, że nie może przesadzać, bo nie dostanie nagrody. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Tajna organizacja katolicka

Poza debatą prezydencką i wzrostem przypadków zachorowań na koronawirusa Ameryka żyła w ostatnich tygodniach informacją o śmierci zasłużonej, liberalnej sędzi Sądu Najwyższego Ruth Ginsburg oraz nominacji na jej miejsce 48-letniej Amy Coney Barrett. Zapewne sam fakt zerwania przez Trumpa z obyczajem niewyznaczania następcy w roku wyborczym nie byłby tematem, który do żywego zainteresuje polskie media, gdyby nie pewien istotny detal. Nie chodzi o wykształcenie (literatura brytyjska na Rhodes College w Memphis oraz prawo na Uniwersytecie Notre Dame w Indianie), wieloletnią współpracę z sędzią Antoninem Scalia ani doświadczenie z zakresu prawa konstytucyjnego. Barrett jest zadeklarowaną konserwatystką albo – jak przedstawił to portal Onet – „matką siedmiorga dzieci i członkinią tajnej organizacji katolickiej”, która ma „pomóc Trumpowi wygrać wybory”.

Wspomniana organizacja jest tak enigmatyczna, że wraz z kolejnymi zdaniem artykułu napięcie rośnie jak w dobrym thrillerze. „Gdy w 2017 r. Trump nominował ją na stanowisko sędzi federalnej, demokraci w Senacie wytknęli, że jest członkinią Ludzi Chwały, skrajnie konserwatywnej grupy amerykańskich katolików” – czytamy na portalu, który dodaje, że choć niewiele o stowarzyszeniu wiadomo, to „wyznaje ono np. zasadę, że głową rodziny podejmując

wszelkie decyzje jest zawsze mężczyzna”. W tak przyjętym układzie patriarchalnym „rolą kobiety jest wykonywanie poleceń głowy rodziny”, a na domiar złego w tajnym bractwie „przysięgają sobie dożgonną lojalność”.

Przejęty charakterystyką podziemnego kultu postanowiłem sprawdzić, kto będzie odpowiadał za stanowienie prawa u naszego transatlantyckiego sojusznika. Po trwającym blisko pięć minut śledztwie dziennikarskim doszedłem do następujących, nigdzie niepublikowanych wniosków. Ludzie Chwały to sieć charyzmatycznych wspólnot, które w formie apostołatu świeckich otwarte są na każdego chrześcijanina wyznającego Credo Nicejskie. Wspólnoty mają charakter ekumeniczny, a w ich szeregach są również protestanci – łącznie to ponad 1,7 tys. osób zrzeszonych w 22 oddziałach w USA, Kanadzie i na Karaibach. Ruch powstał w latach 70., praktykuje również tzw. kierownictwo duchowe, podczas którego osoba bardziej dojrzała religijnie formuje swojego podopiecznego, oczywiście z zachowaniem wolności sumienia. Ludzie Chwały, choć w ich kierownictwie podobnie jak w Kościele katolickim nie ma kobiet, zachęcają je do podejmowania pracy, studiowania i życia zawodowego. Skąd o tym wiem? Czy przeniknąłem w ich szeregi? Nie. Informacje znalazłem na stronie internetowej Ludzi Chwały, do których w USA po prostu można się zapisać. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co się stało z Polską?

Minał wrzesień, miesiąc szczególnieznaczony pamięcią o tragedii 1939 r. Rozważając tę tragedię, myślę czasem o długim trwaniu polskości.

Jaka była Polska latem 1939 r.? W wakacje tego roku czuło się niepokój wywołany agresywną polityką Hitlera, ale zanim coś złego się nie stanie, ludzie na ogół łudzą się, że się nie stanie. Polska była krajem na dorobku. Oczywiście trzeba pamiętać o milionach bezrolnych chłopów biedujących na wsi, o biedzie w wielu osiedlach robotniczych czy też niezadowolonym mniejszości, zwłaszcza ukraińskiej, jednak dla większości Polaków Polska była ich dumą i nadzieją.

największym portem na Bałtyku. Działo wiele nowych szkół wyższych, z których wychodziło już pokolenie specjalistów, dojrzewające w niepodległym kraju. Szkolnictwo średnie, na które narzekała opozycja narodowodemokratyczna i ludowa, wykształciło nowe pokolenie odpowiedzialnych obywateli. Jak na biedny kraj, polska nauka, literatura i sztuka kwitły. Wspomnijmy choćby nazwiska polskich matematyków i logików, projektantów samolotów, kryptologów czy wynalazców. Polskie Radio, dysponujące największym masztem nadawczym w Rzeczypospolitej, jednoczyło mieszkańców wokół idei niepodległego państwa. Majowe przemówienie ministra Józefa Becka, transmitowane przez radio, zelektryzowało miliony obywateli.

Trudno się oprzeć refleksji, co by było, gdyby nie barbarzyński najazd III Rzeszy, a zaraz potem Związku Sowieckiego, jakim państwem byłaby dziś Polska bez tej koszmarniej hekatomby ofiar, kolejnych zniszczeń i komunistycznej rewolucji, która opóźniła nasz rozwój na dwa pokolenia? Przypomnijmy, że w latach 30. polski dochód narodowy na jednego mieszkańca był wyraźnie wyższy niż w Portugalii i Grecji, a podobny do Finlandii i Hiszpanii. W PRL pracowano i rozwijano wprowadzanie gospodarkę na sposób ekstensywny, ale zostaliśmy wyraźnie w tyle za Zachodem. Gdzie byłaby Polska dziś bez tych straszliwych doświadczeń?

Wiele polskich rodzin może się zastanawiać, jaki byłby ich los, gdyby tej dumy i nadziei Polaków nie zniszczyli Hitler na spółkę ze Stalinem. Kim mógłby stać się mój ojciec, który w 1939 r. uzyskał dyplom inżyniera architekta, a potem ledwie przeżył wojnę i mimo posiadania potrzebnych po wojnie umiejętności był w niej obywatelem drugiej kategorii i zmarł przedwcześnie? Kim byłaby moja mama,

która w 1939 r. zdała maturę i marzyła o studiach polonistycznych? Jaki byłby ich dom, gdyby ich mieszkania nie spalili Niemcy podczas Powstania Warszawskiego, a oni sami nie byli o krok od śmierci z rąk własowców? Kim zostałby brat mojej mamy, który zginął w Powstaniu Warszawskim w szeregach „Baszty”? Oczywiście na takie pytania nie ma odpowiedzi, choć prawie w każdej polskiej rodzinie można by podobne pytania zadawać. Uświadamiają one, czym była dla Polski i Polaków makabra wywołana przez Niemcy i Sowiecką Rosję.

Rozważając straszliwe konsekwencje niemieckiego i sowieckiego najazdu na Polskę w 1939 r., nie sposób nie pomyśleć o przemianach, które zaszły w polskim społeczeństwie. W wyniku wojny i przesunięcia granic stało się ono bardziej homogeniczne, ale jednocześnie dużej jego części wyrwano korzenie. Po dziesięcioleciach widać to wyraźnie w rozkładzie głosów na mapie wyborczej Polski. W dużej mierze znikły dawne elity, a nowe powstały w warunkach politycznych PRL z przyzwolenia obcych. Nie są one pewne swej roli i dlatego tak często nadrabiają minę agresję. Zaraziły też swoimi kompleksami niedobitki dawnych elit. Szary człowiek patrzy na te wybryki albo stukając się w głowę, albo używając sobie na „tym kraju” bez opamiętania. Czasem jakiś nadzwyczajny czynnik, taki jak głupota ekipy gierkowskiej, wybór papieża Polaka, jego śmierć, sukces sportowy lub epidemia koronawirusa, zjednoczą nas, Polaków. W codziennym życiu jesteśmy jednak rozdarci jak nigdy przedtem. Historia dała nam ostatnio szansę. Materialne warunki życia w Polsce są coraz lepsze. Nie wolno jednak marnować żadnej okazji, by budować prawdziwe morale Polaków. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Po straszliwych zniszczeniach związanych z pierwszą wojną światową i najazdem bolszewickim, a także trudnościach związanych z tworzeniem nowego organizmu gospodarczego, inflacją, hiperinflacją i wielkim kryzysem, poziom aktywności ekonomicznej przekroczył pod koniec lat 30. stan sprzed wojny, m.in. dzięki aktywnej polityce ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. Po 20 latach tworzenia nowej państwowości Polacy mogli poszczycić się wieloma sukcesami. Trwała rozbudowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, Gdynia stała się

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Robić coś „po amerykańsku” to znaczy szybko, od ręki, prosto do celu, skutecznie załatwione. Komuś się ten styl nie podoba – trudno. A kto chciałby się w Ameryce guzdrać – przegra. Piękne słówka to nie tu. Nawet tutejsza gramatyka skracza słowa, żeby było szybciej do sedna. Zamiast I will, jest I'll.

Gdy na prezydenta kandydował Newt Gingrich, zaraz na początku kampanii opublikował listę dokumentów, które podpisze w pierwszej godzinie swojego urzędowania: natychmiast po zaprzysiężeniu, a przed pójściem na przyjęcie inauguracyjne. Tych dokumentów była cała sterta, w tym gotowe projekty ustaw. To jest amerykańskie tempo.

Proponowałem to samo PiS, gdy obejmowali władzę po raz pierwszy – gdyby natychmiast po zaprzysiężeniu swoich posłów usiedli do głosowania i głosowali kołowe ustawy jedna za drugą, wówczas opozycja i wrogie media nie miałyby nawet czasu na komentowanie, bo za szybko. W ten sposób można by w jeden dzień przeprowadzić wszystkie reformy, które obiecywali, ale do dziś są niezrobione. Przeciwnik nie miałby czasu się ogarnąć ani zastopować. BLITZ.

Tym narzędziem posługuje się Trump i dlatego jest taki skuteczny. Ma do obsadzenia stanowisko sędziego w Sądzie Najwyższym i się nie pieści. Listę kandydatów miał gotową od dawna, rozmowę z kandydatką też odbył dawno temu – czekał w gotowości. A teraz odpalił BLITZ i opozycja nie nadążyła się przegrupować.

Zanim demokraci wystawili swoje pierwsze armaty,



FOT. W. CEJROWSKI LTD./B. KRZYZOWSKI

BLITZ

Biały Dom ogłosił, że ma już powołany „Zespół Nożowników” (nazwa oficjalna, nie moja – w oryginale „knife fighters”), którzy będą bronić kandydatki Trumpa przed atakami propagandowymi, oszczerstwami i kłamstwami mediów. W zespole nożowników wysokiej rangi pracownicy Białego Domu: sekretarz prasowy prezydenta po Harvardzie, zastępca po Columbii, do tego dwoje starych fajterów z szerokimi kontaktami w obu izbach parlamentu. Ta ekipa ma przeprowadzić szybkie zatwierdzenie nominacji. BLITZ.

BLITZ to zasypywanie przeciwnika działaniami tak, aby nie był się w stanie opędzić. A do tego odbieranie przeciwnikom wojska. Demokraci od dziesięcioleci obiecują Murzynom masę rzeczy, a potem wszystko się tak wlecze, że końca nie widać – wieczne obietniczki „Tylko na nas zagłosujcie,

a wtedy my...”. Trump odebrał demokratom miliony Murzynów – przeprowadził skutecznie wszystkie sztandarowe reformy demokratów, z ich pustych obietniczek zrobił konkret. Obniżył bezrobocie, załatwił finansowanie dla czarnych uniwersytetów, przeprowadził reformę systemu więziennego. Demokraci zostali z niczym, nie mają czego obiecywać, czyli nie mają czym płacić murzyńskiemu wojsku za głosy.

BLITZ to także łączenie reform w pakiety – aby było szybciej (jedno procedowanie zamiast dwóch osobnych) i aby utrudnić przeciwnikowi podważanie naszych działań. Przykład: projekt Trumpa, w którym pakiet pomocowy dla Murzynów połączono z uznaniem dwóch organizacji za terrorystyczne, a linczu za zbrodnię federalną. Linczami na Murzynach zajmował się Ku Klux Klan. Było to dawno temu, ale Murzyni cieszą się, że WRESZCIE

ktos tę organizację uznaje za terrorystyczną, i dziwią, że nie zrobili tego nigdy demokraci. W pakiecie z KKK połączono Antifę, która też zostaje uznana za organizację terrorystyczną, a jej lincze na Białych stają się zbrodnią federalną. I weź to teraz podważ, demokrato?

Proponowałem BLITZ partii PiS, ale oni jak amerykańscy demokraci – dużo propagandowego gadania i kręcenia się w przereźblu, a w działaniu „nie da się, bo nas blokują”.

Przekop mierzei należało zrobić w rok, zasypując Brukselę stertą papierów z odwołaniami – w tym czasie buldożery powinny ryć. W tym samym dniu, gdy ruszyły maszyny na mierzei, inne maszyny powinny robić wycinak kornika w Białowieży. Zieloni są licznie mali, musieliby się rozproszyć i nie daliby rady. Tego samego dnia należało odpalić reformę sądowniczą na zasadzie lokautu – WSZYSCY WON, każdy sędzia, który pracował za PRL, wylatuje na zasadzie zwolnień grupowych, a potem zatrudniamy na nowo tych, którzy nie pracowali dla wroga. I jeszcze w tym samym dniu ustawa antyaborcyjna i likwidacja emerytur dla ubeków – pracowali dla Moskwy, niech ona im płaci.

Na antenach TVN nie było by dość czasu i miejsca przy stołach dla stada ekspertów, w „Wyborczej” zabrakłoby stron. Przeciwnik by nie nadążył. Pewnych reform nie dałoby się cofnąć, nawet gdyby kiedyś przeciwnik się ogarnął i odebrał władzę. Od takich rzeczy trzeba jednak być przygotowanym, mieć ustawy gotowe, zanim się wygra wybory. Trzeba też mieć odwagę Żołnierzy Niezłomnych. ©

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

**JEFF GUINN
„CO SIĘ STAŁO
W JONESTOWN.
SEKTA JIMA JONESA
I NAJWIĘKSZE
ZBIOROWE
SAMOBÓJSTWO”**

~~736~~ zł



281,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
455 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

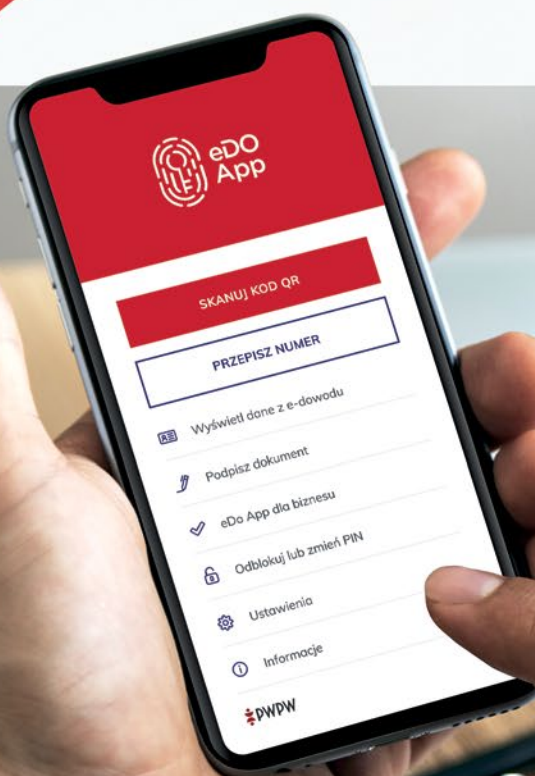
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Rewolucja w potwierdzaniu tożsamości



BEZPIECZEŃSTWO
TOŻSAMOŚCI



OGRANICZENIE
RYZYKA NADUŻYCIA
FINANSOWEGO



REDUKCJA
KOSZTÓW



OSZCZĘDNOŚĆ
CZASU

Szukasz nowych możliwości technologicznych, usprawniających procesy (np. KYC) w Twojej firmie? Dbasz o bezpieczeństwo swoich klientów? Twój biznes opiera się na weryfikacji tożsamości lub zawieraniu umów, w tym tych podpisywanych na odległość?

Sprawdź jakie korzyści Twojej firmie może przynieść integracja z eDO App (API).

Umów się na prezentację produktu już teraz!

Więcej na **www.edoapp.pl**